

W TROSCE O MISJĘ



MAGAZYN
MISYJNY

31.

ŚWIADECTW
MISJONARZY

Z ŻYCIA WYDZIAŁU DUSZPASTERSTWA
MISYJNEGO W KRAKOWIE

...BO
KAŻDY MA
SWOJĄ
MISJĘ

MAGAZYN MISYJNY WYDZIAŁU DUSZPASTERSTWA MISYJNEGO
KURII METROPOLITALNEJ W KRAKOWIE



W TROSCE O MISJĘ

MAGAZYN
MISYJNY



W 2023 roku Misjonarze Fidei Donum oraz Misjonarze Świeccy z Archidiecezji Krakowskiej świętują Jubileusz 50-lecia wyjazdu na misje pierwszych Misjonarzy. Z tej okazji postanowiliśmy zebrać i opublikować doświadczenia pracy Misjonarzy na kanwie tych 50 lat posługi misyjnej. Nie udało nam się uzyskać informacji od wszystkich Misjonarzy, ale zamieszczamy te, które udało się zebrać. Pragniemy ukazać piękno i wielkość Kościoła oraz pokazać, jak

wiele dobra uczynili i czynią nadal Misjonarze. Mamy nadzieję, że podjęte tematy w Magazynie Misyjnym „W trosce o Misje” poruszą Wasze serca. Słowo TROSKA mocno dotyka naszego życia. Wiemy, co znaczy troszczyć się o coś, czy o kogoś od najmłodszych lat, aż po późną starość. W całej tej mierze pragniemy naprawdę troszczyć się o Misje Jezusa Chrystusa, to On prosi nas: „Idźcie na cały świat i głoscie Ewangelię”.

O NAS....

Ewangelizacja wymaga wyzwolenia wszystkich charyzmatów Kościoła

W ramach Duszpasterskiego Synodu Archidiecezji Krakowskiej (1972-1979) powstał Synodalny Zespół Misyjny, biorący czynny udział w przygotowaniu dokumentu na temat misji. Dokument uchwalono na VIII Zebraniu Plenarnym Synodu Archidiecezji Krakowskiej, dnia 3 grudnia 1977 r.

Trzeba, aby duch misyjny przeniknął całą działalność Archidiecezji Krakowskiej

W dokumencie „Działalność misyjna” czytamy, że głoszenie Ewangelii jest poczuciem wdzięczności za dar wiary, który ponad tysiąc lat temu przynieśli misjonarze. Powinniśmy czerpać z doświadczenia okresu międzywojennego, kiedy Kraków był prężnym ośrodkiem formowania misjonarzy, centrum wydawnictw i stowarzyszeń misyjnych. Trzeba, aby duch misyjny nie był tylko domeną zainteresowanych katolików, ale trzeba, by przeniknął całą działalność Archidiecezji Krakowskiej. Powiększenie liczby misjonarzy Synod uznaje jako „potrzebę chwili” i wyzwanie, na które

„powinna odpowiedzieć Archidiecezja Krakowska”. Po zakończeniu Synodu Duszpasterskiego, Zespół Misyjny kontynuował pracę formacyjną. Organizował wiele przedsięwzięć misyjnych w Archidiecezji. Co miesiąc odbywały się spotkania modlitewno-formacyjne, pogadanki, wykłady dla różnych grup, nabożeństwa misyjne przygotowywane z klerykami z różnych krakowskich seminariów. Organizowano także pomoc dla placówek misyjnych. Wydawano kwartalnik misyjny „Idźcie na cały świat”. Misyjnemu Zespołowi Synodalnemu przewodniczyła pani dr Zofia Roszek, która inspirowała wiele przedsięwzięć misyjnych w Archidiecezji Krakowskiej. W 1980 r. została członkiem Komisji Episkopatu d/s Misji i pełniła ją dwie kadencje.

Dar Misjonarzy

Ks. Kard Franciszek Macharski zwrócił się do kapłanów z apelem o podjęcie posługi w krajach misyjnych oraz na Wschodzie. Pierwsi misjonarze wyjechali do Tanzanii 14 października 1973 r. W latach osiemdziesiątych wyjechali także kapłani do Demokratycznej Republiki Konga, ale na skutek wojny domowej musieli

stamtąd wyjechać i podjąć pracę we Francji. Przez kilkanaście lat Archidiecezja była obecna w Sudanie Południowym. Ksiądz Metropolita zapoczątkował także współpracę z Archidiecezją Rio de Janeiro w Brazylii. Niektórzy kapłani, którzy wyjechali w 1984 roku nadal tam posługują. Dwóch z nich zostało wyświęconych na biskupów: ks. Zdzisław Błaszczak jest biskupem pomocniczym w Rio de Janeiro, a ks. Robert Chrzęszcz jest biskupem pomocniczym w Krakowie. Także jeden z długoletnich misjonarzy w Brazylii pracuje obecnie w Chinach (Macao). Pięciu kapłanów diecezjalnych pomaga w pracy ewangelizacyjnej na Wschodzie.

Misjonarze świeccy

Pierwszą i najdłużej pracującą misjonarką świecką z Archidiecezji Krakowskiej jest pani Barbara Dominika Szkatuła, która wyjechała do Peru w 1982 roku. Obecnie jest koordynatorką pracy duszpasterskiej w diecezji Św. Józefa znad Amazonii. Ponad 10 lat pracowała także w Peru świeckie misjonarki: Dorota Kozieł i Katarzyna Jawor, w Republice Środkowej Afryki i na Filipinach - Agata Gietczyńska i na Papui Nowej Gwinei - Katarzyna Malarz. Od wielu lat na Bałkanach pełni posługę „katechisty wędrownego” Drogi Neokatechumenalnej Tomasz Marynowski.

Wydział Duszpasterstwa Misyjnego Archidiecezji Krakowskiej

W roku 1986 ks. kard. Franciszek Macharski powołał do istnienia Sekretariat Misyjny, który w roku 1998 został podniesiony do rangi Wydziału Duszpasterstwa Misyjnego Kurii Metropolitalnej w Krakowie. Jego dyrektorem jest ks. Tadeusz Dziedzic. Od 1 grudnia 1988 r. posługę w Wydziale podjęły Siostry Misjonarki św. Piotra Klawera. Zaangażowały się one w dzieło animacji misyjnej poprzez: organizowanie w parafiach i szkołach spotkań i rekolekcji misyjnych, warsztatów misyjnych dla katechetów, spotkań opłatkowych dla rodziców i dobroczyńców misjonarzy, kolędników misyjnych, kongresów misyjnych, adopcji serca i patronatów misyjnych – pomocy duchowej i materialnej misjonarzom z Archidiecezji Krakowskiej. Ważnym przedsięwzięciem były podejmowane miesięczne wyjazdy na doświadczenie misyjne z młodzieżą do krajów misyjnych takich jak: Peru, Brazylia, Argentyna, Indie, Tanzania, Kazachstan, Ukraina.

Ks. Dyr. Tadeusz Dziedzic
s. Bożena Najbar

Stopka redakcyjna

Redaktorzy: ks. dyr. Tadeusz Dziedzic, s. Bożena Najbar, SSPK
Skład i opracowanie graficzne: Monika Rybczyńska
Zdjęcia: Archiwum Wydziału Duszpasterstwa Misyjnego Kurii Metropolitalnej w Krakowie
ISBN: 978-83-945381-9-4

Redakcja zastrzega sobie prawo dokonywania zmian w nadesłanych tekstach.

Wydział Duszpasterstwa Misyjnego Kurii Metropolitalnej ©

ul. Franciszkańska 3 31-004 Kraków
tel. 12 62 88 124 (9.00-13.00)
e-mail: misje@diecezja.pl
www.misje.diecezja.pl
FB: /misje.archidiecezjakrakowska
YouTube: /sBozenaNajbar/videos



BŁ. MARIA TERESA LEDÓCHOWSKA

Założycielka Sióstr Misjonek św. Piotra Klawera (1863-1922)

Patronka Dzieła Współpracy Misyjnej Kościoła w Polsce

„Zadaniem mojego życia i Zgromadzenia, do którego należę, jest budzić coraz większe zainteresowanie misjami i zakorzeniać je we wszystkich sercach”.

Bł. M. Teresa Ledóchowska poprzez założone Zgromadzenie Sióstr Misjonek św. Piotra Klawera pragnęła zajmować się animacją misyjną wśród dorosłych, młodzieży i dzieci oraz wychowywała do odpowiedzialności za działalność misyjną Kościoła. „Ma ono na celu wzbudzać u dorosłych, studiującej młodzieży oraz wśród dzieci miłość i entuzjazm dla Misji”.

Ona sama była szczególnie zjednoczona z Chrystusem w Jego życiu i misji ukierunkowanym na zbawienie każdej duszy. Swoim osobistym doświadczeniem zapraszała do szczególnej formy zjednoczenia z Boskim Mistrzem - Zbawicielem, co stało się źródłem i duchową siłą rozwoju dzieła misyjnego Sióstr Klawerianek.

Bł. Maria Teresa w swoim powołaniu kierowała się sentencją św. Dionizego Areopagity: „Z rzeczy boskich najbardziej boską jest współpraca nad zbawieniem dusz”. Sama też pozostawiła po sobie słowa pełne Bożej mądrości:

„Żał mi, gdy patrzę, jak wiele ludzi prowadzi życie puste, bezowocne dla siebie i innych. A przecież mogliby oddawać Bogu chwałę i mogliby innym pomagać dochodzić do Boga”.

SPIS TREŚCI

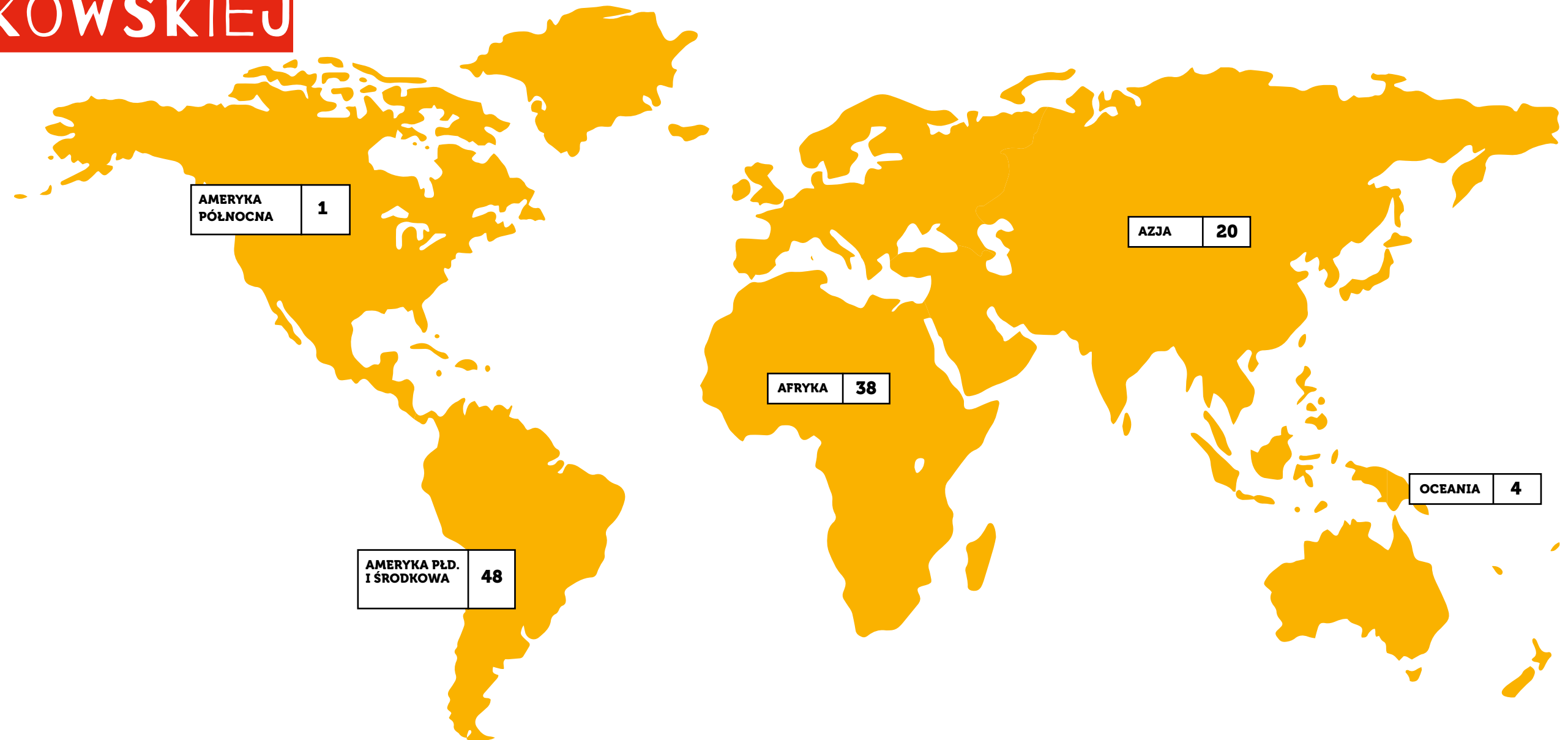
| | |
|-----------|---|
| 4 | WSTĘP |
| 8 | MAPA - MISJONARZE ARCHIDIECEZJI KRAKOWSKIEJ |
| | ŚWIADECTWA MISJONARZY |
| 10 | AFRYKA |
| 12 | KS. RYSZARD GOŁUCH, TANZANIA, SENEGAL, EKWADOR (AMAZONIA), TEKSAS |
| 16 | KS. TADEUSZ DZIEDZIC, TANZANIA |
| 20 | KS. JAN KABZIŃSKI, TANZANIA |
| 24 | KS. KRZYSZTOF CHROMY, TANZANIA |
| 28 | KS. KAROL SZLACHTA, TANZANIA |
| 30 | KS. KONRAD CAPUTA, TANZANIA |
| 32 | KS. WOJCIECH KOŚCIELNIAK, TANZANIA |
| 36 | KS. ROMAN CIUPAKA, TANZANIA |
| 38 | KS. MAREK GIZICKI, TANZANIA |
| 40 | KS. KRZYSZTOF KASPRZAK, TANZANIA |
| 44 | KS. JERZY PYTRACZYK, TANZANIA |
| 46 | KS. KAZIMIERZ KRÓŻEL, TANZANIA |
| 48 | KS. EDWARD ANTOLAK, ZAİR, DEMOKRATYCZNA REPUBLIKA KONGA |
| 52 | KS. JANUSZ ZWOLIŃSKI, ZAİR, DEMOKRATYCZNA REPUBLIKA KONGA |
| 56 | KAROLINA CYGAN I KATARZYNA SOWA, ZAMBIA |
| 58 | ANNA OBYRTACZ, REPUBLIKA ŚRODKOWEJ AFRYKI |
| 60 | BARTŁOMIEJ TUMIŁOWICZ, MOZAMBIK |
| 62 | KS. JANUSZ ZAJDA, SUDAN POŁUDNIOWY |
| 64 | AMERYKA POŁUDNIOWA |
| 66 | KS. BP ROBERT CHRZĄSZCZ, BRAZYLIA |
| 70 | KS. BP ZDZISŁAW BŁASZCZYK, BRAZYLIA |
| 74 | KS. JAN KAŁETA, BRAZYLIA |
| 76 | KS. BOGUSŁAW BATKIEWICZ, BRAZYLIA |
| 78 | KS. MARCIN STRACHANOWSKI, BRAZYLIA |
| 82 | BARBARA DOMINIKA SZKATUŁA, PERU |
| 86 | DOROTA KOZIEŁ, PERU |
| 88 | ANNA KATARZYNA JAWOR, PERU |
| 90 | AZJA |
| 92 | KS. ANDRZEJ BŁAŹKIEWICZ, CHINY |
| 94 | AGATA GIEŁCZYŃSKA, FILIPINY |
| 96 | KS. TOMASZ TRZEBUNIA, ROSJA |
| 98 | EUROPA |
| 100 | TOMASZ MARYNOWSKI, SERBIA, BOŚNIA I HERCEGOWINA, CHORWACJA, SŁOWENIA, MACEDONIA PÓŁNOCNA, CZARNOGÓRA |
| 102 | KS. MAREK CICHÓRZ, KS. JAN NIKIEL, KS. WITOLD KOWALÓW, KS. ANDRZEJ ŚCISŁOWICZ, KS. WALDEMAR SZLACHTA, UKRAINA |

| | |
|------------|--|
| 104 | DZIAŁALNOŚĆ WYDZIAŁU |
| 106 | DOŚWIADCZENIA MISYJNE: PERU, KAZACHSTAN, INDIE, BRAZYLIA, ARGENTYNA, TANZANIA, |
| 118 | PATRONAT MISYJNY |
| 119 | MISYJNE KONKURSY PLASTYCZNE I WIEDZY O MISJACH |
| 120 | ADOPCJA MISYJNA: INDIE, TANZANIA I PERU |
| 122 | KONGRESY MISYJNE DZIECI |
| 124 | KOLEDNICY MISYJNI |
| 126 | ANIMACJA MISYJNA W SZKOŁACH I PARAFIACH |
| 128 | REKOLEKCJE MISYJNE |
| 130 | WOLONTARIAT MISYJNY |
| 130 | PROJEKTY ZREALIZOWANE (WYBRANE) |
| 138 | PROJEKTY REALIZOWANE |
| 144 | DOBRO CZYŃCY |
| 146 | MISJONARZE FIDEI DONUM I MISJONARZE ŚWIECCY |
| 148 | KONKURS :) |



MISJONARZE Z ARCHIDIECEZJI KRAKOWSKIEJ

2023





AFRYKA

1

ks. Ryszard Gołuch

TANZANIA, SENEGAL,
EKWADOR (AMAZONIA), TEKSAS

JEŚLI KSIĄDZ MA KONTAKT Z JEZUSEM RESZTA PRZYJDZIE SAMO

RYSZARD GOŁUCH - GÓRAL, UCZEŃ PROFESORA
JÓZEFA TISCHNERA, MISJONARZ W TANZANII,
SENEGALU, EKWADORZE (AMAZONII) I TEKSASIE

Jak wygląda księdza droga powołania?

Nie wiem, do ostatniego momentu, nawet już będąc w seminarium, nawet leżąc już w katedrze wawelskiej na „grobie Fryderyka” (tak to się tam nazywa), jeszcze miałem wątpliwość. Fakt faktem, że już od najmłodszych lat byłem ministrantem. Ale kiedy po maturze zastanawiałem się co zrobić, wybrałem politechnikę śląską. Jednak wciąż towarzyszyły mi wątpliwości. Do seminarium poszedłem już, kiedy byłem starszy.

Gdzie ty się podziewał do tego czasu?

Wtedy dużo mówiło się w seminarium o encyklice Piusa XII Fidei donum z 1958 roku. Dużo też dyskutowano o postaci św. Maksymiliana Kolbego. Żartowaliśmy po odbyciu niecałej służby wojskowej w Bartoszycach, że trzeba by było jechać na misje do Związku Radzieckiego.

Gdzie zapadła decyzja?

Jeżeli chodzi o misje, to decyzja zapadła tutaj, w Makowie Podhalańskim, w styczniu 1972 roku. To wtedy kardynał Karol Wojtyła powiedział, że diecezja, jeśli się dobrze rozwija i przychodzą „tłuste roczniki”, musi mieć misje, ponieważ „Kościół z natury jest misyjny”. Poprosiłem Księdza Kardynała o pozwolenie i on odpowiedział: „To masz”. I tak to się zaczęło. Później jesz-

cze parę miesięcy przesiedziałem w Wróblowicach, a do Nowej Huty dojeżdżałem na język angielski.

„Tłuste roczniki”?

Na naszym roku było wyświęconych 29 kapłanów, a już rocznik po mnie – około 40. Liczbowo było nas sporo, ale także liczyła się jakość. Selekcja w seminarium była bardzo duża.

Czym zajmowali się rodzice?

Tato był piekarzem, a mama zaopatrzeniowcem. Czasy były wtedy trudne. Mama codziennie chodziła do kościoła, mimo nawału pracy. Mama nigdy nie chorowała, urodziła piątkę dzieci i zmarła, mając 45 lat. Trzy tygodnie przed moimi święceniemi. W poniedziałek poszliśmy na Botaniczną 3 do Kliniki neurochirurgicznej, a w sobotę kolega Wojtek Cybulski odebrał ją z prosektorium na Grzegorzeckiej.

A ojciec?

W czasach powojennych życie rodzinne było trudne. Do około 1956 roku towarzyszyło nam widmo wojny, a potem czasów stalinowskich. I nie ukrywam, że miało to wpływ na mojego ojca. Ale tak się złożyło, że po święceniach kardynał Wojtyła powiedział do mojego taty: „Władek, wyświęciłem ci syna, a ty masz być dla

tych dzieci ojcem i matką”. I wtedy nastąpiło przełamanie u mojego taty, tak że w późniejszych latach już mogłem być dumny z ojca.

Czy miał ksiądz poczucie obowiązku zajęcia się rodzeństwem?

Po święceniach wszystko ustaliliśmy. Siostra znalazła się u siostr misjonarek w Morasku. Przerwała studia prawnicze w Krakowie. Dokończyła je na ATK. Najmłodsza siostra miała 10 lat. Ustaliliśmy, że najstarsza siostra zajmie się najmłodszą. Druga siostra miała opiekować się dziadkami i ojcem. Ja i kolejna siostra pozostawiliśmy gospodarstwo i dom. Idąc do seminarium, pocałowałem próg domu i byłem konsekwentny do końca. Życie rodzinne, mimo że czułem odpowiedzialność, nie przeszkadzało mi w wypełnianiu moich obowiązków. Pamiętam rozmowę z księdzem rektorem Macharskim, to była sobota 6 marca. Powiedziałem, że potrzebuję dwóch godzin, by pojechać z Krakowa do domu. Wtedy Ksiądz Rektor odpowiedział: „No, ale przecież jesteś przed święceniemi, trzeba się przygotować”. Ja na to: „Księżo Rektorze, mama jest w poważnym stanie, więc muszę pewne sprawy w domu pozałatwiać”. „Przecież była parę dni u ciebie?”. Powiedziałem: „Tak, ale jeżeli to ma przeszkadzać mojemu kapłaństwu, to zostaję”. Ksiądz rektor Florowski miał wtedy fiacika 600. Za pięć minut przynosi kluczyki i mówi: „Zostań do poniedziałku. Nie poniewieraj się pociągami”.

Ksiądz wyjechał na misje jako pierwszy z archidiecezji w 1973 roku?

Tak, ja jako pierwszy.

Kiedy i jak pojawiła się myśl o misjach?

Trudno mi powiedzieć, to był z pewnością wpływ Soboru Watykańskiego II, odpowiedzialności za Kościół w ogóle, no i wpływ przede wszystkim kardynała Karola Wojtyły i biskupa Smoleńskiego. To była ewolucja. Szukaliśmy możliwości wyjazdu księdza diecezjalnego na misje. Różne pojawiły się pomysły. Pierwszy z karmelitami wyjechał ksiądz Wołek, nie wyszło. Eksperyment z Konsulatami wytrzymałem. Jeden z kolegów przy pierwszym ataku malarii po prostu się załamał. Było trudno, nie mieliśmy żadnego zaplecza finansowego, żadnego. Myśli o misjach – to była ewolucja. I większa świadomość odpowiedzialności za Kościół powszechny. Może to sparafrazuję – żeby wyjść poza mentalność jarmarku powiatowego. Wyjść poza własne podwórko i druga sprawa... myślę bardzo istotna. Nie wiem, skąd to przyszło, może z góry, trudno mi powiedzieć, bo ja wierzę w cuda, ale w cudactwa nie wierzę. Poczucie solidarności rodziny ludzkiej jako takiej, bez względu na religię, kulturę czy rasy. Ta świadomość

jedności rodziny ludzkiej i w szczególności jedności Kościoła po prostu kiełkowała, zwłaszcza po Soborze Watykańskim II.

Jak wyglądał tydzień przed wylotem na misje? Czy było zdenerwowanie, czy był strach?

Nie było żadnego zdenerwowania. Jedną scenkę pamiętam na lotnisku. Stewardesa pyta księdza Krawczyka: „Czy księdzu serce nie bije, kiedy odlatuje z kraju”? Nie wiedzieliśmy, kiedy wrócimy, ponieważ paszporty mieliśmy w jedną stronę. A wtedy ksiądz Krawczyk mówi: „Proszę pani, tylko te tłumy wielbicielek”... Braliśmy to wszystko humorystycznie. Leciliśmy po prostu w niewiadomą, w ciemno.

Co wzięliście ze sobą?

Zestaw turystyczny, poziomice makowskie, te metro-we, i różne rzeczy codziennego użytku. Za dużo nie wiedziałem, co mi było potrzebne. O tym dowiedzieliśmy się na miejscu. Zresztą włoscy misjonarze byli dość dobrze zaopatrzeni. Ja z dwiema walizkami wyjeżdżałem z Londynu, a wróciłem cztery lata później z siedmiokilogramową torbą.

Co Księdza zaskoczyło?

Może będę nieskromny, ale mnie nic nie zaskoczyło. No może jedna rzecz, kiedy wychodziłem z samolotu – temperatura i wilgoć.

Jak długo Ksiądz był w Tanzanii? Jak ksiądz wspomina ten czas?

Ponad cztery lata. Może cytuję kolegę: że czasy Londynu i czasy tam, w Tanzanii, to były najszcześniejsze czasy w jego ży-



ciu... i w moim. Było trudno, ale czułem satysfakcję, że coś zrobiłem, że to właściwe miejsce i potwierdzenie tego, co się wybrało.

Jakby Ksiądz miał porównać cząstkę kondycji i samotności w Polsce i cząstkę kondycji i samotności w Tanzanii?

Kiedy wieczorem nie można wyjść z plebani - chatki, kiedy nie wiadomo, na co się nastąpi, kiedy jest niebezpiecznie, bo – trzeba to zaznaczyć – Tanzania była wtedy krajem przyfrontowym, rewolucyjnym. Gdzie słyszało się tu i ówdzie cindzia cindzia (rżnij, rżnij) mzungu (biały). To nie było łatwo. Ale jeżeli jest się z Panem Bogiem, jeżeli jest się z Chrystusem za pan brat, to samotność nie istnieje.

Jakie tam były warunki życia?

Powiem szczerze, że warunki pracy i mieszkaniowe były nieco lepsze niż na przykład w starej wikarówce we Wróblowicach, gdzie woda zamarzała, a trzeba się było myć (śmiej).... Natomiast warunki niesamowicie trudne panowały w dżunglach amazońskich. Tam trzeba być zaszczepionym. Trochę zignorowałem dżunglę amazońską i przez siedem miesięcy miałem amebę, która objawiała się krwawą biegunką i wysoką temperaturą.

Jaka była najtrudniejsza sytuacja albo najbardziej niebezpieczna w Tanzanii?

Przez pewien okres, właściwie trzy semestry, miałem zajęcia w Dar es Salaam na uniwersytecie. Wracałem nocą nowo wybudowaną drogą. W Morongoro był szlaban i zatrzymali mnie pijani żołnierze. Powiedzieli: „Mzungu (biały) jedzie”. Ja na to tylko odpowiedziałem: „Kabila Gani (z jakiego szczepu jesteś?). Jak ty mówisz po swahili, to musisz być misjonarzem. Chodź, napij się z nami piwa”. Na drugi dzień jedzie biskup Gunde. W tym miejscu ci sami żołnierze zatrzymali go i on powiedział: „Ja jestem biskupem”. A oni na to: „Co nas to obchodzi, jesteś z innego kraju”. Dopiero jeden zapytał: „Gdzie ty jedziesz?”, „Do Iringi”, „Aaa to Padre (ojciec) Richard jechał tam”. I dopiero go puścili. Od razu przyjechał do mnie i powiedział, że to niesamowite, że żołnierze go puścili wolno.

Czyli tak zakończyła się Tanzania. Czy Ksiądz wrócił od razu do Polski?

Był październik roku 1978. Bilet powrotny do Dar es Salaam był jeszcze ważny do końca października. Ks. kardynał Wojtyła był już w Rzymie. Wracałem więc do Tanzanii właściwie bez konkretnych decyzji. W samolocie dowiedziałem się od Kapitana "Sabeny" o wyborze Papieża.

Jak było w dżungli amazońskiej?

Właściwie wielkiego szoku nie było, dlatego że Quito jest na wysokości 2850 m, temperatura wspaniała. Przez pierwsze sześć tygodni byłem zakwaterowany w konwencie franciszkanów. I od razu sześć tygodni intensywnego kursu na Uniwersytecie Katolickim w Quito. Później przelot 1000 km do wikariatu Zamora. Dalej 60 kilometrów pojazdem ciężkim – land roverem. Następnie pięć godzin na mule przez dżunglę.

Jak to się stało, że Ksiądz wylądował w Senegalu?

Będąc w Tanzanii otrzymałem polecenie powrotu. Wracając z Tanzanii zatrzymałem się w Watykanie, Ojciec Święty zasugerował, że obiecał kiedyś misjonarza Kardynałowi Thiandumowi. Niedługo potem byłem już w Dakarze i zacząłem pracę w Seminarium.



Gdzie było najłatwiej?

Nie wiem. Najłatwiej? Busz bardzo mi odpowiadał. Dżungla mi odpowiadała. Seminarium bardzo mi odpowiadało. Jakakolwiek inicjatywa była, najpierw pojawiało się pytanie: Jak to widzisz? Pytanie z mojej strony było do kogokolwiek... Istniała nutka porozumienia, czasem bez słów. I to owocowało.

W Ekwadorze spadłem z rusztowania i złamałem kręgosłup. Rehabilitacja trwała 14 miesięcy. Nie mogłem wrócić ani do dżungli, ani do buszu. Odbyła się konferencja Episkopatu. Nie wiem, w jaki sposób znalazłem się w Warszawie. Ksiądz Kardynał Macharski powiedział: Co byś powiedział, gdyby tak trzy lata pracować w Stanach Zjednoczonych. A ja na to: „Bardzo dobra wiadomość, nie ma sprawy. Tylko gdzie?”, „Masz do wyboru 11 diecezji”. Wybrałem Teksas.

Z trzech lat zrobiło się siedem. Była wizyta moich krewnych lekarzy i dali mi ultimatum: „Albo wracasz przed pięćdziesiątką, albo w ogóle nie wracasz”. Mieli rację, bo kilkanaście miesięcy później miałem zawał.

Dlaczego ktoś miałby pojechać na misje?

Świadomość uniwersalna Kościoła. To jest raz, nie zamykać się w swoim świecie. I przede wszystkim nie wdawać się w dyskusję z ludźmi, których mentalność nie wykracza poza jarmark powiatowy. Chodzi tutaj o rozwój własnej osobowości, o szersze spojrzenie, żeby nie zamykać się tylko w kręgu swoich spraw,

żeby rozróżnić, co to jest patriotyzm, a co nacjonalizm, szowinizm. Świadomość rodzaju ludzkiego, obojętnie z jakiej kultury, z jakiej religii, i przede wszystkim świadomość budowania Królestwa Niebieskiego, to droga przez Chrystusa, jeżeli dany kapłan chwyci kontakt z Panem Jezusem, wtedy może być spokojny, reszta przyjdzie sama.

Czy Ksiądz czuje spełnienie wewnętrzne i wypełnienie pewnego rodzaju obowiązku?

To była moja wolna decyzja – konsultowana, a nie narzucana. Patrząc z perspektywy czasu, pewne rzeczy można było zrobić delikatniej, ale mam świadomość i jestem tu spokojny, że w określonym momencie, w danej sytuacji, dysponując pewnymi środkami, podejmowałem właściwą decyzję. Co więcej, powiem może bardzo sarkastycznie. Jak się gołę, to w lustrze widzę moją mordę, a nie małpę czy świnię. Parę razy wyciągnięto mnie z drugiego świata... dwa lata temu pojechałem do Jeleśni. Szczęście, że szwagier mnie przywiózł, akurat nie miałem nitrogliceryny ze sobą. Normalnie czynnik we krwi jest 0001. Błyskawicznie umierają ze wskaźnikiem 0366. Zanim doszła krew, to doktor Szczerbiecki był już na miejscu. I mówi: „Rysiek, decyduj, koronarografia, bo za trzy godziny nie będziemy rozmawiać”.

A jest coś, czego Ksiądz żałuje?

Nie żałuję niczego.





Ks. Tadeusz Dziedzic

TANZANIA

GDY W AFRYCE JEST SUSZA, GŁODUJĄ TEŻ MISJONARZE

Pierwsza myśl o misjach pojawiła się u mnie w czasie nauki w liceum, kiedy to spotkałem misjonarzy Werbistów, którzy pracowali w Indonezji. Później w seminarium należałem do koła misyjnego, wyjeżdżałem na różne sympozja misyjne m.in. do Pieniężna. Widząc, wyjeżdżających pierwszych krakowskich misjonarzy do Tanzanii, myślałem o tym, aby do nich dołączyć w przyszłości. Do dziś pamiętam drewniane skrzynie, które stały na klatce schodowej i czekały na wysyłkę. Moja pierwsza parafia Mszana Dolna bardzo mnie zaangażowała w duszpasterstwo, nie myślałem wtedy o wyjeździe, ale utrzymywałem kontakt z misjonarzami. Myśl o wyjeździe na misję wróciła, gdy byłem wikariuszem w parafii św. Jadwigi na Krowodrzy w Krakowie. Tam mieliśmy „warunki misyjne”: nie było kościoła, tylko zadaszenie. Księża mieszkali w różnych miejscach. W roku 1980 prowadziłem rekolekcje oazowe w Sopotni Wielkiej i tam wydarzył się przykry wypadek: jeden z uczestników się utopił. Bardzo to przeżyłem. Krótko po tym wydarzeniu zgłosiłem się do ks. kardynała Macharskiego, prosząc o wystąpienie mnie na misje. Po długiej rozmowie kardynał się zgodził. Jakże wielkie było moje zdziwienie, gdy w czerwcu otrzymałem skierowanie do pracy duszpasterskiej jako wikariusz w Krakowie-Mistrzejowicach. Poszedłem i zapytałem dłaczego. Odpowiedział mi: „Chciałeś na M (misje) to masz na M (Mistrzejowice)”. Pomyślałem: Wola Boża. Po trzech miesiącach spotkałem Księdza Kardynała i powiedziałem mu, że nadal chcę jechać na misje.

Wtedy mnie uściskał i powiedział, że postać mnie do Mistrzejowic, aby się upewnić, że nie podjąłem tej decyzji pod wpływem przeżyć na oazie. Powiedziałem, że to na pewno wpłynęło na moją decyzję. Uznałem, że teraz to jakiś znak, ale od dawna tego chciałem. Kardynał poprosił, abym pracował do końca czerwca na parafii, a później wyjechał. I rzeczywiście: w czerwcu otrzymałem aplikację: wyjazd na misje.

I tak zaczęły się przygotowania. Najpierw musiałem zdobyć paszport, co nie było wcale łatwe, bo to przecież stan wojenny. Ale w końcu go otrzymałem. Następnie – załatwienie wizy do Włoch. To wszystko trwało. Ale w końcu, na początku 1982 roku udałem się na lotnisko w Warszawie. Przeszedłem kontrolę, zadowolony usiadłem w poczekalni. Otworzyłem paszport i co zobaczyłem? Pieczętkę, że nie mam prawa powrotu. Wróciłem do pana, który wbił tę pieczętkę i zapytałem dłaczego. Odpowiedział: „Chce pan jechać czy nie? Zrobiło mi się bardzo przykro”.

Po przylocie do Rzymu udałem się do ambasady i zapytałem dłaczego ta pieczętka. Powiedzieli mi, że bym się nie martwił, zostawił paszport i wrócił za parę dni. Tak zrobiłem. Po paru dniach otrzymałem paszport konsularny, jaki otrzymywali Polacy na stałe zamieszkali za granicą.

Dość długo czekałem na wizę do Tanzanii. Aby nie tracić czasu, pojechałem na trzy miesiące do Londynu, aby podszkolić się w języku angielskim.



I pod koniec 1982 roku doleciałem wreszcie do mojej Tanzanii. Przez Frankfurt wylądowałem w Dar es Salaam. Do dziś pamiętam moje pierwsze wyjście z samolotu. W drzwiach uderzyło mnie nagle gorące powietrze. Rozglądałem się, gdzie jest jakiś piec, z którego taki gorący bucha. Zatrzymałem się na parę dni w stolicy (obecnie stolicą jest Dodoma) w domu Maryknoll Fathers – misjonarzy z USA, z którymi później współpracowaliśmy w diecezji Musoma. Matym samolotem doleciałem do Musomy nad Jeziołem Wiktorii. Prosto z lotniska udałem się do szkoły języka suahili w Makoko. Nie było żadnego z polskich księży, bo wyjechali na urlop do kraju. Ucieszyłem się, bo na kurs języka przyjechało trzech Polaków: ksiądz i dwaj bracia salwatorianie.

Sprzedawaliśmy węgiel drzewny na utrzymanie

Od paru lat w diecezji Musoma pracował ks. Karol Szlachta. Wyjechał na urlop. Miał wrócić do Tanzanii pod koniec mojego kursu języka. Niestety miał wypadek w Polsce. Otrzymałem wiadomość, że nie wróci. Trochę się przeraziłem, że zostanę sam (poza jednym księdzem z diecezji katowickiej). Po ukończeniu szkoły języka ks. biskup Antoni Mayala skierował mnie do parafii Nyegina, gdzie proboszczem był ks. Szlachta. Podczas jego nieobecności parafią zarządzał brat Kevin Dargan, Amerykanin, który kilka lat był na wojnie w Wietnamie. I tak z nim rozpocząłem postugę, choć nie znałem jeszcze dobrze języka. Na szczęście, po paru tygodniach wrócił ks. Szlachta. To były trudne czasy, nie mieliśmy żadnej pomocy z Polski (nie było możliwości). Z ks. Karolem woziliśmy do miasta węgiel drzewny, sprzedawaliśmy w hotelach, żeby mieć na utrzymanie. Mieliśmy swoje kury, jezioro blisko, więc świeże ryby. Na szczę-

ście Maryknol Fathers później nam pomagali, a po jakimś czasie już zaczęliśmy otrzymywać pomoc z Europy.

W Polsce nigdy nie jeździłem motocyklem, a w tym czasie to był nasz jedyny środek lokomocji (samochód tylko na wyjazd do miasta). Otrzymałem Hondę 650, ogromny motocykl, na którym uczyłem się jeździć. Ile się razy przewróciłem w piasku, to wole się nie przyznawać. Ale w końcu nad nim zapanowałem. Coraz lepiej mówiłem też w języku suahili. Ale trzeba było więcej doświadczenia.

Zamknijemy parafię

Po sześciu miesiącach Ksiądz Biskup zaproponował mi, abym zostałem proboszczem w parafii Mungango. Powiedziałem, że to za wcześnie na samodzielną placówkę, muszę lepiej mówić w tym języku. Odpowiedział: „No to zamknijemy na jakiś czas parafię”. Gdy to usłyszałem, powiedziałem, że pójdę, tym bardziej, że nie było daleko z Nyeginii. To było wielkie wyzwanie, ale dzięki temu nauczyłem się lepiej języka (musiałem, bo w parafii byłem jedynym białym). Tu suahili stał się moim językiem, w którym pisałem swoje notatki, nawet myślałem już po suahili. Kiedyś napisałem długi list do mamy, który mi odesłała, że chyba pomyliłem listy. Napisałem do niej... po suahili.

Praca polegała na odwiedzaniu wiosek, gdzie zwykle była Msza Święta, sakramenty, chorzy. Czasem w kaplicy, czasem w szkole, czasem pod drzewem. W parafii Msza Święta była codziennie, a w wioskach parę razy w miesiącu (parafia nie była duża, chyba 8 wyjazdów). Oprócz pracy misyjnej, było wiele przygód.

JAK OTWORZYŁY SIĘ DRZWI SAMOLOTU NA LOTNISKU DAR ES SALAAM W TANZANII, TO ZACZĄŁEM SZUKAĆ PIECA, Z KTÓREGO TEN GORĄC AFRYKAŃSKI SIĘ WYDOBYWA.

Kibara

Pierwszymi misjonarzami na tym terenie byli Ojcowie Biali. Niestety, było ich coraz mniej i w podeszłym wieku. Ostatni Ojcowie Biali pracowali w parafii Kibara, którą opuszczali. I wtedy mnie i ks. Janowi Kabzińskiemu biskup zaproponował tę parafię. To była duża parafia, 32 kościoły wyjazdowe. Bardzo dobrze nam się współpracowało. Najpierw trzeba było wyremontować dom do mieszkania. Zrobił to ks. Jan, bo ja wyjechałem na urlop do Polski. Zresztą on się na tym znał o wiele lepiej ode mnie. A dom był z pustaków glinianych, ściany popękane i zniszczone przez termity. W prawie wszystkich wioskach wybudowaliśmy kaplicę (także na wyspie Nafuba). Inżynierem, kierownikiem budowy był ks. Jan. Codziennie wyjeżdżaliśmy do wiosek, by tam odprawić Mszę Świętą, odwiedzać chorych, spotykać się z katechumenami. Do sakramentów przygotowywali katechiści, z którymi spotykaliśmy się co miesiąc w parafii. Aby ułatwić im podróżowanie, udało się dać każdemu rower.

Ks. Jan, podobnie jak większość misjonarzy, nosił brodę. Pewnego dnia odprawiłem w kościele Mszę Świętą i nagle widzę, że jakiś biały człowiek wchodzi do kościoła i do tego kieruje się do tabernakulum. Ja zaskoczony popatrzyłem groźnie, a ten biały człowiek mówi do mnie: „Tadek, nie poznajesz mnie?“, uśmiechając się przy tym. Poznałem go po głosie...to był ks. Jan. Zgolił brodę w międzyczasie i nie poznałem go. Szedł do tabernakulum, bo miał zanieść Pana Jezusa choremu. Długo później to wspominaliśmy.

Pewnego razu jechałem na Mszę Świętą do wioski Kigaga, na motocyklu. Ponieważ było po deszczu, ubrałem gumowe buty. Już byłem blisko, ale wjechałem w błoto i nie mogłem przejechać, ponieważ była tam ziemia ilasta, jak klej. Przypadkowi ludzie pomogli mi wyciągnąć motocykl, ale but został w błocie. Dalej pojechałem bez butów. Tam odprawiłem Mszę Świętą i wróciłem na misję.

Było dużo różnych przygód, ale zawsze się dobrze kończyły (np. spotkania z węzami, hipopotamami, małpami). To urozmaicało naszą codzienność. Nie było telewizji, radia (polskiego), więc te przygody były naszą „rozrywką”.

Kisorya

Okolo 40 kilometrów od misji nasi poprzednicy wybudowali duży kościół w Kisorii. Było to duże centrum, także spora liczka katolików. Postanowiłem wtedy (za zgodą Księdza Biskupa) wybudować tam nową parafię. Kościół był piękny jak na tamte warunki, ale był problem. Do kościoła wprowadzili się... nietoperze. W ciągu dnia cały dach był pokryty zwisającymi nietoperzami, które doprowadziły do tego, że nie można było odprawić wewnątrz Mszy Świętej, ze względu na smród i spadające różne rzeczy. Odprawialiśmy pod drzewem. Trzeba więc było najpierw oczyścić kościół, usunąć nieproszonych gości. Ale jak? Jedynym sposobem było odkrycie całego dachu. Zrobiliśmy to i po kilku dniach już ich nie było (przeniosły się do sąsiadów). Później szybko przykryliśmy kościół, uważając, aby nie zostawić żadnej szczeliny, żeby nie wrócili. W oknach wszędzie musiały być siatki. Kościół otrzymał wezwanie Matki Bożej Nieustającej Pomocy (Bikira Maria Msaada ya Daima). Rozpocząłem budowę domu dla księdza. Miejscowi parafianie co mogli, to pomagali, choćby kopiąc fundamenty, robiąc pustaki itp. Udało się otrzymać pomoc z Polski – wielkie podziękowanie siostrze klaweriance, moim kolegom rocznikowym i nie tylko. Z Bożą pomocą udało się dokończyć budowę. Razem z ks. Janem udaliśmy się do Księdza Biskupa. Ksiądz Jan chciał powiedzieć, że zgodnie z planem, po sześciu latach chce wrócić do Polski. A ja prosiłem, abym mógł otworzyć nową parafię i tam zamieszkać. Ks. biskup Justin Samba powiedział, że to niemożliwe, bo nie ma księdza do Kibara, a ks. Jan

wyjeżdża. Wtedy ks. Jan powiedział: „To ja zostaję jeszcze na rok”. Dzięki temu ja mogłem otworzyć nową parafię i jestem za to bardzo wdzięczny ks. Janowi. Przeniosłem się więc do Kisorii. Do dziś pamiętam wielki entuzjazm i wielką radość tamtejszych katolików, którzy cieszyli się, że będą mogli codziennie być na Mszy Świętej. A było tam kilku starszych, którzy mieli głęboką wiarę, którą się dzielili z innymi. Liczba parafian szybko wzrastała. Młodzież angażowała się bardzo w życie parafii, zwłaszcza w śpiew, prowadzenie liturgii. Tam naprawdę czułem się jak w rodzinie. To był wspniany czas, choć nie brakowało problemów. Niestety pochorowałem się, malaria nie chciała mnie opuścić. Wtedy postanowiłem wrócić do Polski, choć nie wyobrażałem sobie pożegnania, zostawienia swoich ludzi. Ale musiałem. Wróciłem do Polski, ale po trzech miesiącach poczułem się zdrowy i postanowiłem wrócić do Tanzanii.

Musoma

Po powrocie udałem się do Księdza Biskupa, aby skierował mnie z powrotem do Kisorii. Wtedy usłyszałem, że tam już jest nowy proboszcz, a mnie poprosił, żebym został proboszczem parafii katedralnej. Nie bardzo mi się to uśmiechało, bo wolałem pracować w buszu. Ale skoro biskup tego chce, to wola Boża. I stało się. To był piękny okres pracy misyjnej. Codziennie na Mszy Świętej było dużo ludzi, a w niedziele na wszystkich Mszach Świętych była pełna katedra (bardzo duża). Bardzo ważną rolę odgrywały Małe Wspólnoty (jumuiya ndodndogo) – u nas to Domowy Kościół. Takich wspólnot było kilkanaście, zwykle dzielnica miasta była taką wspólnotą. Spotykali się regularnie raz w tygodniu, czytali zwłaszcza Ewangelię na najbliższą niedzielę, rozważali, modlili się, a gdy mieli dyżur w katedrze, to przygotowywali całą liturgię. Paru katechistów przygotowywało do chrztu i innych sakramentów. Czasami były grupy kilkuset osób przyjmujących chrzest. Dorośli zwykle byli chrzczeni w Wigilię Paschalną, która trwała bardzo długo. Razem ze mną był ks. wikariusz (miejscowy, dużo starszy ode mnie), a także siostry ze Stanów Zjednoczonych, które bardzo pomagały w duszpasterstwie, szczególnie pomagając kobietom. Obok katedry była szkoła średnia na bardzo wysokim poziomie. Prowadzili ją bracia zakonnicy z Indii. Ksiądz Biskup mianował mnie też

wikariuszem biskupim ds. zakonów, więc bardzo często głosiłem rekolekcje, dni skupienia dla miejscowych siostr (kilka razy w roku). Udało się wybudować dość dużą plebanię (poprzednia była malutka i z pustaków glinianych), w której mogli mieszkać księża i były miejsca nas potkania. Później ten dom udoskonalił ks. Kościelniak, a zwłaszcza – założył piękny ogród. Praca duszpasterska dawała dużo, bardzo dużo radości. Problemów nie brakowało, ale o nich się zapomina. Po pięciu latach znów zacząłem się czuć słabo zdrowotnie i podjąłem decyzję o powrocie do Polski. To była trudna decyzja. Nawet nie pożegnałem się z ludźmi (tzn. pożegnałem się tylko w kościele), bo nie byłem w stanie. Dosłownie myślałem, że mi serce pęknie, gdy wyjeżdżałem. Jeszcze dzisiaj stają mi tzy w oczach, kiedy przypomnę sobie wyjazd... na stałe. Dziś dziękuję Bogu za tych 15 lat. Tyłu ochrzciłem, tyłu wyspowiadałem, tyłu udzieliłem innych sakramentów. A przy tym tak umocniła się moja wiara. Dziękuję moim kolegom misjonarzom, zwłaszcza z tego początkowego trudnego czasu (pomocy prawie nie było z Polski), wtedy tak wspieraliśmy się i czekali z tęsknotą, aby co parę miesięcy się spotkać.

Bogu niech będą dzięki za to, że mi pozwolił być Jego misjonarzem. Maryja, Gwiazda Ewangelizacji, Matka Misjonarzy niech opiekuje się dzisiejszymi misjonarzami, tam w krajach misyjnych.



3

Ks. Jan Kabziński

TANZANIA

MYŚLENICE TEŻ NA „M” – JAK MISJE

Moja myśl o pracy na misjach zrodziła się już podczas pobytu w seminarium duchownym (1973-1979). Przez całe lata seminaryjne modliłem się o możliwość wyjazdu. Wieczorem w przeddzień święcen kapłańskich o swoich planach pracy na misjach poinformowałem księdza arcybiskupa Franciszka Macharskiego, który był bardzo zaskoczony, ale i ucieszony. Ksiądz Arcybiskup wyraził zgodę, ale podkreślił, że najpierw trzeba zdobyć doświadczenie w parafii w Polsce. Po święceniach kapłańskich pracowałem w parafii Jaworzno Byczyna, potem w Myślenicach. Jak powiedział ksiądz kardynał Franciszek Macharski, Myślenice też na „M” – jak misje. Rok przed wyjazdem do Tanzanii pracowałem w parafii św. Marka w Krakowie.

Upragnione misje

W sierpniu 1984 roku, z błogosławieństwem metropolity, poprzez Rzym wyjechałem na upragnione misje do Tanzanii. Podczas pobytu w Rzymie kilka razy spotkałem się osobiście z Ojcem Świętym Janem Pawłem II, od którego otrzymałem błogosławieństwo na wyjazd i pracę misyjną. W Dar es Salaam po wyjściu z samolotu doznałem szoku, ponieważ uderzyła mnie tak wysoka temperatura, że nie wyobrażałem sobie, że można tutaj żyć. Następnie samolotem udałem się do Mwanzy, gdzie powitała mnie ulewa, co dla Afryki jest błogosławieństwem, oraz księża: Karol Szlachta i Tadeusz Dziedzic.

Droga do Nyeginy, gdzie proboszczem był ksiądz Karol, była bardzo trudna, jechaliśmy w nocy w deszczu i ogromnym błocie. Byłem naprawdę wystraszony, choć się do tego nie przyznałem. Po około sześciu godzinach przybyliśmy na misję w Nyeginie.

Taki duży (dorosły), a nie umie mówić w suahili

Do czasu pójścia na kurs języka suahili miałem tutaj mieszkać. Ksiądz Karol szybko, bo już po tygodniu, zaproponował, abym odprawiał Mszę Świętą w języku suahili. Do tego czasu języka uczyli mnie księża: Karol, Tadeusz i Edward, a najbardziej ministranci. Ci bardzo się dziwili, że taki duży (dorosły), a nie umie mówić w suahili. Przecież w gazetach, a nawet w samolocie mówią w ich języku. To było z początku trudne, ale dzięki temu bardzo szybko mogłem z nimi rozmawiać, a po miesiącu nawet już spowiadać z karteczką w rękę.

Na taborecie, który był ołtarzem, odprawiłem pierwszą Mszę Świętą

Pierwszą Mszę Świętą odprawiłem w wiosce Kiemba. Kaplicę wykonano z pustaków z błota, nie było okien i drzwi, wierni siedzieli w ławkach wykonanych z tych pustaków. Podłoga to oczywiście ziemia, czyli klepisko. Jako ołtarz mały taboret kuchenny. Nie bardzo wiedziałem, jak się zachować w takich warunkach. Na tym taborecie, który był ołtarzem, odprawiłem pierwszą Mszę Świętą. Dla mnie to było naprawdę Boże Narodzenie!

"Produkcja" pustaków

Postanowiłem, że zrobię wszystko, aby wybudować tu kaplicę, która by była godna sprawowania Mszy Świętej. Po rozmowie z tamtejszymi katolikami ustaliliśmy, że wspólnie wybudujemy nowy kościół. Zaproponowałem, że piasek na pustaki, kamienie i pracę wykonają sami, a ja załatwię pozostałe materiały. Wspólnie wykonaliśmy pierwsze pustaki betonowe, było dużo pracy, bo musieliśmy z jeziora przynieść piasek i wodę, ale się udało. Potem tylko trzeba było kilka razy dziennie podlewać te pustaki i to niestety nie wyszło. Kiedy pustaki chcieliśmy ułożyć, wszystkie się rozsypały. Dopiero za drugim razem udało się zrobić porządne pustaki. Z tych pustaków została wybudowana kaplica, przykryta blachą, cała otynkowana i wymalowana. Wykonaliśmy drzwi drewniane do okien i przede wszystkim ołtarz. Wszyscy razem cieszyliśmy się

z tego wspólnie wybudowanego kościoła. W styczniu rozpoczęła się szkoła językowa suahili.

Po ukończeniu kursu języka biskup Antoni Mayala skierował mnie do pracy jako wikariusza do Nyeginy. Razem z księdzem Karolem troszczyliśmy się o zapewnienie duszpasterstwa w każdej wiosce, która należała do naszej parafii. Katechizację w szkołach prowadzili katecheci i oni przygotowywali dzieci i dorosłych do sakramentów świętych (chrzest, bierzmowanie, sakrament małżeństwa). Wybudowaliśmy grootę, w której umieściliśmy figurę Matki Bożej. Często można było zobaczyć tam modlących się ludzi, a szczególnie dzieci. Otrzymaliśmy jako misjonarze z Krakowa pomoc, która odmieniła nasze życie w Tanzanii. Były to różne i bardzo przydatne rzeczy typu: koszule, koce, ręczniki, środki czystości, rzeczy codziennego użytku. Ofiarodawca był nieznanym i prosił, aby nie pytać ani nie dziękować.

Odprawialiśmy po kilkanaście Mszy Świętych...

6 stycznia 1986 roku ksiądz biskup Justin Samba przeniósł mnie i księdza Tadeusza do parafii Kibara. Ksiądz Tadeusz został proboszczem, a ja jego wikarym. Misja była bardzo duża i obejmowała około 50-60 wiosek, 30 szkół i 32 punkty, gdzie odprawialiśmy Mszę Świętą. Sama Kibara była miasteczkiem, gdzie znajdowały się szpital, kilka sklepów i stacja benzynowa, na której prawie zawsze brakowało paliwa. Był również zakład przerobu bawełny, wybudowany jeszcze w czasach, kiedy Tanzania była kolonią niemiecką i później, po I wojnie światowej, angielską. W tym zakładzie kilkadziesiąt osób miało pracę. Msze Święte były w większości odprawiane w szkołach, a warunki podobne jak na poprzedniej misji.

W parafii były dwa centra: Kibara i Kisoria. W święta Bożego Narodzenia czy Wielkanocy odprawialiśmy po kilkanaście Mszy Świętych, aby we wszystkich kaplicach została odprawiona przynajmniej jedna Msza. Cała misja liczyła około 1200 kilometrów kwadratowych. Życie ludzi nie było łatwe. Duże bezrobocie, żadnej pra-

cy, ludzie utrzymywali się tylko z tego, co mogli uprawiać i co ziemia urodziła. Uprawiano przede wszystkim maniok, kukurydzę i ziemniaki słodkie, a w porze deszczowej ryż.

Głód...

W latach 1987-89 w naszym rejonie zaplanował głód. Zaraza zniszczyła plantację manioku, który jest podstawą żywienia. Kościół organizował pomoc żywnościową dla wszystkich mieszkańców parafii. Dużą trudnością była dystrybucja i dostarczenie pomocy do wiosek, ponieważ brakowało dróg, a jeśli nawet były, to w porze deszczowej nie dało się przejechać.

Mimo tych trudności praca duszpasterska przynosiła radość i satysfakcję. Co dzień staraliśmy się być w innej wiosce. Tam spotykaliśmy się z mieszkańcami (dzieci, młodzież, starsi, osoby przygotowujące się do sakramentów, katecheza). Przygotowanie do Mszy Świętej obejmowało spowiedź i próbę śpiewu pieśni do liturgii. Kiedy wszystko było zorganizowane, odbywała się Msza Święta, po której następowały wspólny posiłek i rozmowy. Wiernych wyznania rzymskokatolickiego w naszej parafii było około 10 000. Ta liczba ciągle wzrastała. Prowadziliśmy przygotowanie do chrztu, które trwało trzy lata. W całej misji w katechumenacie brało udział około 500 osób. Przygotowanie do chrztu spoczywało na katechistach, którzy również mieli swoją formację w Kibarze, przynajmniej raz w miesiącu.

LUDZIE

UTRZYMYWALI SIĘ

TYLKO

Z TEGO, CO MOGLI

UPRAWIAĆ

I CO ZIEMIA

URODZIŁA.

Na terenie parafii było wiele wyznań

Oprócz wyznań chrześcijańskich, wielu ludzi było wyznania islamskiego. To nie był islam agresywny, ale raczej tolerancyjny. Pamiętam, jak kiedyś deszcz rozmył im meczet, to przyszli prosić nas o pomoc. Czasami nawet na święta Bożego Narodzenia część z nich przychodziła do naszego kościoła na pasterkę. Większość jednak mieszkańców wyznawała religię swoich ojców, czyli pogaństwo, które stanowiło 30 procent mieszkańców całej ludności.

Za żonę kilka krów...

Dużym problemem były przygotowania do sakramentu małżeństwa. Powodem był zwyczaj złożenia daru czy zapłaty za żonę. Rodzina pana młodego musiała po prostu wykupić żonę. Często było to kilka krów czy innych rzeczy, jak na przykład narzędzia rolnicze, elementy wyposażenia domów, a także pieniądze czy inne drobiazgi. Gdy narzeczony nie złożył takiego daru, to ojciec panny młodej w każdej chwili mógł zabrać jego żonę i dzieci. Jeśli jednak narzeczonego nie było stać na złożenie daru, wtedy żyli bez ślubu i zdarzało się to często. Dlatego ślubów rocznie było tylko kilkanaście.

Proces budowy kościołów...

Sam proces budowy Kościołów był bardzo interesujący. Najpierw rozmawialiśmy z mieszkańcami danej miejscowości o potrzebie budowania kościoła. Potem była zawierana umowa z mieszkańcami, na podstawie której zobowiązywali się do zabezpieczenia materiałów budowlanych im dostępnych, takich jak: piasek do zrobienia pustaków, kamienie na fundamenty, wodę, o którą było bardzo trudno, a którą kobiety nosiły na głowie z Jeziora Wiktorii. Oferowali również pomoc fizyczną przy budowie. Inne materiały, takie jak cement, drzewo, blachy i murarzy miał zorganizować proboszcz. Mieszkańcy zobowiązywali się także do prowadzenia uprawy bawełny, manioku, kukurydzy, które sprzedawali i w ten sposób powoli zwracali koszty budowy. I tak to się odbywało przez całe lata. Dzięki takim inicja-

tywom mogły powstać także inne obiekty, jak choćby przedszkole w budynku pierwszego kościoła parafialnego. Do przedszkoli uczęszczało łącznie ponad 60 dzieci. Dzieci miały zapewnione posiłki przez całą dzień, były też jednakowo ubrane.

Przychodziła do nas młodzież

Każdego dnia po zajęciach i Mszach Świętych, szczególnie w niedzielę, razem z księdzem Tadeuszem siadaliśmy przed domem (plebanią) i wtedy przychodziło do nas wiele młodzieży. Siadali na schodach obok nas i prowadziliśmy z nimi rozmowy na różne tematy, nie tylko religijne, ale na te, które ich interesowały. Często też opowiadaliśmy im o Polsce i różne inne ciekawe historie. Z tej grupy dwóch młodych chłopaków wstąpiło do seminarium.

Na misjach doświadczyłem powszechności Kościoła

Swoją pracę na misjach zakończyłem w czerwcu 1991 roku i wróciłem do Polski. To był piękny okres mojego życia. Cieszę się, że mogłem jakąś część życia kapłańskiego przeżywać jako misjonarz. Tam doświadczyłem powszechności Kościoła i ten okres umocnił moją wiarę i szersze spojrzenie na Kościół. Nadal często wracam do Tanzanii, bo przecież wciąż jestem misjonarzem, choć w inny sposób. Jak mogę, tak wspieram dzieło misyjne Kościoła, szczególnie modlitwą.

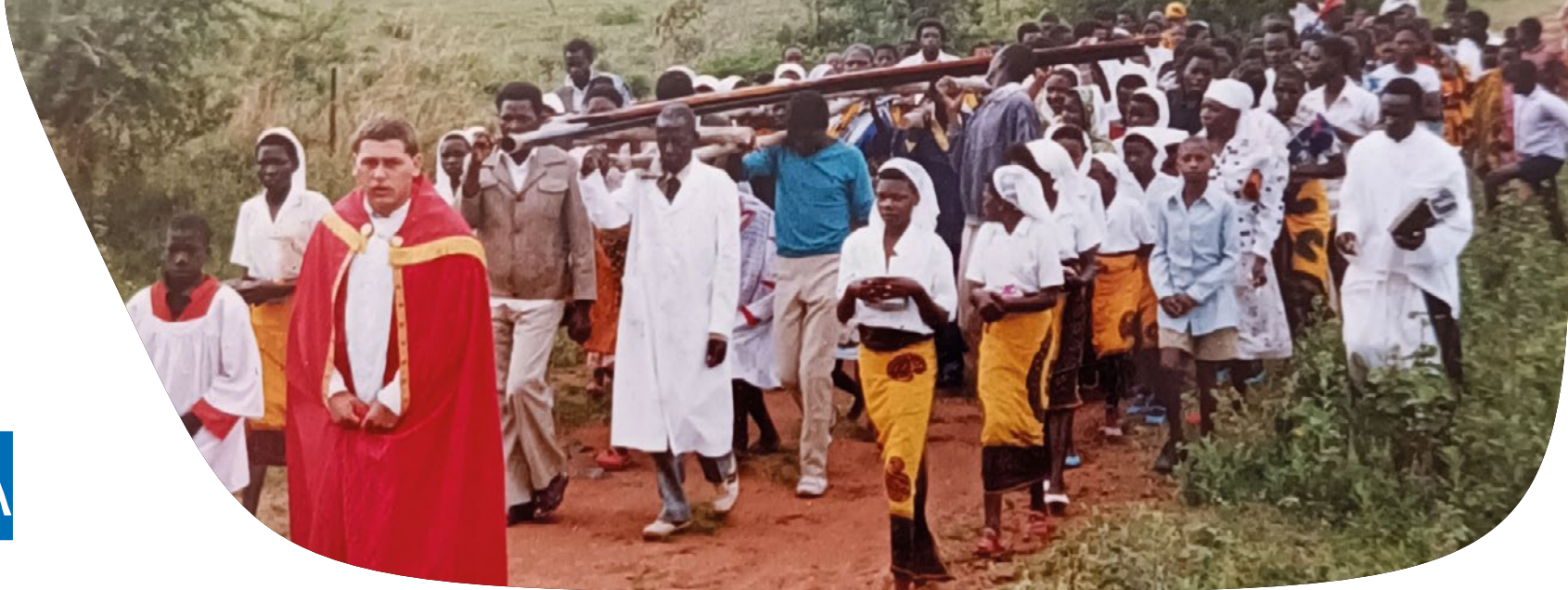
**CIESZĘ SIĘ,
ŻE MOGŁEM JAKĄŚ
CZĘŚĆ ŻYCIA
KAPŁAŃSKIEGO
PRZEŻYWAĆ JAKO
MISJONARZ.**





Ks. Krzysztof Chromy

TANZANIA



W DOMU PREZYDENTA ODPRAWIAŁEM MSZE ŚW.

Podczas pobytu w seminarium interesowałem się misjami, prowadziłem nawet „kółko misyjne” dla kleryków, na 4 roku. Rektor krakowskiego seminarium, ks. Stanisław Nowak, w końcu zapytał mnie, czy chciałbym wyjechać na misje. Odpowiedź na to pytanie była oczywista.

Postanie na studia do Rzymu

Ojciec Święty Jan Paweł II, wizytując Collegium Urbanum, został poproszony o przysłanie z Krakowa trzech kleryków. I tak też się stało – ja byłem jednym z nich. To było wyjątkowe doświadczenie uniwersalności Kościoła i dojrzewanie do kapłaństwa w bliskości następcy św. Piotra... 2 czerwca 1985 roku, w Uroczystość Najświętszej Trójcy przyjąłem święcenia kapłańskie w Bazylice św. Piotra na Watykanie, przez modlitwę i włożenie rąk Jana Pawła II. Stałem się kapłanem na wieki. Alleluja!

W sierpniu 1986 roku wyjechałem na kurs języka angielskiego do Irlandii, do diecezji Armah, do parafii w Dundalk, który miał być bezpośrednim przygotowaniem do wyjazdu na misje. Następnie, polecałem już do Afryki, do diecezji Musoma, gdzie była szkoła języka kiswahili, i gdzie odbywałem praktykę u ks. Karola Szlachty w parafii Mugango. Pierwszych chrztów na afrykańskiej ziemi udzieliłem we wsi Kamugegi: do sakramentu przystąpiło wówczas 20 katechumenów. Ks. Karol bardzo się o nas troszczył, dbał, abyśmy mieli co jeść, sprzedawał nawet węgiel drzewny wożąc go do hotelu Musoma, by za każdym razem zarobić coś dla wspólnego dobra. Czasy były trudne, lecz z każdym rokiem stawały się coraz lepsze. Szczególnie po wizycie w 1987 roku, ks. kard. Franciszka Macharskie-

go, który obiecał – i słowa dotrzymał – 10 dolarów za intencję Mszalną każdemu i na każdy dzień. Ksiądz Kardynał bardzo pomógł przy remoncie kaplicy seminarium w Makoko. W 1993 roku ks. Stanisław Dziwisz ustanowił Fundusz Misyjny dla kapłanów Fidei Donum z Archidiecezji Krakowskiej.

Wizyta kardynała Franciszka w diecezji Musoma w Tanzanii była bardzo dobrym czasem. Wspólnie odwiedziliśmy wszystkie parafie, w których posługę pełnili krakowscy misjonarze; Ksiądz Kardynał udzielał sakramentu Bierzmowania, odprawiał Msze Święte i dobrze sobie radził z czytaniem i wymową w języku kiswahili (kazania tłumaczył ks. Tadeusz Dziedzic).

Spracowane ręce Mamy

Śmierć mojej Mamy Eleonory (6 sierpnia 1987; miała tylko 53 lata), była dla mnie wydarzeniem tragicznym. Byliśmy bardzo związani, wiedziałem, że odtąd nie mam już domu, bo – "gdzie Mama tam dom". Z wdzięcznością wspominam jej spracowane ręce; musiała pracować za dwoje, bo Tata, Józef, zmarł po wypadku przy młockarni, gdy byłem małym dzieckiem. Mama musiała utrzymać więc mnie i siostrę. Jestem bardzo wdzięczny pracującym wtedy w Tanzanii i diecezja Musoma kapłanom za okazaną pomoc i braterskie wsparcie.

Towarzyszenie trędowatym

Wtedy po raz pierwszy spotkałem trędowatych, którzy przebywali w szpitalu w Shirati. Była to grupka około 20 osób, które tam leczono. Oprócz podawania leków poddawano ich także amputacjom kończyn, a po pewnym czasie zakładano protezy. Towarzysze-

nie im przed i po operacji dawało im wiele radości i nadziei na lepsze życie. Najważniejszy był dla nich uścisk dłoni, czasem mieli tylko kikut bez palców, które już odpadły... Ale każde dotknięcie ich z miłością otwierało serca na przyjaźń i szacunek. Kto się na to odważał – stawał się przyjacielem, bo nie wahał się podać im pomocnej dłoni, z serdecznością i życzliwością, bez strachu, że się zarazi.

Moim pierwszym probostwem w Tanzanii było Zanaki, wtedy bardzo duża parafia. Do pomocy miałem przez pewien czas dwóch wikariuszy: Tanzańczyka i Amerykanina. Na samym początku konieczny był remont kościoła i plebanii, udało się też załatwić maszynę do mielenia kukurydzy, prosa, kasawy itp. Była to pomoc dla miejscowych ludzi, niewielka część tego dochodu pomagała w utrzymaniu misji.

U Prezydenta w domu

W tamtym czasie, na emeryturę przeszedł Ojciec Narodu Prezydent Juliusz Kambarage Nyerere. Przyjechał przywitać nowego proboszcza Zanaki, a sam zamieszkał w swoim domu w Butiamie oddalonym o jakieś 10 km od Zanaki. Przyjeżdżał więc na Mszę Świętą prawie codziennie. Po jakimś czasie zapytałem, czy chciałby, aby w jego domu była codziennie odprawiana Msza Święta. Ucieszył się i tak rozpocząłem sprawowanie codziennej Mszy Świętej w przygotowanym pokoju prezydenckiej rezydencji. Łatwiej było mi pojechać do niego, niż jemu do nas z całą obstawą. Prezydent Nyerere był bardzo pobożnym człowiekiem, często przystępował do sakramentu pokuty, codziennie uczestniczył we Mszy Świętej i przyjmował Komunię Świętą. Przy codziennym śniadaniu wiele rozmawialiśmy na różne tematy: mówił, że jako Prezydent nigdy nie podpisał osobiście wyroku kary śmierci. Był też poetą, napisał poemat w języku kiswahili fragment Ewangelii – rozmowę uczniów idących do Emaus. Jako „ojciec Narodu” troszczył się o swój lud, chciał, by wszyscy mieli jednakowo, stworzył ujamaa: „socjalizm tanzań-

ski – więzi rodzinne – braterstwo”, stwierdzając po latach, że jest to utopia, bo nie da się wszystkim dać „po tyle samo, aby mieli tyle samo”. Jako jedyny prezydent w Afryce dobrowolnie przeszedł na emeryturę i mówił, żeby Pan dał mu tak długie życie, aby mógł towarzyszyć dwóm jego następcom w wypełnianiu urzędu prezydenta i to zostało przez Boga wysłuchane. Dziś jest Sługą Bożym, rozpoczęto przygotowania do procesu beatyfikacyjnego.

Odprawiając codziennie Mszę Świętą u prezydenta, zrodziła mi się myśl o budowie kościoła w Butiamie. Prezydent dał plac pod kościół, a my przygotowaliśmy odpowiednio teren i z macierzystej misji Zanaki, w uroczystej procesji, niosąc ogromny krzyż do Butiamy, uroczystie poświęciliśmy plac pod budowę. Pod krzyżem sprawowaliśmy po raz pierwszy Mszę Świętą. Kościół budowali wolontariusze (30 osób) z diecezji Verona we Włoszech, na czele z misjonarzem, księdzem Cezare ze Zgromadzenia Najświętszych Stygmatów (stigmatini z Verony).

Wizyta apostolska papieża Jana Pawła II w Tanzanii (1-5 września 1990 roku)

Celem pielgrzymki papieża było spotkanie z wiernymi Kościoła katolickiego i umocnienie ich w wierze. Papież udzielił grupie dzieci I Komunii Świętej, 100 osobom sakramentu bierzmowania, 43 diakonom święceń prezbiteratu, a 19 par odnowiło przyrzeczenia małżeńskie. W homiliach papież mówił o małżeństwie i rodzinie, o wierności i nierozzerwalności tego związku, o obronie poczętego życia. Kolejnym wiodącym tematem była nowa ewangelizacja. W przemówieniu do korpusu dyplomatycznego papież poruszył dwa istotne problemy nękające kraje Afryki. Mówił o uchodźcach i chorobie AIDS. Podczas pożegnania, które miało miejsce u stóp Kilimandżaro, wskazując na górę, Jan Paweł II powiedział: „W Piśmie Świętym góry zawsze były znakiem obecności Boga – Afryka jest Boża”.



Spełnione marzenie św. Jana Pawła II

Nasze spotkanie krakowskich misjonarzy z Ojcem Świętym Janem Pawłem II, odbyło się w Mwanzi. Jakaż to była radość! Papież, gdyby mógł, pojechałby do naszych misji. Żywo interesował się naszą postugą, prosił by mu przedstawić, który to nasz biskup; przedstawiliśmy ks. biskupa Justyna Sambę. Było bardzo rodzinnie, Ojciec Święty nas znał, wszyscy byli zaurzeczni bezpośredniością z jaką z nami rozmawiał. Były wywiady w Radiu Watykańskim, spotkania z ks. Stanisławem Dziwiszem, ks. Tadeuszem Rakoczem oraz z wieloma kardynałami i biskupami, którzy towarzyszyli Ojcu Świętemu. Papież wszystkim mówił: "to moi księża z Krakowa", spełniło się Jego marzenie o posyłaniu krakowskich księży do Tanzanii. Dzieło to rozpoczęło się podczas Soboru Watykańskiego II, kiedy ks. biskup Karol Wojtyła, później kardynał, nawiązał znajomość i przyjaźń z pierwszym afrykańskim kardynałem Laurenem Rugambwa, arcybiskupem Dar es Salaam, którego kardynałem kreował 28 marca 1960 roku papież Jan XXIII. Był członkiem Głównej Komisji Przygotowawczej Soboru Watykańskiego II, a potem aktywnie uczestniczył w jego pracach. Kładł duży nacisk na wprowadzenie do liturgii elementów rodzimej kultury, był gorącym rzecznikiem apostołatu świeckich. Należy podkreślić, że następca na stolicy św. Stanisława w Krakowie, kardynał Franciszek Macharski, kontynuował Dzieło Misyjne rozpoczęte przez kardynała Wojtyłę, a przez następne lata rozszerzał postugę krakowskich misjonarzy na inne kraje misyjne na świecie.

Niespodziewana zmiana

To było listopadowe późne popołudnie, wróciłem z odwiedzin w stacjach misyjnych – kaplicach dojazdowych, zjadłem obiad i zacząłem czyścić zbiorniki na wodę deszczówkę, by przed kolejną porą deszczową nabierać wody na przyszłe miesiące. Zobaczyłem nadjeżdżający samochód, a w nim trzech biskupów: arcybiskupa Antony'ego Mayala z Mwanzy, biskupa Aloysiusa Balina z Geity i biskupa Justina Sambę z Musomy. Pomyślałem: byli u Prezydenta Juliusa Nyerere, dobrze, że mnie odwiedzili, zastanawiałem się czym ich poczęstuję, bo miałem tylko trzy butelki wody do picia. Przyjechali, weszli na plebanie, zaczęliśmy rozmawiać, napili się wody, a w pewnym momencie arcybiskup Antony Mayala poprosił, by zamknąć drzwi, by nikt nie słyszał rozmowy i mówił, że mieli spotkanie w Musomie w sprawie Seminarium w Macoco. Odwołali rektora i wszyscy trzej razem poprosili, bym to ja zostałem nowym rektorem Seminarium św. Piusa X. Zanieważ nie miałem takiej propozycji nigdy się nie spodziewałem. Zapytałem, ile mam czasu na zastanowienie i usłyszałem: „Ubieraj się i jedź z nami, alumni na ciebie czekają”.

Poprosiłem biskupa Justyna Sambę, by na moje miejsce postąpił ks. Karol Szlachta, żeby kontynuował dzieło rozpoczęte w Butiamie i Nyamuswa. W Nyamuswa był już narysowany projekt kościoła, przez mojego znajomego z Verony, Włocha, który później ks. Karol Szlachta wykorzystał, a przede wszystkim znalazł darczyńców na budowę (Bazylikę Mariacką w Krakowie) i wybrał wezwanie św. Stanisława biskupa i męczennika.

Zostałem rektorem, alumni przyjęli mnie bardzo serdecznie, wręcz entuzjastycznie – ku radości księży biskupów i mojej. Tak rozpocząłem intensywną postugę w Macoco. Musiałem się dużo uczyć jak zorganizowane jest szkolnictwo w Tanzanii. W przypadku Niższego Seminarium podstawą przyjęcia było pomyślne zdanie egzaminów. Ze wszystkich kandydatów przyjmowało się 60 uczniów z najlepszymi wynikami i opiniami duszpasterzy.

W tamtym czasie za naukę w seminarium pobierane było czesne w wysokości 100 dolarów rocznie. Było to niemałe obciążenie dla rodziny. Dlatego starałem się szukać dobrodziejów misji, którzy byli skłonni ofiarować pieniądze i opłacić czesne najzdolniejszym a ubogim seminarzystom. Na przestrzeni kilku lat w ten sposób pomogliśmy 80 seminarzystom. Poziom nauczania w był bardzo wysoki: z 10 miejsca w rankingu szkół prywatnych osiągnęliśmy trzecie miejsce w skali kraju. Miałem to szczęście z rąk ministra edukacji w Dar-es-salam odebrać dyplom uznania dla naszego seminarium. Oprócz pracy formacyjnej i administracyjnej, trzeba było zadbać o wyżywienie 240 alumnów, a w tamtym czasie było to niemałe wyzwanie. Nauczycielami byli świeccy misjonarze Maryknoll z USA, świeccy nauczyciele Tanzańczycy mieszkający na terenie seminarium w domach z rodzinami, wspólnota księży formatorów oraz świeccy kucharze i kucharki, i pracownicy administracji. Trzeba było budować „jedność w różnorodności”.

Prace remontowe i budowlane w Seminarium

Do dziś w głównym ołtarzu kaplicy seminaryjnej wiszą dwa obrazy: Matki Bożej Częstochowskiej i Pana Jezusa Miłosiernego. Zbudowaliśmy jadalnię połączoną z salą teatralną, ogrodzenie, dwa domy dla nauczycieli świeckich, budynek dwóch klas dla 60 alumnów; otwarliśmy poziom wyższy szkoły średniej w seminarium w bloku trzech przedmiotów: HGL: historia, geografia i język angielski, oraz – PCB: fizyka, chemia, biologia.

Po pewnym czasie biskupi w Tanzanii wprowadzili rok propedeutyczny przed wstąpieniem do Wyższego Seminarium Duchownego, co uczynił również biskup Justin Samba w diecezji Musoma. W maju 1991 zostałem poproszony o poprowadzenie również roku propedeutycznego. W tym samym czasie, od maja 1991 biskup Justin Samba mianował mnie wizytatorem katolickich szkół w diecezji Musoma. Doszły nowe obowiązki i wiele satysfakcji z tym związanej.

Nieoczekiwanie nadeszła kolejna zmiana. Kard. Franciszek Macharski poprosił mnie podjęcie studiów doktoranckich w Rzymie. Wszystko było już załatwione, dlatego w czerwcu 1993 roku opuściłem Tanzanię

i udałem się na studia do Rzymu. Studiowałem na uniwersytecie Urbanum, pracę doktorską obroniłem 19 listopada 1996 („Duchowość misyjna kapłana w Synodzie Biskupów w roku 1990 i w Pastores Dabo Vobis”).

„Każdy Kapłan to misjonarz dla świata”

Dziękuję ks. kardynałowi Franciszkowi Macharskiemu, za zaufanie, za dobroć i serdeczność, za studia rzymskie, ten błogosławiony czas dojrzewania akademickiego przy grobie Apostoła Piotra, przy Jego następcy Janie Pawle II. Dziękuję za uwrażliwienie mnie na sposób sprawowania Eucharystii na wzór Ojca Pio i św. Jana Pawła II.

Dziękuję siostrze misjonarce św. Piotra Klawera - klaweriance, za ich pomoc materialną na każdym etapie, podczas pracy misyjnej oraz podczas studiów w Rzymie.

Trzydzieści lat temu, w czerwcu 1993 roku, opuściłem Tanzanię, więc to co pisałem, pisałem o tamtym czasie i tamtym przeżywaniu misji. W tamtym czasie budowaliśmy, organizowaliśmy z biskupem Justinem Sambą diecezję Musoma. /Tulikuwa tunapojenga Jimbo la Musoma/. Dziś zapewne Tanzania jest innym krajem z innymi wyzwaniami misyjnymi. Dziękuję Panu Bogu za mój błogosławiony czas pracy misyjnej, kiedy to byłem gotów umrzeć dla Jezusa Chrystusa mojego Pana i misji głoszenia wszystkim zbawienia przyniesionego przez Jego Mękę, Krzyż i Zmartwychwstanie.

Mungu ni Upendo – Boże Błogosław Afrykę, pobłogosław Tanzanię i jej mieszkańców.





Śp. ks. Karol Szlachta

TANZANIA

CHORYCH NA CHOLERĘ WOZIŁEM SWOIM SAMOCHODEM

O ŚP. KSIĘDZU KAROLU SZLACHCIE
PISZE KSIĄDZ TADEUSZ DZIEDZIC

Ksiądz Karol Szlachta święcenia kapłańskie przyjął 18 maja 1974 roku z rąk metropolity krakowskiego księdza kardynała Karola Wojtyły. Po święceniach pracował w parafiach Łapanów i Chełmek. W czasie pracy w parafiach dojrzewała u niego myśl o wyjeździe na misję. Ksiądz kardynał Wojtyła zgodził się na jego wyjazd. Najpierw poszedł na kurs języka angielskiego do Londynu, a później w sierpniu 1978 roku do Tanzanii, gdzie pozostał do końca.

Ukochana Tanzania

W stolicy Dar es Salaam uczył się języka suahili. Miejscowy biskup John Rudin (Amerykanin) skierował go do pracy w parafii Mabui. Po trzech latach został mianowany proboszczem w najstarszej parafii diecezji – Nyegina. W 1983 roku podczas pobytu w Polsce uległ wypadkowi. Istniało prawdopodobieństwo, że nie wróci do głoszenia Ewangelii w ukochanej Tanzanii. Po wypadku spędził kil-

ka tygodni w Lipnicy, a gdy poczuł się lepiej, wrócił do Tanzanii. Tam czekał na niego nowy misjonarz ksiądz Tadeusz Dziedzic, który ukończył naukę języka suahili. Razem z nowym wikariuszem dbali o to, by we wszystkich wioskach chrześcijanie mogli jak najczęściej uczestniczyć we Mszy Świętej.

Epidemia cholery

Najbardziej zapamiętano go w parafii Nyegina za odwagę w czasie epidemii cholery. Władze zabroniły mu wozić chorych ludzi jego samochodem w obawie, że może się zarazić. On się tym nie przejął. Sam się nie zaraził, a uratował wielu. Kolejne jego parafie to Mugango, Zanaki i Butiama. Butiama to wioska, z której pochodził pierwszy prezydent Tanzanii Julius Kambare Nyerere – katolik. W Butiamie kościół wybudowali Włosi. Ksiądz Karol doglądał budowy. Ludzie zapamiętali go, że wychodził nawet na dach, aby sprawdzać, czy wszystko dobrze zrobione.

Wotum wdzięczności za 1000 lat archidiecezji krakowskiej

Założył nowy ośrodek duszpasterski w Nyamyswa, gdzie wybudował kościół pod wezwaniem Świętego Stanisława Biskupa i Męczennika – wotum wdzięczności za 1000 lat archidiecezji krakowskiej (ofiary pochodziły z archidiecezji krakowskiej). Wybudował kilka kościołów wyjazdowych, między innymi dzięki ofiarom z parafii mariackiej w Krakowie. Był pierwszym misjonarzem z archidiecezji krakowskiej w diecezji Musoma. Wszyscy, którzy przyjechali tam później z Krakowa, stawali przy nim, jako misjonarze, pierwsze kroki. Zmarł nagle 24 listopada 2002 roku, utrudzony i zmęczony pracą. Przez ostatnie dwa dni nie wychodził z pokoju, czuł się źle. Zmarł na wylew w uroczystość Chrystusa Króla. 27 listopada odbyła się Msza Święta pogrzebowa pod przewodnictwem biskupa Justina Samby w katedrze w Musomie, kazanie wygłosił ksiądz Tadeusz Dziedzic.

SZCZEGÓLNI
ZAPAMIĘTANO GO
ZA ODWAGĘ
PODCZAS
EPIDEMII
CHOLERY.

Potem przewieziono ciało w orszaku żałobnym do Nyamuswy, gdzie następnego dnia ksiądz Karol został pochowany w grobie zbudowanym tuż obok wejścia do kościoła, który zbudował. Tam, co roku w rocznicę śmierci spotykają się polscy misjonarze, aby razem z parafianami modlić się za pierwszego ich proboszcza. Obecnie parafia ta należy do nowo-powstałej diecezji Bunda.



Fotografia 1: Msza Święta w rocznicę śmierci ks. Karola Szlachty, Nyamuswa, Tanzania

Fotografia 2: Przy grobie ks. Karola Szlachty, Nyamuswa, Tanzania

6

Ks. Konrad Caputa

TANZANIA

NASZ KOŚCIÓŁ, NIE ŚWIECI PUSTKAMI

Już w pierwszych latach seminarium chciałem wyjechać na misje. Opatrznościowo, po czwartym roku nauki w seminarium, trafiła się okazja na wyjazd do kolegium misyjnego w Rzymie. Przez trzy lata miałem okazję mieszkać i studiować razem z klerykami i kapłanami pochodzącymi z krajów misyjnych, prawie ze wszystkich kontynentów.

Po otrzymaniu święceń kapłańskich w 1985 roku wyjechałem najpierw na kilkumiesięczny pobyt do Irlandii, by nauczyć się języka angielskiego. A na początku stycznia 1986 roku wylądowałem w Tanzanii. Rozpocząłem naukę języka swahili.

Zostałem posłany do pomocy do parafii Komuge, gdzie proboszczem był ksiądz Edward Gorczyta z diecezji katowickiej. W tej parafii pracowałem do roku 1988.

W roku 1988, w święto Wniebowzięcia Matki Bożej, zostałem posłany, razem z księdzem Krzysztofem Chromym do nowej parafii Masonga leżącej nad Jeziorem Wiktorii, przy samej granicy z Kenią. Parafia oprócz wioski, gdzie była misja, liczyła jeszcze 11 wiosek dojazdowych w promieniu około 15 kilometrów. W skali diecezji była to raczej mniejsza parafia. Na samym początku skupiliśmy się na pozyskaniu terenu w każdej wiosce pod budowę kaplic. Msze zwykle odpra-

wialiśmy w szkołach podstawowych lub pod gołym niebem. Po otrzymaniu działek w poszczególnych wioskach rozpoczęliśmy razem z wiernymi budowę prostych kaplic/baraków z ziemi pokrytych trawą. W tamtym czasie ludność była bardzo biedna, a i my sami finansowo żyliśmy z dnia na dzień. Dopiero w latach 90. otrzymaliśmy pierwszą pomoc z Kongregacji Rozkrzewiania Wiary na budowę kaplic.

Na terenie parafii leżała miejscowość Shirati założona przez misjonarzy protestanckich ze Stanów Zjednoczonych. Był tam duży szpital dość dobrze wyposażony i z fachowym personelem. Przy szpitalu znajdowały się nowoczesny ośrodek badań malarii i duży oddział dla trędowatych. Miejscowość rozwijała się dość szybko, więc nasz biskup diecezjalny postanowił tam rozpocząć budowę nowej parafii. W 1992 roku nuncjusz apostolski w Tanzanii, arcybiskup Agostino Marchetto, poświęcił kamień węgielny pod budowę szkoły średniej, drugi kamień węgielny pod budowę nowej misji/plebanii w Shirati i trzeci pod budowę nowego kościoła parafialnego w Shirati. W grudniu 1993 roku zostałem przeniesiony na nowo powstającą parafię w Shirati. Dzięki pomocy wielu dobrych ludzi i organizacji pomocy misjom udało nam się w ciągu kilku lat wykończyć plebanię i budynki gospodarcze. Zbudowaliśmy dom dla katechisty i dom dla biednych, sierot i bezdomnych. Po kilku latach otrzymaliśmy duży teren pod budowę szkoły podstawowej – najpierw powstało przedszkole, a następnie pierwsze klasy. W roku 2005 rozpoczęliśmy budowę konwentu dla sióstr, a po roku przybyły do nas siostry słuźebniczki starowiejskie z prowincji zambijskiej.

W roku 2018 mieliśmy wielką uroczystość konsekracji naszego kościoła parafialnego, którego budowa rozpoczęła się w pierwszych latach powstania parafii. Ze względu na brak finansów budowa trwała tak długo, aż stała się obiektem żartów. Chociaż nadal jest jeszcze sporo do zrobienia, już teraz jest on dumą wszystkich parafian.

Kościół jest duży (ponad 1000 m²), ale nie świeci pustkami, na codziennych Mszach Świętych jest kilkanaście/kilkadziesiąt osób i liczba ta stale rośnie. Pomimo że środowisko, w którym jesteśmy, jest zdominowane przez różne wyznania protestanckie i lokalne wierzenia tradycyjne, to co roku przybywa nam nowych chrześcijan. Od pierwszego chrztu świętego w styczniu 1994 roku mieliśmy ponad 4000 ochrzczonych. Mamy dwóch kapłanów i kilkanaście sióstr zakonnych pochodzących z naszej parafii. Obecnie mamy dwóch kleryków na trzecim roku seminarium, dwóch kleryków na roku formacyjnym i jednego kandydata do wstąpienia do seminarium. Dwóch braci w tym roku złożył swoje pierwsze śluby zakonne, a pięć dziewcząt

jest na różnych stopniach formacji zakonnej. Nasza parafia jest pod patronatem Dziewicy Maryi Zwycięskiej Królowej Różańca Świętego, tytuł może nietypowy i wyjątkowo długi, ale ma swoje znaczenie i parafianie mają dużą cześć i nabożeństwo do Matki Bożej, co przejawia się w odmawianiu różańca codziennie przed Mszą Świętą i noszeniu Cudownego Medalika, który jest bardzo powszechny i powoli zaczyna wypierać tradycyjne talizmany zakładane dzieciom czy chorym.

Od 2002 roku odbywa się w parafii stała peregrynacja figurki Matki Bożej Fatimskiej, która codziennie odwiedza poszczególne wioski i wspólnoty. Każdy z parafian może ją przyjąć do domu na jeden lub więcej dni, zobowiązując się odmówić codziennie cały różaniec. Pomimo tzw. postępu, wchodzącego na siłę też do Tanzanii i niszczącego zdrowe podstawy życia rodzinnego, które tutaj jest jeszcze bardzo ważne, mamy ufność, że za wstawiennictwem naszej przemożnej Patronki, Najświętszej Maryi Panny, uda nam się przetrwać tę próbę i zachować wiarę. Tak nam dopomóż Bóg!



7

Ks. Wojciech Kościelniak

TANZANIA

CO MISJE ZE MNA
ZROBIŁY?

Wyjechałem z Krakowa do Tanzanii w Afryce Wschodniej w 1990 roku, dwa lata po święceniach kapłańskich w katedrze wawelskiej (22 maja 1988) udzielonych przez śp. ks. kardynała Franciszka Macharskiego. Miałem wtedy 27 lat.

Czego nauczyło mnie życie w północno-zachodniej Tanzanii, w diecezji Musoma, położonej między Jezio-rem Wiktorii a Parkiem Narodowym Serengeti, w małej miejscowości Kiabakari, do której Pan posłał mnie – zwykłego chłopaka z bloku na Grzegórkach w Krakowie – bez żadnego przygotowania, prosto z ulicy, mając od kardynała Macharskiego bilet do Afryki w jedną stronę, i to w czasie, gdy nie było jeszcze w Tanzanii ani komórek ani telewizji, a list pisany do moich rodziców szedł pocztą z Tanzanii do Polski trzy tygodnie i z Polski do Tanzanii tyle samo? Tyle wiedziałem o Tanzanii, co mogłem wyczytać w jedynym przewodniku po Tanzanii i Kenii, jaki udało mi się wtedy zdobyć w księgarni. W odpowiedzi na to pytanie nie opiszę Wam mojej codziennej pracy na misjach, bo trudno streścić 33 lata życia w Tanzanii w kilku zdaniach.

Czego zatem nauczyły mnie misje? Powiem tak: to czas, w którym otrzymałem wiele życiowych lekcji. Zatrzymam się na czterech.

Pierwsza lekcja

To spojrzenie na życie oczami wiary, która mówi mi, że w naszym życiu nie ma przypadków i że w planach Opatrzności Bożej ostatecznie wszystko służy naszemu dobru - nawet zło, choroby, cierpienie i krzyż. Takie spojrzenie zrodziło wdzięczność za wszystko, czego doświadczyłem w moim życiu na misjach. Za to co

boskie, za to co ludzkie i za to co diabelskie. Całe spectrum ludzkich przeżyć i uczuć. Od euforii do rozpacz. I to bez żadnego znieczulenia. Nic lepszego nie mogło mnie spotkać w życiu. Teraz to wiem.

Przeżyłem przez różne doświadczenia na misjach, pozostawiony wielokrotnie samemu sobie bez pomocy, otruty przez szamanów w 2003 roku, przeżyłem, ale zajęło mi czternaście lat, by dojść do siebie – zabiegi, leczenie i operacje w latach 2003-2017. Dziękuję Jezusowi, że wszędzie mnie ze sobą zabrał: i na Górę Tabor i na Golgotę, do Wieczernika i przed Heroda i Piłata, do Egiptu i do Emaus. Bóg dał mi życie na ostrzu noża w trudnej szkole przetrwania w Afryce. Dziękuję Mu za to z całego serca!

A w tych wszystkich chwilach ciemności – subtelne interwencje Boga dokładnie wtedy, gdy wszystko się waliło i nadzieja umierała; radość i satysfakcja tworzenia krok po kroku, cierpliwie, przez długie lata Misji Kiabakari w diecezji Musoma; miejsca, z którego Miłosierdzie Boże promieniuje teraz na całą Tanzanię, Afrykę i świat. I to Miłosierdzie dotykające nas całych: nasze dusze – przez Narodowe Sanktuarium Miłosierdzia Bożego w Kiabakari, Stowarzyszenie Apostołów Miłosierdzia Bożego założone w 2007 roku w Kiabakari oraz przez moją postać w Tanzanii jako Misjonarza Miłosierdzia wybranego przez Ojca Świętego Franciszka; nasze ciała – przez profesjonalnie wyposażony ośrodek zdrowia, klinikę okulistyčno-dentystyczną oraz wolontariat medyczny służący na co dzień najuboższym z ubogich; nasze umysły – przez przedszkole i szkołę podstawową z internatem przy misji prowadzone na wysokim poziomie w języku angielskim przez Siostry Służebniczki Starowiejskie z Zambii oraz wolontariat edukacyjny.

**Druga lekcja**

Misje nauczyły mnie, że Bóg traktuje nas bardzo poważnie i zależy Mu na nas. Jak poważnie i jak bardzo Mu zależy, to wystarczy spojrzeć na krzyż. Co to znaczy i jak powinniśmy na to osobiście zareagować? Po pierwsze, musimy traktować Boga również bardzo poważnie. Po drugie, oznacza to też zrozumienie, że jeżeli zależy nam bardzo na kimś czy na czymś w naszym życiu i widzimy, że modlitwa, nowenna, pielgrzymka, a nawet ofiarowanie Mszy Świętej w tej intencji nie wystarcza, bo nic się nie dzieje, jest cisza – to wtedy musimy być gotowi na złożenie siebie samych w ofierze i na działania wychodzące daleko poza utarte schematy naszej standardowej pobożności. Były sytuacje, gdy modliłem się i błagałem Boga bardzo w jakiejś ważnej intencji. I nic. Cisza. Bóg milczał. Czuję jednak wtedy, że przez tę ciszę On zmusza mnie do uwagi i zadaje pytanie: naprawdę ci na tym zależy? Jak bardzo? Tak jak Mi zależy na tobie? Pokaż konkretnie, że ci zależy, a nie gadaj tylko o tym siedząc w ławce w kościele albo na sofie w mieszkaniu. Stać cię, by wejść do pustego kościoła i upaść krzyżem na posadzkę przed tabernakulum i tak prosić? Stać cię na osobistą ofiarę z czegoś, co lubisz, co jest dla ciebie naprawdę cenne? Stać cię na podjęcie poważnego postu w tej intencji? Stać cię na rezygnację z jakiegoś hobby czy nałogu? Stać cię na głębsze sięgnięcie do kieszeni i na konkretny dar miłosierdzia, np. jałmużnę na misje dzisiaj, to dar którego ciężar czujesz? Trzy konkretne przykłady z mego życia na misjach – co to oznacza w praktyce.

Rok 1996. Przychodzi moment, gdy darczyńcy po pomocy przy wstępnym etapie budowy sanktuarium Miłosierdzia Bożego w Kiabakari, zostawiają mnie samego. Kościół bez dachu jeszcze. Ja załamany. I w tej sytuacji pojawia się myśl: idź i odmów różaniec przy figurze Matki Bożej. Gdy modliłem się i patrzyłem ze łzami na figurę Maryi stopniowo jakiś niezwykły pokój zaczął wlewać się w moją duszę. I pojawia się sugestia, myśl w sercu: „Odpraw różaniec Mszy Świętych, a budowa będzie dokończona”. Odprawiłem 200 Mszy Świętych w tej intencji i tak się stało.

Rok 1997. Ostatni rok budowałem sanktuarium na kredyt. Po jego konsekracji zostałem z długiem ponad 100 tys. zł. Poleciałem do Europy szukać pomocy. Wiedziałem, że gdy wrócę do Tanzanii z pustymi rękami, to wierzyciele się za mnie zabrają. W dniu 5 października idę do Łagiewnik, w święto św. Siostry Faustyny, z ciężkim sercem, ale i z jakimś nikłym promykem nadziei na pomoc. Po Mszy Świętej, w czasie poczęstunku w klasztorze, podchodzi do mnie siostra z tacą z obrazkami Siostry Faustyny. Wziąłem jeden na chybił trafił, przeczytałem co było z tyłu napisane. To były słowa Pana Jezusa do Siostry Faustyny, cytat z Dzienniczka: „Twoim obowiązkiem jest całkowicie ufać Memu Miłosierdziu, a moim obowiązkiem jest dać tobie wszystko, czego potrzebujesz”. Poczułem w tym momencie jakby Bóg walnął mnie w twarz. I ogromny wstyd, że tak mało Mu zaufałem. Wyobraźcie sobie, że po miesiącu znalazł się znikąd dobroczyńca na Zachodzie, który wziął na siebie cały ten dług. Obrazek mam w brewiarzu do dziś i chcę być z nim pochowany.

Rok 2000. Wielki Jubileusz. Błaganie o powołania kapłańskie w Kiabakari, bo posucha, nic się nie rusza w tej dziedzinie. Mija dziesięć lat od przyjazdu do Kiabakari. Modlę się i proszę. I nic. Jakbym do ściany gadał. W czasie jednej z licznych pielgrzymek do Kiabakari w tamtym roku podchodzi do mnie jedna pani z Dar es Salaam (jakieś 1300 km od Kiabakari) i opowiada, co zobaczyła w wizji w czasie Mszy Świętej: ludzie idą do ołtarza w procesji z darami, a te dary to skrywane do tej pory amulety, magiczne talizmany, przedmioty związane z czarami i okultyzmem, i składają na wielki stos przed ołtarzem, a na końcu procesji idę ja z paczką moich ulubionych papierosów. I gdy ta kobieta mi te słowa mówiła, poczułem w tym momencie jak Pan Bóg wali mi znowu na odlew. Rzuciłem papierosy w intencji o powołania kapłańskie w Kiabakari. Bogu dzięki – do dziś nie palę. Gdy te słowa piszę, to mamy już trzech księży z parafii Kiabakari. Taki jest nasz Bóg. Szanuje, gdy podejmujemy wyzwania i gotowi jesteśmy udowodnić Mu, że na czymś nam tak bardzo zależy.





Styczeń 2002. Przychodzi wielka próba postuszeństwa. Bp diecezji zaskakuje mnie prośbą o odejście z Kiabakari i objęcie parafii katedralnej w Musomie. No jak to? Odchodzę i nigdy nie wrócę? To co z tą wizją Miłosierdzia Bożego, które ma ogarnąć całego człowieka? Przecież dopiero misja i sanktuarium powstały i nic więcej! Idę więc do sanktuarium. Potrzebuję jakiegoś wyraźnego znaku z nieba. Padam na kolana. Modłę się. I nic. Cisza. Niebo milczy. Dni mijają. Co było robić? Okazałem postuszeństwo biskupowi. Poszedłem do katedry z krwawiącym sercem. Bez znieczulenia.

Mijają cztery lata. Przychodzi rok 2006. Bp diecezji umiera nagle na zawał serca i miesiąc po śmierci administrator diecezji każe mi odejść z katedry i pójść – jak myślicie, gdzie? No właśnie, do Kiabakari. Normalnie szok. Miałem lecieć w listopadzie tamtego roku do Rzymu na kurs postulatorów spraw beatyfikacyjnych i kanonizacyjnych, a zamiast tego wracam do Kiabakari. I od tamtego czasu widzę jak ten jeden akt postuszeństwa Kościołowi otworzył nowy etap wieloetapowego rozwoju misji Kiabakari od końca 2006 roku: powstał ośrodek zdrowia w 2007 roku, przybyły ss. Służebniczki Starowiejskie z Zambii w 2010 roku, powstało przedszkole w 2013 roku, szkoła podstawowa w 2016 roku, klinika okulistyczno-dentystyczna w 2016 roku, powstał kompleks sportowy w 2019, powstał internat dla dziewcząt w 2021 roku i dla chłopców w 2022 roku, a Konferencja Episkopatu Tanzanii ogłosiła Kiabakari narodowym sanktuarium Miłosierdzia Bożego w 2018 roku. Od zeszłego roku prowadzę cotygodniowe audycje o Miłosierdziu Bożym w Radio Maria Tanzania o ogólnokrajowym zasięgu. Publikacje i książki, rekolekcje i seminaria w diecezji Musoma i w innych, nagrania pieśni o Miłosierdziu Bożym naszych chórów. W tej chwili kończymy budowę pasażu gastronomiczno-handlowego z jadłodajnią, księgarnią, fryzjerem, sklepem spożywczym, małą poligrafią, biurami, bankomatem. Dochód z tego projektu będzie

wsparciem dla Unii Kobiet Katolickich w Misji Kiabakari, zasilającym kasę pożyczkową dla mikrofinansowania naszych pań, ich przedsiębiorczości i działalności. Przed nami plany budowy Domu Pielgrzyma, rozbudowy ośrodka zdrowia i powiększenie szkoły podstawowej dla klas A i B. Zaczynamy też realizować plany podzielenia Misji Kiabakari o obszarze ok. 600 km kwadratowych na dwie mniejsze parafie: północna część – parafia Kiabakari z siedmioma kaplicami dojazdowymi, a południowa – parafia Muganza z czterema kaplicami dojazdowymi.

To wszystko powstaje w wielkich bólach tworzenia, nic łatwo nie przyszło i nadal nie przychodzi. Bo Pan Bóg nie usuwa nam kamieni spod nóg, ani za nas niczego nie robi. On nam daje w zamian mocne buty. I jest z nami. Ale nie daje nam też znieczulenia, gdy boli, gdy cierpimy. Bo Jego Syn na krzyżu odmówił znieczulenia – nie przyjął przecież do ust octu na hipozie.

I najnowsze wyzwanie: cztery lata temu. Poczulem jak Pan Bóg w czasie jednej z cotygodniowych piątkowych cichych adoracji Najświętszego Sakramentu w sanktuarium przychodzi i pyta mnie: od 2003 roku tłumaczysz Dzienniczek Siostry Faustyny na język swahili (Shajara po swahili). I końca nie widać. Naprawdę ci na tym zależy? Jesteś gotów za to zapłacić? Odpowiedziałem w duszy: tak! I pojawia się wtedy myśl: zostań totalnym abstynentem. Jesteś gotów na to? Tak! Zależy mi na Dzienniczku bardziej niż na alkoholu. Zostawiłem alkohol tamtego dnia.

Wiecie jak bardzo taka relacja z żywym Bogiem, który traktuje nas absolutnie serio, zmienia człowieka? To jest rewolucja wiary, to jest niesamowita metanoia. Odkrycie jak bardzo Bogu na nas zależy! Jak bardzo nas kocha. Jak bardzo nas traktuje poważnie, na serio, jak bardzo nas szanuje. I jak bardzo oczekuje, że my tak samo będziemy Go traktować absolutnie serio.

Wtedy nasze wyrzeczenia, duchowe ofiary, posty, zrobienie czegoś wyjątkowego dla szlachetnego celu, nasze wyklócanie się z Bogiem o rzeczy ważne dla Boga i dla nas będą doświadczeniem niesamowicie pozytywnym, kreatywnym i pełnym adrenaliny. A Bóg nam wtedy nie odmówi, jak nie odmówił naszego zbawienia Swemu Synowi w Wielki Piątek, bo uszanuje to, że gotowi jesteśmy siebie samych postać na krzyż. Bo coś jest dla nas tak mega ważne.

Trzecia lekcja życiowa w Tanzanii

Z głębi mego misyjnego doświadczenia pragnę każdej i każdemu z Was powiedzieć: nie bój się zawierzyć i zaufać Bogu w Twoim życiu. Nie patrz tylko na siebie, na swoją przeszłość, błędy, grzechy, problemy i słabości, bo załamiesz się i zwątpisz. Podnieś głowę i popatrz na Jezusa. Wiesz, On nigdy cię nie zawiedzie, On nigdy też nie zażąda od ciebie rzeczy niemożliwych. On tylko poprosi cię o zaufanie, że jeśli tylko Mu pozwolisz i zechcesz oddać Mu kierownicę twego życia i współpracować z Jego łaską – rzeczy niemożliwe naprawdę zaczną się dziać w twoim życiu i przez ciebie w życiu innych. Tak będzie. Bo dla Niego nie ma nic niemożliwego. Nie ma. Historia Misji Kiabakari, moje życie i powołanie kapłańskie i misyjne są tego dowodem.

Weź zatem Pismo Święte do ręki, otwórz na tekście Psalmu 37, odczytaj werset 5 i potraktuj bardzo serio te słowa: "Powiedz Panu swe drogi, Jemu zaufaj, a On będzie działał". Tak będzie. Hakuna matata – jak mówią Tanzańczyki! Tak, dla Boga hakuna matata, czyli – nie ma problemu, nie ma nic niemożliwego!

I czwarta lekcja

Lekcja pokory i ogromnej wdzięczności dla Boga i dla ludzi, których Bóg stawia na naszej misyjnej drodze. Bez duchowej i materialnej pomocy, my kapłani diecezjalni na misjach, nie damy rady. Nie ma szans na przetrwanie tam bez zewnętrznej pomocy. I to mądrze zorganizowanej. Misja Kiabakari to misja Kościoła krakowskiego, który mnie posłał, to misja parafii, z której pochodzę, to misja wielu parafii, instytucji, organizacji i prywatnych darczyńców, to jednym słowem nasze wspólne dzieło, bo jak mówi Pismo – „Jedni drugich brzemiona noście!”. Proszę Was, kontynuujcie Waszą duchową solidarność z misjami, misjonarkami i misjonarzami w świecie, szczególnie proszę o to dla Narodowego Sanktuarium Miłosierdzia Bożego i instytucji w Misji Kiabakari. Ta misja Was potrzebuje! Ja osobiście Was potrzebuję!

I ostatnie słowo. Gorąca prośba o Waszą modlitwę w intencji ośrodka zdrowia w misji Kiabakari, która może mi przewyżyć niebezpieczeństwa i trudno-

ści, i utrzymać go kolejny, szesnasty już, rok. Pewnie nie uwierzycie, gdy powiem, że nie mam żadnej stałej dotacji znikąd, ale tak jest naprawdę. Prowadzę ośrodek zdrowia zupełnie sam, tylko z naszego marnego dochodu od tych biedaków, którzy mogą cokolwiek zapłacić za leczenie u nas, oraz z ofiar na misje i przez wpłaty na Fundusz Zdrowia w mojej Fundacji Kiabakari, która ma siedzibę w Krakowie przy ul. Sądowej 5/1. Nie mogę dopuścić do zamknięcia ośrodka. Bo gdzie pójdą po zdrowie moi chorzy? Tacy, jak Zofia, Daines czy Musa?

1) Zofia: wylała sobie wrzątek w kuchni na udo. Rodzina biedna, nie pomogli jej. Gdy Zofia była już ciężko chora, jej sąsiadka wezwała mnie do niej z sakramentami. Opatrzyłem ją, ale też i posłałem naszą karetkę pogotowia. Kilka miesięcy trwało ratowanie jej życia. Wyzdrowiała.

2) Daines: 8 wada wzroku, marnie wyniki, nos w tablicy. Z biedą przechodziła z klasy do klasy. Gdy powstała nasza klinika okulistyczno-dentystyczna i przyjechały okulистики z Polski, zbadaty Daines, dały jej okulary i dziewczynka zdała ładnie egzamin końcowy w szkole podstawowej.

3) Musa: oszukany przez lokalnego szamana. Zgarnął kasę od niego, ale zamiast zoperować mu przepuklinę, zrobił mu tylko nacięcie skóry i zaszył z powrotem. Chirurdzy-wolontariusze z Polski, gdy to zobaczyli, złapali się za głowę, zoperowali go u nas w ośrodku i Musa jest zdrowy.

Bez naszej przychodni, ludzie tacy jak oni nie będą mieć szans na zdrowie. Dlatego proszę Was o życzliwą modlitwę za nasz ośrodek zdrowia, by jego brama pozostała otwarta dla najbardziej potrzebujących z biednych kolejnych rok i w przyszłości.

Dziękuję za Waszą braterską solidarność z misjonarzami i misjami polskimi w świecie. Pamiętajcie! Jesteście wiatrem w naszych żaglach. Bądźmy nadal razem. Bo warto, naprawdę warto.



8

Ks. Roman Ciupaka

TANZANIA

MISJE TO
ODPOWIEDŹ
NA BOŻY GŁOS
SŁYSZANY
W SERCU

**Nieraz zabijałem
żmije cisnące
się do mojego
mieszkania
i leczyłem własne
malariae.**

Do wyjazdu na misje przygotowywałem się z bardzo wielkim zapałem. Traktowałem to jako odpowiedź na Boży głos słyszany w sercu i jako mój akt apostołstwa i miłości zarazem. Nikt mnie do wyjazdu nie zmuszał.

Na misje do Tanzanii wyjechałem w 2005 roku, już jako kapłan z 16-letnim stażem, mając 44 lata. Tam kontynuowałem naukę języka angielskiego i uczyłem się języka suahili, co nie przychodziło mi łatwo, gdyż nie mam głowy do języków. Ale wszystko to starałem się znieść cierpliwie, by móc służyć Chrystusowi i Kościołowi w dziele ewangelizacji. Po dziesięciu latach pracy w diecezji Musoma, podjąłem decyzję przeprowadzenia się na drugi koniec Tanzanii (oddalony o ok. 1000 km) i przewiezienia tam dużą ciężarówką całego swego dobytku i wielu narzędzi. Chciałem tam stworzyć centrum pielgrzymkowe, miejsce modlitwy, kultu Matki Bożej Fatimskiej i św. Jana Pawła II, a tym samym miejsce ewangelizacji. Przyjeżdżając do Polski na urlopy, wygłaszałem po kościołach kazania i prelekcje, dawałem świadectwo w szkołach i różnych innych miejscach. Opowiadałem o tym, jak duszpasterzowałem i ewangelizowałem na misjach, jak z postugą duszpasterską jeździłem po wioskach i małych wspólnotach mieszkających w buszu. Wielokrotnie ratowałem lu-

dziom życie (dosłownie, niczym karetka pogotowia), z narażeniem życia broniłem autorytetu Kościoła Katolickiego, nieraz zabijałem żmije cisnące się do mojego mieszkania i leczyłem własne malariae. Moje opowieści cieszyły się dużym zainteresowaniem, a ja dawałem je z wielkim entuzjazmem i zaangażowaniem.





Ks. Marek Gizicki

TANZANIA

KRÓTKIE SPODENKI SĄ OŚMIESZAJĄCE



Byłem pełen radości i entuzjazmu

Wyjeżdżając do Tanzanii byłem pełen radości, choć w głębi serca czułem obawę, że może być ciężko. W pierwszych dniach byłem zadowolony. Uśmiechnięci ludzie, wspaniały klimat, życzliwość misjonarzy. Przez pierwsze cztery miesiące przeżywałem codziennie fascynację. Tanzania jest spokojnym krajem, bez wojen. Z upływem czasu fascynacje mijały i życie stawało się bardziej normalne.

Zaskoczył mnie...

Gdy przyjechałem na tereny misji zaskoczył mnie tropikalny klimat, a krótkie spodenki są tam ośmieszające. Afrykańczycy chodzą w długich spodniach, koszulach, nakryciu głowy. Kobiety używają kangy (tkanina w formie płaszcza), by chronić się przed słońcem. Jeśli chodzi o misjonarzy, to powinniśmy chodzić w strojach duchownych, ale nie zawsze jest to możliwe (np. jazda na motorze). Gdy przyjechałem do Tanzanii w 2001 roku nie było zwyczaju chodzenia w sutanach, koloratkach, lecz przypinano do ubrania religijny znaczek Zielonej Afryki z Krzyżem.

Targ to święto

Dla Afrykańczyków bardzo ważny jest ustalony czas i punktualność misjonarzy, dlatego, że każde plemię ma już swoje zwyczaje, swój system wioskowy, którego nie wolno burzyć. Bardzo ważnym wydarzeniem jest targ, który odbywa się dwa razy w tygodniu. Jest to dla nich święto, spotkanie wszystkich przy zakupie

żywności. W te dni niemożliwe jest zgromadzenie ich na Mszy Świętej. Tak samo jest jeśli w wiosce umrze ktoś niewierzący, wtedy trzeba dostosować się do ich zwyczajów i jednoczyć się z nimi w ich obrzędach.

Przychodzili ludzie, by uczyć się życia chrześcijańskiego

W miejscowości, gdzie pracowałem przez 6 lat (do grudnia 2007 r.), było 18 miejsc spotkań (stacji misyjnych). W każdej stacji było kilka wspólnot. Katechista z tych wspólnot spotyka się z chrześcijanami kilka razy w tygodniu. Na tych terenach Ewangelia jest głoszona dopiero od 50 do 100 lat, ale nie więcej. Nadal problemem jest wielożenstwo (mieszkańcy rozumieją przez to, że Bóg im błogosławi). Katechista jest największym pomocnikiem misjonarza. Ważne jest, by miał jedną żonę i żył na wzór Świętej Rodziny. Katechista spotyka się ze swoją wspólnotą w różnych grupach, z katechumenami, którzy są przygotowani do chrztu, odwiedza chorych.

Życie sakramentalne na misjach, sposób jego formowania uzależnione jest w dużej mierze od misjonarza. Ja miałem szczęście objąć parafię misyjną po Polaku, księdzu Edwardzie. Wcześniej misję prowadzili Amerykanie. Jeszcze wcześniej na tych terenach byli Ojcowie Biali, którzy pracowali w Kołach oddalonych 30 km od mojej parafii. Najczęściej było tak, że ludzie przychodzili na kilka dni i zamieszkiwali, by uczyć się życia chrześcijańskiego. Formacja życia chrześcijańskiego trwa trzy lata. Czasem ten okres się skraca,

a decyduje o tym kapłan, który podejmuje decyzję czy dany człowiek jest gotów do przyjęcia sakramentu. W przypadku osób starszych i chorych wysyłam katechistę do ich domów. Takie osoby przyjmują chrzest w domach. W przypadku przygotowywania młodzieży do sakramentu trzeba więcej uwagi zwracać na formację dziewcząt, one już w wieku 15 lat wychodzą za mąż i nie ma z nimi kontaktu, bo zamieszkują w innym klanie. Bardzo trudno jest utrzymać kontakt z osobami, które przeżyły naukę życia chrześcijańskiego i doprowadzić je do dalszych sakramentów: bierzmowania, sakramentu małżeństwa i sakramentu chorych. Największy problem jest w rodzinach, gdzie rodzice są innego wyznania, a dzieci chcą zostać chrześcijanami. Mało chrzcimy dzieci, jeśli już to tracimy z nimi kontakt. W życiu plemiennym są różne zwyczaje, np. odziedziczenie żony, czy wielożenstwo. To ma duży wpływ na ich życie chrześcijańskie.

Węgiel drzewny zamiast lodówki

Posiłki przygotowywała mi pani mieszkająca w pobliżu, która już od wielu lat pracowała tam jako kucharka. Najczęściej jadłem ryż, ryby z pobliskiego jeziora, kurczaki. Nie miałem lodówki, mięso suszyliśmy na węglu drzewnym. Chleb raczej jest niedostępny, najbliższą mogłem go kupić 40 km od siebie, dlatego najczęściej jadłem naleśniki. Tubylcy używają dużo manioku. To jest ich główna potrawa.

Higiena

Mieszkańcy bardzo dbają o higienę, czystość. Mimo że mają daleko do wody, to myją się dwa razy dziennie. Od godziny 6 do 10 pracują w polu, następnie idą się myć, potem posiłek i znów praca. Wieczorem kobieta przygotowuje posiłek, a mężczyzna w tym czasie się kąpie. Kobieta kąpie się później.

Choroba

Chorobą, która spotyka wszystkich w tym klimacie jest malaria. Można brać bardzo silne leki profilaktyczne

przeciwko tej chorobie, ale ja tego nie stosuję i przechodzę co miesiąc łagodną malarię. Gdy czuję ból mięśni, wątroby – to dopiero wtedy biorę lek. Najczęściej jest przenoszona przez komary. Wtedy lecę się lekami tanzańskimi. Wyjeżdżając na misję, bierze się szczepionkę uodporniającą na żółtą febrę – na 9 lat. Trzeba również uważać na wodę, może znajdować się w niej pasożyt bilharcja. Gdy dostanie się on między palce, to przez rok może wędrować po całym ciele, aż w końcu zaatakuje pęcherz moczowy lub kręgosłup. Należy dokładnie myć owoce, by nie zarazić się wirusem ameb. Wodę pije się zawsze przegotowaną.

Śmierć w Tanzanii

Śmierć człowieka dla Tanzańczyków jest wielkim świętem, większym niż narodzenie dziecka czy też ślub. Kiedy ktoś umiera, to najpierw jest wielki płacz, lament. Schodzi się cała rodzina i opłakuje zmarłego, który leży w domu. Na drugi dzień jest pochówek, na który schodzi się cała wioska. Na początku każdy wypowiada się, czy zmarły ma wobec niego jakieś długi, a później wypowiadane są podziękowania. Po całej lokalnej ceremonii mogą rozpocząć obrzęd katolickiego pochówku, który zakończony jest ich tradycyjnym śpiewem, klaskaniem. Następnie, zgodnie z ich tradycją, przez grób przeprowadzane są krowy, które mają zabrać śmierć. Dla mnie najgorsze jest to, że deptają nie tylko grób, ale także krzyż na nim położony. Cała rodzina zmarłego goli głowy na tyso, co jest oznaką żałoby. Końcowym etapem pochówku jest wspólny posiłek, zabawa, śpiew. Ma to na celu pocieszenie rodziny zmarłego. Bogate rodziny budują kapliczki i bardzo dbają o groby. Biedni robią jedynie obramowanie z kamieni. Nie ma zwyczaju zamawiania Mszy Świętych za zmarłego. Rodzina wspomina go spotykając się w rocznice jego śmierci przy grobie.

Misja Księdza

Ważne jest, by ludzie zauważyli, że ksiądz to osoba duchowna, szaman modli się 24 godziny na dobę, natomiast ksiądz wciąż jeździ, buduje. Zawsze w ruchu. Najważniejsza jest modlitwa, bez niej nic nie uczynimy.

Po kilkumiesięcznym urlopie w domu wracam do Tanzanii. Tym razem do Masajów.

Bardzo proszę o modlitwę za mnie.

Rozmowa ks. Jacka Pędziwiatra z ks. Markiem Gizickim z Tanzanii (2008)

Od kilku lat ks. Marek Gizicki pracuje wśród Masajów w Tanzanii w miejscowości Sunya. Buduje tam Kościół i przedszkole.

10

Ks. Krzysztof Kasprzak

TANZANIA

EUROPA MOŻE SIĘ DUŻO NAUCZYĆ OD AFRYKI



PAN BÓG SIĘ
O NAS
TROSZCZY.

Pochodzę z Jabłonki na Orawie. Urodziłem się w Rabce w 1982 roku 15 sierpnia. Od 8 lat pracuję w Tanzanii. Misje to bardzo ciekawy czas. Na pewno zaskakujący, choćby pod tym kątem, że tam nabiera się innego spojrzenia na życie i innego spojrzenia na wiarę.

Jak tam wygląda życie?

Afryka jest 97 razy większa od Polski. Tanzania jest trzy razy większa od Polski. Ma około miliona kilometrów kwadratowych, a ludności 50 milionów. Klimat podobny do naszego polskiego lata. Czy jest pora deszczowa, czy pora sucha – zawsze jest tak około 26°C w cieniu. W słońcu nie wiem, bo w słońcu się nie siedzi. Rano w lipcu, czy w sierpniu jest zimno, około 10°C.

Dlaczego w słońcu się nie siedzi?

Dlatego, że jest ostre i jest bardzo niebezpieczne, nikt tam na słońcu nie siedzi. Wszyscy się chowają przed słońcem, nawet gdy mają czarną skórę. Docenia się wtedy drzewa i krzaki, gdzie można się schować.

Wróćmy do seminarium

W seminarium o misjach jeszcze nie myślałem, ale byłem w kółku misyjnym. Potem, jak już przyjmowałem święcenia diakonatu, to miałem poważniejsze myśli na ten temat. Na pierwszej parafii byłem 4 lata w Niedzicy i potem zostałem przeniesiony do Mogilan. Po roku pobytu w Mogilanach pojechałem pierwszy raz oficjalnie do Księdza Kardynała powiedzieć mu, że chcę jechać na misje. Ksiądz Kardynał polecił mi się uczyć. To były niełatwe rozmowy i dla zainteresowanego i dla

biskupa, potem wykorzystywałem każdą nadarzącą się sytuację, gdziekolwiek bym był, żeby kardynałowi się przypomnieć, powiedzieć „Szczęść Boże” i on już wiedział, o co mi chodzi.

Dlaczego zaczął Ksiądz prosić o misje?

Dlatego, że stwierdziłem, że kapłaństwo nie polega na tym, że mi będzie tylko dobrze. Miałem super warunki: uczyłem w pięciu szkołach, lubiłem to. Jednak czułem, że coś tracę.

Czy coś Księdza w misjach zaskoczyło?

Ja myślałem, że będzie ogień, że tam ludzie chcą księdza, że będzie bardzo dużo ludzi na Mszach Świętych. Tak myślałem na początku, a potem zobaczyłam, że są ludzie, którzy tego potrzebują, że przychodzą, ale są też tacy, co przechodzą koło mnie i gdybym nie był biały, to pewnie by mnie nawet nie zauważyli. Myślę, że to jest naturalne, ale i zarazem najtrudniejsze w tym wszystkim, co mnie zaskoczyło.

Czuje tam Ksiądz klimat bezpieczny czy niebezpieczny dla siebie?

Nie, ja się tam czuję bardzo bezpiecznie. Nie boję się, mimo że nie mamy ogrodzonej misji z jakimiś zasiekami, ani nie mamy stróża. Choć tam jest mieszanka można powiedzieć - wybuchowa. Dużo jest muzułmanów, innych wyznań chrześcijańskich, katolicy są mniejszością. Tam stanowimy około 10% społeczeństwa.

Jakie ma Ksiądz relacje z innymi wyznaniami?

Zacznijmy od muzułmanów. Jeśli ja potrzebuję coś wybudować, coś zrobić, to jak najbardziej są pomocni. Mam wielu przyjaciół muzułmanów, oni mnie pozdrawiają: „Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus”, a ja ich pozdrawiam: „Salam alejkum”. Mam brodę, więc im łatwiej nawiązywać relację, wołają na mnie Osama. Z innymi wyznaniami jakiejś wielkiej wspólnoty nie ma. Zielonoświątkowcy raczej za nami nie przepadają. Tak mi się wydaje, bo im nie odbieramy wiernych, nie jeździmy, nie organizujemy jakichś wydarzeń, gdzie jest muzyka głośna i dużo jedzenia. Nasza służba to parafie. Są 33 stacje wyjazdowe, więc ciągle jeździmy, miesiąc w miesiąc do każdej wioski, więc nie mamy czasu na szukanie i wydawanie niepotrzebnie pieniędzy na takie atrakcje.

Z jakimi trudnościami się Ksiądz boryka?

Ludzie przychodzą i potrzebują wsparcia, przychodzą, bo ktoś zachorował, bo coś się stało. Zdarzają się sytuacje losowe. Wszystkim się nie da rady pomóc. Przyszła kobieta z innej wioski. Zapytałem: „Gdzie się modlisz?”. „Ja jestem muzułmanką, ale jak chcesz, to mogę być katoliczką, nie ma problemu” - odpowiedziała. To jest ta trudność. Można iść w kierunku pomocy charytatywnej. To tak jak było w Dziejach Apostolskich. W pewnym momencie głosiciele słowa odkryli, że oni już nie głoszą, a pomagają. Trzeba tu być bardzo roztropnym, żeby nie iść w taką działalność, bo można budować mosty, drogi, ośrodki zdrowia, jak najbardziej. Oni wszystko podbijają pieczętami, dadzą wszystkie zapewnienia, że posłają lekarza, a potem człowiek zostanie z tym sam.

Znane jest przekonanie, przyjdzie taki czas, że Afryka będzie ewangelizować Europę?

Pytasz się: „Kiedy wrócisz?”. I słyszysz: „A kiedy Pan Bóg pozwoli”. Są religijni. Oni mówią o Bogu wprost. Jak się rozmawia z człowiekiem, jak się go pozdrawia, to się pyta: „Jak tam?”, „Pan Bóg mi błogostawi, dziękuję” - odpowiadają. Masajowie na pytanie o to, co słychać, mają generalnie odpowiedź: Jest zawsze dobrze, nawet gdyby ktoś umarł, nawet gdy mama umrze, tata umrze, zawsze jest dobrze. Tata mi umarł, mama mi umarła, dziecko mi zachorowało, ale Pan Bóg nas strzeże. Zawsze na samym końcu jest dobrze, bo „Pan Bóg się o nas troszczy”. Mimo że czasami są bardzo trudne sytuacje.

Jest takie przekonanie, że Afryka to Trzeci Świat. Nie ma telefonów, Internetu, nie ma budynków, wszędzie są chatki z gliny. Jak to wygląda?

Tego się trudno słucha. Jak porównamy ich sytuację do naszej to oczywiście, że oni wyglądają na biednych. Można tak popatrzeć, ale to nie jest tak. Oni naprawdę robią tylko to, co trzeba. Wielu ludzi myśli, że to jest prymitywne. Nawet sam się spierałem z takim miejscowym księdzem, że oni tam trochę Masajów traktują jak ludzi „gorszego sortu”. Mówią: dwóch ludzi, trzech Masajów. Oni nie tracą czasu na jakieś niepotrzebne rzeczy. Kobieta, która musi nakarmić dzieci, męża, wydoić krowy, to cały dzień ma zajęty. Ona nie robi niepotrzebnych rzeczy, wszystko ma swoje miejsce. To my marnujemy bardzo dużo czasu. Na rzeczy takie, które zupełnie nie przynoszą nam nic, nie ma z nich chleba. A potem mówimy, że nie mamy czasu. Ja bym tego nie nazwał Trzecim Światem. Kultura europejska nazywa Afrykę w taki sposób. Myślę, że Europa to jest taki punkcik na mapie świata, który jest bardzo krzykliwy.

Poza tym, w Afryce relacje rodzinne są zdrowe, tam nie ma sierot. Gdy umrze ojciec, albo matka i dzieci zostają same, to zbiera się starszyzna i decyduje o nich. Trafia do ciotki, do wujka, czy do kogoś, kto ma swoje dzieci, albo nie ma ich w ogóle. Nie przejdzie się, żeby nie pozdrowić kogoś. Te relacje są zdrowe. Ja bym powiedział, że tego się powinniśmy my, jako Europejczycy od Afrykańczyków nauczyć.



**MASAJOWIE
PŁACZĄ JEŚLI KTOŚ
UMIERA, ALE
NASTĘPNEGO DNIA
JUŻ ŻYJĄ DALEJ.**



Jak Masaje traktują posiłki?

Jedzenie nie ma tam jakiegoś wydzwiku artystycznego. Po prostu masz zjeść po to, żeby przeżyć. I tyle. I o to jest generalnie walka, żeby kukurydza obrodziła, żeby mieć Ugali i żeby do niego było jakieś mięso, bo jak będzie dużo kukurydzy, to część kukurydzy sprzedamy i będziemy mogli kupić kozę czy kupić mięso. Masaj powinien się kojarzyć z kwaśnym mlekiem. Kwaśne mleko to jest jedzenie Masajów. Jak jest mleko, to jest wszystko.

Na ilu parafian przypada na jednego księdza?

Diecezja Arusha jest ogromna ze względu na to, że została utworzona dla Masajów. Tak długa jak od Szczecina po Przemyśl. To jest tak 1000 km², 30 wiosek i żeby dojechać do wszystkich wiosek w miesiącu, to trzeba pokonać 500 km tam i z powrotem. Do biskupa mam 600 km asfaltem i na pocztę mam 600 km.

Gdzie lepiej się Ksiądz czuje, tu czy tam?

Tam. Ja się czuję wszędzie dobrze, tylko że jak tu jestem, to wolałbym być w Tanzanii. Dlatego, że tam panuje wolniejszy rytm życia. Rano idę do Kościoła, potem jadę do wioski, albo zostaję. Jak mam jakieś spotkania, to i tak spokojnie te wszystkie zajęcia mogę objąć. W Polsce, jak podróżuje do Krakowa z Jabłonki, to ledwo zdążę brewiarzem się pomodlić i może jakieś dwa telefony wykonać, i jestem już w Krakowie. A tam taka trasa trwa 8-9 godzin. Wtedy już można się pomodlić i porozmawiać z księdzem, z którym się jedzie, i jeszcze audiobooka posłuchać.

Co zbudowało Księdza pobożność?

Dla mnie to jest tożsame z wiarą, z relacją do Pana Boga. Jak dziecko z matką, tak jak dziecko z ojcem szuka relacji, to jest wyraz pobożności, że jak człowiek ciągle żyje w takim świetle, to wszystko do Pana Boga odnosi, że cokolwiek by nie robił, czyli – szedł do szkoły, na pole, czy zaczynał positek – to zawsze gdzieś to jest w odniesieniu do Pana Boga.

Czym dla ludzi z Tanzanii jest pobożność?

Tam pobożność jest taka naturalna, to od nich możemy się uczyć takiej naturalności mówienia o Panu Bogu, o relacji z Panem Bogiem. Relację do Boga i ludzi oni mają we krwi. Człowiek chciałby przejść tak w ciszy, a oni przyjdą i mówią: „Przyszedłem cię pozdrowić. Pytam: „Co tam słysząc?”, „Wszystko dobrze. A u ciebie?”, „Wszystko dobrze”.

Masajowie są otwarci, znają się na ziołarstwie i wszystko powiedzą. Zapytasz się, co to jest za drzewo – a to jest to, ale tamto jest trucizną.

Dużo gorzej jest, gdy umierają relacje między ludźmi. Gdy zmarł mi niedawno tata, wtedy zrozumiałem, że śmierć naprawdę nie jest najgorszym, co nas może spotkać w życiu. Jest o wiele więcej innych tragedii, np. w relacjach między ludźmi. Śmierć przychodzi raz. Masajowie też mają bardzo twarde podejście do życia. Śmierć to jest część życia. Rano umarł człowiek, w południe jest pochowany i następnego dnia płaczą po stracie, ale kolejnego dnia żyjemy dalej.

Jakie są tam potrzeby?

Chcielibyśmy wydrukować modlitewnik masajski, który ma dwie funkcje: oprócz tego, że się można pomodlić, kto umie czytać, to też jest podręcznik do czytania. Rozmawialiśmy o obrazkach, żeby tam wydrukować i nie tracić pieniędzy na przesyłanie. Projekty bardziej edukacyjne. Często tam dzieci nie chodzą do szkoły. Dlaczego nie chodzą do szkoły? Bo kto będzie paść krowy? Pasą krowy, ale to, że ktoś nie był w szkole, to nie znaczy, że nie będzie umiał. Mój znajomy jest szefem rady parafialnej, a nie był w szkole nigdy w życiu. Jego koledzy chodzili do szkoły, a on paść krowy. Ale teraz zna pięć języków, umie czytać i pisać.





W TANZANII SEMINARIA SĄ PEŁNE

Kandydatów w ostatnich latach jest sporo, tak że nie tylko dwa duże, istniejące już seminaria zapełniły się do granic możliwości, ale trzeba było otworzyć trzecie, w środku kraju.

W czasie mojej prawie 20-letniej posługi w Tanzanii postługiwałem w różnych miejscach. Oprócz pracy parafialnej, przez siedem lat byłem wykładowcą i wychowawcą w Wyższym Seminarium Duchownym.

Najpierw jednak trafiłem do Niższego Seminarium Duchownego w diecezji Musoma jako ojciec duchowny i nauczyciel religii. Po zaledwie kilku miesiącach zostałem skierowany do Wyższego Seminarium pod wezwaniem Świętego Pawła w diecezji Tabora, w środku Tanzanii. W Taborze byłem wykładowcą i wychowawcą.

Mieszkałem w pokojach bez drzwi i okien

Podczas posługi w seminarium przeżywałem okres ogromnego wzrostu powołań w Tanzanii. Kleryków było wielu. Był taki czas, kiedy budynki nie zostały jeszcze wykończone, a alumni już przyjeżdżali, by rozpocząć studia. Przez wiele miesięcy mieszkaliśmy w pokojach bez drzwi i okien, śpiąc na podłodze, na słomianych matach. To jednak nie osłabiło ich młodzieńczej radości, poczucia humoru, stałej gotowości do żartu. Zawsze też towarzyszyła im wdzięczność za to, że mogą być w seminarium i poznawać Pana Boga poprzez swoje studia.

Jeżeli czasem, w przeszłości, pojawiały się pytania o motywację przyjazdu Afrykańczyków do seminarium, sugerujące, że nie zawsze były one właściwe, że młodzi seminarzyści mogli poszukiwać bardziej wyższego wykształcenia, niż pragnęli służyć Bogu, to muszę stwierdzić, że sytuacja bardzo się zmienia. Tanzania się rozwija, powstają nowe wyższe uczelnie. To sprawia, że młodzi ludzie mają więcej możliwości w wyborze kierunków studiów. Mimo takich perspektyw wielu przychodzi do naszych seminariów.

Klerycy przygotowujący się do kapłaństwa to najczęściej absolwenci niższych seminariów duchownych. Takich seminariów jest w kraju wiele. Oferują one formację duchową i bardzo dobry poziom nauczania.

Sama formacja w wyższym seminarium jest długa, trwa do dziewięciu lat: rok propedeutyczny, trzy lata filozofii, cztery teologii i jeszcze co najmniej pół roku praktyki duszpasterskiej w parafii. Czas ten wypełniony jest codzienną modlitwą w rytmie liturgii godzin, studiami, aktywnością sportową i pracą. Praca, co drugi dzień, zajmuje całe popołudnie.

Większość młodych ludzi przychodzi do seminarium, mając już dwadzieścia kilka lat.

Są starsi niż klerycy w Polsce. Jest to związane z późniejszym podejmowaniem edukacji w szkole podstawowej, ale także z czasem trwania nauki w szkole średniej, który zajmuje co najmniej sześć lat.

Stołość w powołaniu

Utrzymanie czystości wewnątrz i na zewnątrz całego dużego kompleksu seminaryjnego spoczywa na klerykach. Do tego dochodzi posługa przy uprawach seminaryjnych oraz w gospodarstwie, przy zwierzętach.

Mamy młodzież dojrzałą, ponieważ poznała bardzo ubogie życie w swojej rodzinie i dlatego ceni sobie to, co otrzymuje w seminarium. Także ich wiedza religijna, wyniesiona ze środowisk rodzinnych, nie jest zbyt szeroka, zatem podczas lat seminaryjnych trzeba nieustannie przypominać im podstawowe wiadomości.

Dobłą cechą alumnów tanzańskich jest ich stołość w powołaniu. Chociaż droga do kapłaństwa jest długa, to jednak stosunkowo niewielu rezygnuje w czasie formacji.

Na pewno przygotowanie nowych kapłanów jest zadaniem fundamentalnym dla Kościoła w Tanzanii, stąd biskupi starają się posyłać jako wykładowców księży dobrze przygotowanych na uczelniach europejskich i amerykańskich. Również wielu kleryków podejmuje studia z teologii na uniwersytetach rzymskich. To daje im perspektywę patrzenia na problemy oczyma Kościoła powszechnego i umacnia więź ze Stolicą Świętego Piotra.

Panu Bogu dziękuję za ten piękny czas w seminarium afrykańskim, za wielką życzliwość, jakiej doświadczyłem zarówno od alumnów, jak i od tanzańskich kapłanów.

12

Ks. Kazimierz Króźel

TANZANIA



13

Ks. Edward Antolak

ZAIR, DEMOKRATYCZNA REPUBLIKA
KONGA

WSZYSTKIE
"TRUDNOŚCI"
EUROPEJCZYKÓW
BLEDNA



Pójdę na Księdza, ale myślę o misjach...

O misjach myślałem od dawna. Gdy byłem w szóstej klasie, pracowałem z tatą przy żniwach i przy śniadaniu, w polu, powiedziałem mu, że najprawdopodobniej pójdę na księdza, ale myślę o misjach. Tato był zadowolony z tego pierwszego, ale z drugiego już nie. I od razu zapytał mnie: "No, a co będzie z nami?".

Odpowiedziałem mu: „Mam pięciu braci i jedną siostrę, ktoś z Tobą zostanie”. Tata na to: „To nie to samo”. Czuję, że go zasmuciłem, więc dopóki żył, mieszkaliśmy w Polsce. Miał raka dwunastnicy i wątroby, wypisano go ze szpitala, by umarł w domu. Pomimo choroby dożył jednak 81 lat. To było dwa lata po moich święceniach. Wtedy wiedziałem, że mogę wyjeżdżać.

Dziesiątek różańca, żebym był misjonarzem.

W krakowskim seminarium, do którego wstąpiłem w 1973 roku, powiedziałem na rozmowie z ojcem duchownym – a był nim wtedy o. Stanisław Nowak – że myślę o misjach. A on na to: „Twój charakter jest

**NAJGORSZE BYŁY
GĄSIENICE
DUŻE I KUDŁATE,
CIĘŻKO
PRZECHODZIŁY
PRZEZ GARDŁO.**

właśnie taki, pasuje na misje”. Powiedziałem o moim pragnieniu także rektorowi, ks. Franciszkowi Macharskiemu. Odpowiedział: „W porządku”. Po święceniach moją pierwszą parafią były Strumiany, a po dwóch latach parafia Świętej Rodziny w Zakopanem. Kard. Franciszek Macharski zadzwonił wówczas do proboszcza w Zakopanem z poleceniem, by Edek Antolak przyjechał do kurii. To było w maju, w Święto Zestania Ducha Świętego. Proboszcz powiedział, że „na studia mnie pewnie wyślą”, a ja już czułem, że chodzi o coś innego. Pojechałem do kurii. Wchodzę do kard. Macharskiego i mówię: „Jestem!”. Zapytał, czy dalej myślę o misjach, a gdy potwierdziłem, powiedział: „No, to pojedziesz na Seszele, z ks. Jackiem Wróblem”. Uff... Byłem bardzo zadowolony. Najtrudniejsze było jednak pożegnanie w parafii, bo ja bardzo żyłem parafią. Powiedzenie: „Z Bogiem!” rodzinie, nawet mamie, nie było takie ciężkie.

„ODWAGI!”

Wyjechałem 4 sierpnia 1983 roku, najpierw do Francji, pod Tuluzę, do sióstr służebniczek. Mieszkaliśmy w klasztorze i uczyliśmy się języka francuskiego. Powiedziano nam, że na Seszele pojedzie ten z nas, który lepiej zna język. Pojechał ks. Jacek Wróbel, ale po miesiącu stamtąd wrócił. Do kontynentalnej Afryki jechać nie chciał. Wobec tego, byłem w sytuacji trochę bez wyjścia. Zadzwoniłem do ks. Stanisława Dziwisza i przedstawiłem sprawę. Ks. Stanisław, jako sekretarz papieża, powiedział, bym jechał do Zairu, do parafii jego emerytowanego kolegi, do diecezji Kananga. Na początku lipca 1984 roku wyjechałem więc do Zairu. Od razu uderzył mnie straszny upał, ruch, duchota, wilgoć. Dojechałem na parafię, gdzie pracował ksiądz z Polski. Ucieszyłem się, że mogę mówić po polsku. Gdy usłyszał, że jadę do Kanangi, zapytał: „A kto tam jest?”. „Nie wiem, chyba nikogo nie ma” - odpowiedziałem. I wtedy powiedział mi jedno słowo: „ODWAGI!”.

Przyleciałem więc do Kanangi i na lotnisku czekał już na mnie miejscowy arcybiskup, Martin-Leonard Bakole wa Ilunga. Powiedział, że pojedę do buszu, do Ka-

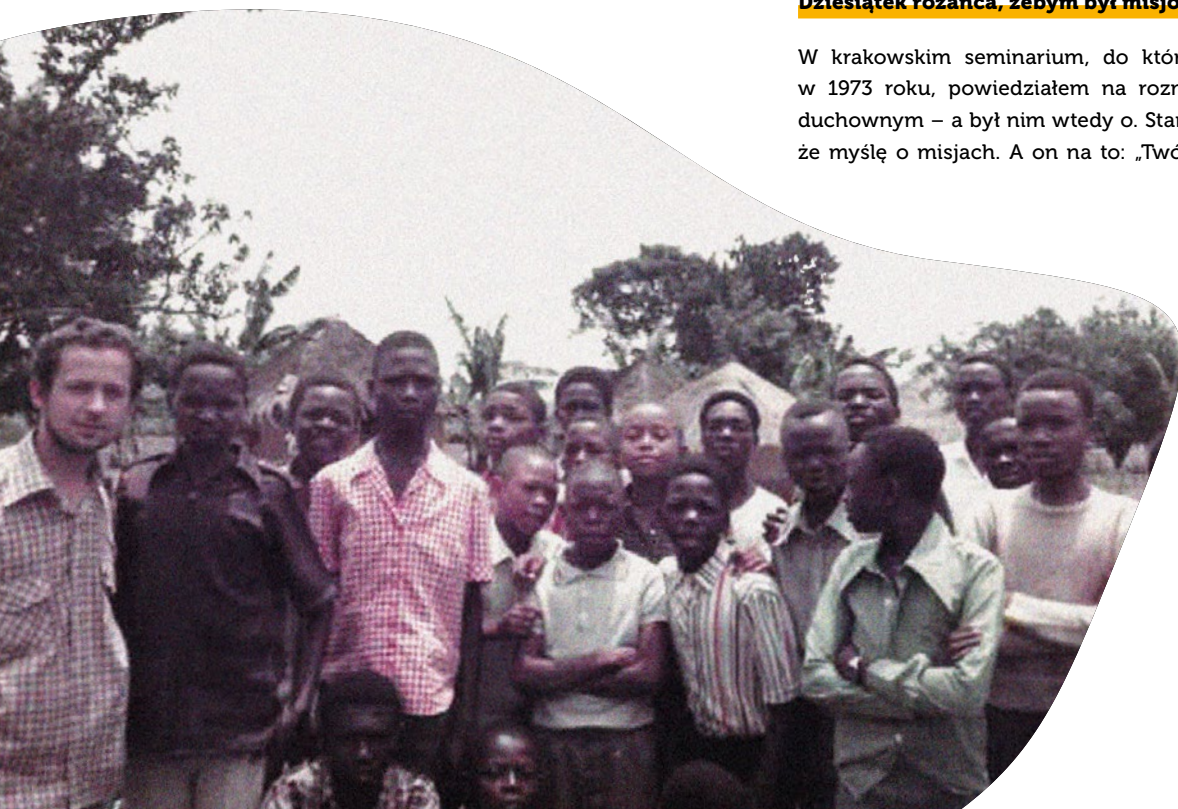
bwe, gdzie jest Niższe Seminarium, a 2 km od niego propedeutyka i filozofia Wyższego Seminarium. Przyjechali po mnie miejscowi księża. Na początku czułem tę samotność, huk, szum. Czasem byłem sam, czasem przychodził ksiądz z Belgii. Wydawało mi się, że spaceruję jak w więzieniu, w celi, wkoło; uczyłem się francuskiego, trochę też języka culuby. Było trudno.

Wtedy zrozumiałem na czym polega czas.

Pewnego dnia zjawił się ksiądz z seminarium z buszu i powiedział, że przyjedzie po mnie we wtorek. Przyjechał w czwartek i zapytałem: „A nie mieliście przyjechać we wtorek?”. A on na to: „A co to za różnica?”. Wtedy zrozumiałem, na czym polega czas. Pojechaliliśmy do buszu i tak zaczęła się przygoda w rzeczywistości typowo afrykańskiej. W pierwszy dzień chciałem się wykapać. Patrzę, a tu skorpion wychodzi! „Edek uważaj!” – pomyślałem.

A oni zostawiali wszystkie garnki na kuchni i rano były czystkiutkie.

W seminarium, jako że znałem język francuski, poleceno mi, bym uczył tacy i religii. W pierwszym roku byłem też ekonomem. Lecz co tam mają za zaopatrzenie?! Czasem przyniosą z buszu różnego rodzaju owoce, najczęściej banany, rzadziej jakąś małą, żebyśmy trochę mięsa mieli. No i oliwa z palm, by można to było przyrządzić. Wypłacałem pensję robotnikom, a zarobili w miesiąc tyle, co u nas w pół dnia. Kucha-



rzami było dwóch czarnoskórych mężczyzn. Nas, księży, było sześciu, i nam także trzeba było zapewnić wyżywienie. Raz, wieczorem, poszedłem do kuchni i usłyszałem szum. Wziąłem lampkę, a tu karaluchy, aż szumiało, tak uciekały przede mną. Pojechałem więc do miasta, kupiłem jakiś środek i spryskałem tak porządnie, że rano zamiatałem je łopata... Tyle ich było. A oni zostawiali wszystkie garnki na kuchni i rano były czystkiutkie, bo te karaluchy wszystko im ładnie wyczyściły. Po co się męczyć z myciem? A myśmy to wcinali. Co było robić? Człowiek musiał do tego podchodzić spokojnie. Albo żyjesz, albo nie żyjesz.

Mięso było rzadko

Najczęściej jadał się bidie, którą robi się z manioku. Taki trochę gips. To nie było zbyt pożywnie, ale zapychało, choć kaloryczności nie miało żadnej. Mięso było rzadko, czasem jak już wspominałem z małp, czasem z dzikich szczurów, bo z dzikich świń nie było dobre, miały dużo robactwa. Czasem zdarzyła się jakaś antylopa, bardzo rzadko mięso z węża. Ale zazwyczaj były tylko bidia, ryż i jakieś liście. Jadałem też mrówki, termity i gąsienice. Miejscowi zaś również dzikie myszy.

Najgorsze były gąsienice, duże i kudłate...

Na początku, przy stole bywało ciekawie... Na środku stał talerz przykryty liśćmi, ale te liście... się ruszały! Podniosłem liść, a tam mrówki. I tak co najmniej przez półtora roku. Ja przyglądałem się miejscowym, a oni mnie. W końcu musiałem się nauczyć mrówki jeść i termity. Jak się mrówkę zje martwą, to tylko chrupie pod zębami, ale jak się zje żywą, to trzeba je umieć zjeść, bo jak nie - to ugryzie. Oni to umieją jeść termity, jakoś tak chwycić i do ust wziąć. Ja jak zaryzykowałem, żeby wziąć żywego do buzi, to mnie upalił. Brałem owada palcami na talerz i ciach łyżką, wszystkie w talerzu pozabijałem i zjadłem. Ale cóż było robić? Nie było innego wyjścia. Najgorsze to są gąsienice. Gąsienice są duże i kudłate, i tak ciężko przechodzą przez gardło, jakby z gumy były. Ale wtedy powiedziałem, proszę mi dać piwo. To co wziąłem na talerz, to musiałem wszystko zjeść, żeby nikogo nie urazić. Zjadłem, potem już nie brałem. Raz tylko zjadłem gąsienicę. Jak ją jadłem, to oni tak spokojnie na to patrzyli, ale widać było, że ich przez to akceptuję. Jak ja opowiadałem o tym, że Francuzi jedzą ślimaki, to się dziwili, że to można jeść.

Seminarium

Pracowałem z chłopakami z seminarium. Było ich około 40. Słuchali i muszę przyznać, że było to dość przyjemne. Mieli tylko dwa posiłki, obiad i kolację, śniadania nie było. Wstawali i od razu po porannej Mszy brali się do pracy; zajęcia były potem. Chłopcy dość często

chorowali, zwłaszcza na malarię, ale przeczekiwali, jak byli nauczeni. Raz taki jeden seminarzysta przychodził do mnie: „Ojcie, coś mi tak noga spuchła”. Pojechaliśmy do sióstr zakonnych, a obok była taka lecznica i taki Murzynek pomagał tym siostrą, zobaczył i od razu ostrym nożem rozciął, a z tej nogi pełno robaków, takich jak zepsute mięso. Zrobił co trzeba, oczyścił i wszystko się zagoiło.

Wszystkie "trudności" Europejczyków błędna

Na misji był także wiejski szpital. Sale, chorzy i muchy się pasą na bliznach. Brakowało lekarstw, ale przynajmniej był dach nad głową, a od czasu do czasu dawali jeść. Jak człowiek przez to przejdzie, to te wszystkie wymyślone trudności w Europie błędna. Inni myślą, że jestem nieczuły, niewrażliwy, mało miłosierny. Co zrobisz? I tak im nie wytłumaczysz. Bo jak tego nie widzisz, nie przeżyjesz... To jest inny świat, inna rzeczywistość.

Uczniowie siedzieli na dwóch żertwach

Czasem jeździłem do buszu i pomagałem siostrą, które robiły szczepienia. Jedni przed siostrami uciekali, bojąc się, że przynoszą coś złego, a inni czekali na nie, bo wiedzieli, że leczą, pomagają. Szkoły w buszu przypominały przykryte słomą szatały, które czasem przemakały na deszczu. Uczniowie siedzieli na takich dwóch żertwach, mieli tabliczki do notowania. Do szkoły szli kilometrami, po drodze jedli to, co znaleźli. Dla nas to trudne do wyobrażenia, ale oni chcieli coś poznać, odkryć, do czegoś dojść; wierzyli, że skończywszy szkołę, można do czegoś dojść.

Zakaz od ojca duchownego

Mieli też jednak swoje gusta i przekonania. Kiedyś będąc w kuchni, usłyszałem za lasem tańce, krzyki. Jeden z kucharzy poradził jednak, bym lepiej tam nie szedł, bo kobiety wyrzucają z wioski złego ducha, ponieważ piorun dwa razy uderzył i zabił już dwie osoby, a poza tym kogoś śmiertelnie ukąsił też wąż. To zaś znaczyło obecność złego ducha... Kiedyś podczas lekcji religii zapytano mnie o to, co robić, bo u nich jest tak, że jak ktoś umrze w podejrzany sposób, to kąpią tego trupa i potem wszyscy muszą tę wodę wypić; jeśli ktoś się nie odważy, to znaczy, że on jest winny tej śmierci. Radziłem im powiedzieć, że ojciec duchowy seminarium im tego zakazuje, bo to naraża tylko na chorobę i nie ma nic wspólnego z winą.

Panie Boże czuwaj, a ja jadę

Poza tym, w czasie trzeciego roku pobytu uczyłem jeszcze fizyki i geografii. W międzyczasie zmagalem się z pajakami, węzami i innym robactwem. Jadąc samotnie przez busz trzeba było uważać, bo miejscowi

niezaważali na obcych. Bałem się że, wrzucając mnie do termity i nikt mnie już nie znajdzie. Dlatego zawsze mówiłem: „Panie Boże, czuwaj, a ja jadę”. Nieraz słyszałem, że wyjeżdżając w takie warunki, to trzeba być albo świętym albo głupim. To drugie chyba lepiej nam pasuje...

Warto coś w tym życiu jeszcze zrobić

Gdy kończył się piąty rok mojej postugi, napisałem do kard. Franciszka Macharskiego, że chciałbym jeszcze zostać. On się zgodził, ale wtedy zaczęły się moje problemy żołądkowo-jelitowe, na które nic nie pomagało. Najpierw próbowały mnie leczyć siostry, a w końcu poszedłem do jednego z lekarzy wojskowej jednostki belgijskiej. Dał mi lekarstwo i powiedział, że jeśli jutro będzie lepiej to dobrze, ale jeśli nie – polecę wojskowym samolotem do Brukseli. Pomogło, lecz ów lekarz był ze mną szczery: „Możesz zostać – powiedział – ale nie popracujesz zbyt długo; możesz też wracać, wtedy masz większą szansę popracować”. Pomyślałem, że może jednak warto coś w tym

życiu jeszcze zrobić i zdecydowałem, że wracam. Miejscowi widzieli, że mam problemy ze zdrowiem, nie byli zaskoczeni. Pod koniec pojechałem jeszcze z innym misjonarzem odwiedzić bernardynów na południu kraju, 2000 kilometrów. To była ciężka podróż, ale Pan Bóg był z nami.

Wtedy skończyła się Afryka

Napisałem ostatnie pozdrowienia z Afryki do biskupa Tuluzy. Datem znać, że wracam, bo zdrowie nie pozwala zostać, a on zaprosił mnie do siebie, do Tuluzy. Kard. Macharski zgodził się.



**PANIE BOŻE
CZUWAJ,
A JA JADĘ.**

14

Ks. Janusz Zwoliński

ZAIR, DEMOKRATYCZNA
REPUBLIKA KONGA

POZOSTAŁ W STREFIE WOJNY

Wielokrotnie pytano go, dlaczego wybrał Zai. Na początku swej formacji misyjnej w Seminarium Duchownym na Stradomiu bardzo przeżywał wyjazd pierwszych polskich misjonarzy na Madagaskar. Owe pożegnania, a później także listy od misjonarzy, były przyczyną pragnienia pracy w Afryce, na Madagaskarze. Jednak, na trzecim roku studiów teologicznych, do Seminarium przyjechał misjonarz z Zairu, ks. Henry de Cuijper. „Ksiądz Henry, który wiedział, że jeżeli nie znajdzie misjonarzy w Polsce, nie znajdzie ich nigdzie, upadł na kolana przede mną i rozplakał się. Te szczere łzy przemówiły więcej niż wszystkie argumenty” – wspominał ks. Janusz.

Zair łączył w sobie wiele paradoksalnych przeciwstawień. Cały kraj był pełen biedoty i bogactwa, złożony z wojujących ze sobą plemion i dążącej do jedności na siłę partii politycznej, radykalnej i rewolucyjnej, zdany na nietasę całego świata, który chętnie korzystał z jego bogactw naturalnych, pozwalając na łamanie praw człowieka.

Ks. Janusz i dwaj jego współpracownicy ze Zgromadzenia Księży Misjonarzy, 20 lipca 1976 roku stanęli na misyjnej ziemi. Jak napisali kilka dni później w liście do Seminarium Duchownego: „Będzie to dla nas pamiętny dzień w życiu” (Kinshasa, lipiec 1976 r.). Prosił o modlitwę i wsparcie na czas pracy, którą mieli zacząć jako pierwsi w historii Polskiej Prowincji Zgromadzenia Księży Misjonarzy misjonarze w Zairze.

Zapalił się motor pirogi

Praca ks. Janusza miała wspomóc i być kontynuacją pracy poprzedników, których siły stopniowo malały i nie byli już w stanie zapewnić właściwej opieki duszpasterskiej wiernym w powierzonych im stacjach misyjnych. Wiele z nich było położonych na rozległym terenie, 195 km, od Kinszaszy. Do wielu wiosek dotrzeć można jedynie na motocyklu, rowerze lub pieszo. Ksiądz Janusz w czasie jednej z wypraw misyjnych przeżył niebezpieczną sytuację: na środku szerokiej rzeki Kongo zapalił się motor pirogi, na której podróżował. Z trudem udało się jakoś zagasić pożar i dopłynąć do brzegu.

W tym okresie sytuacja polityczno-społeczna w Zairze uległa gwałtownemu pogorszeniu. Ludność z plemienia Tutsi opanowała znaczną część wschodniego Zairu i wojna z Rwandy przeniosła się do Zairu. 16 maja 1997 roku oddziały przeciwników Mobutu zdobyły Kinszasę. Wojska prezydenta Mobutu rzuciły się do ucieczki, a rządowi żołnierze dopuszczali się prawdziwych rozbojów na miejscowej ludności. Przy okazji, zniszczeniu uległy liczne dzieła prowadzone przez Kościół: szkoły, domy zakonne, plebanie, a nawet kościoły. Nowym prezydentem został ogłoszony Laurent Kabila. Obalony Mobutu wyjechał z kraju, któremu przywrócono dawną nazwę „Kongo”. Niestety, ta wojna była szczególnie okrutna, panowały przemoc, tortury i gwałty. Bezwzględność żoł-



nierzy była dodatkowo podszyta ich głodem, zemstą plemienną i nienawiścią.

Ksiądz Janusz, jako przełożony Księży Misjonarzy w Zairze, zmuszony był analizować tę skomplikowaną sytuację i działać na miarę swych możliwości. Przypominał, że przebudowa instytucji społecznych i odbudowa kraju muszą iść w parze z przemianą sumienia i wiarą ludzi. Księża ze Zgromadzenia Misjonarzy wspomagali ten proces, głosząc Słowo Boże i katechizując, sprawując Eucharystię, udzielając sakramentów, składając wizyty duszpasterskie w wioskach, nieraz bardzo odległych. W ten sposób przypominali o istocie pracy misjonarskiej w czasie gorących debat politycznych i walk plemiennych.

Żaden z misjonarzy nie chciał się ewakuować

Kiedy wybuchła wojna domowa 1996/1997 i walki zbliżały się do Prowincji Równikowej, której ks. Janusz był wizytatorem, i gdzie pracowała większość Księży Misjonarzy, on sam przebywał w stolicy kraju Kinszasie. Wtedy było tam bezpiecznie. Zdecydował się jednak natychmiast udać w rejon Bikoro i Mbandaki, aby być razem z zagrożonymi działaniami wojennymi Misjonarzami. Żaden z nich nie chciał się ewakuować – chociaż ks. Janusz jako wizytator, złożył im taką propozycję. Postanowił więc do nich dojechać.

Niebezpieczna podróż

Samoloty cywilne już nie latały w te rejony. Znalazł jednak sposób na podróż prywatnym samolotem, zamówionym przez misjonarzy z Mbandaki. Podróż do Mbandaki odbywał na stojąco. Był jedynym pasażerem, który przylatywał w rejon wojny, więc oczekujący na ewakuację na lotnisku tłum, jak i obsługa lotniska – z zaskoczeniem patrzyli na jedynego cywila, który wysiadł z samolotu, by pozostać w strefie wojny. Na lotni-

sku był samochód pozostawiony przez siostry szarytki, które już wcześniej się ewakuowały. Ksiądz Janusz odbył nim nocą niebezpieczną podróż; wtedy liczne grupy uciekinierów grasowały już w całej okolicy.

Niebezpieczna "wizyta"

Jednym z najbardziej zagrożonych miejsc była misja w Iboko – misjonarze wielokrotnie musieli uciekać z plebanii i chować się do dżungli. Misja nie ucierpiała, także dzięki mieszkańcom misji, którzy na różne sposoby zwodzili uciekinierów dopytujących się o misję.

W Bikoro ksiądz Janusz przeżył niebezpieczną „wizytę” piętnastu uzbrojonych żołnierzy. Był ogromny lęk i obawa o najgorsze, ale skończyło się na zabranii przez nich paru puszek sar

ODBUDOWA
KRAJU MUSI
IŚĆ W PARZE
Z PRZEMIANĄ
SUMIENIA
I WIARĄ LUDZI.



dynek i kilkudziesięciu litrów ropy do rozklekotanej terenówki jaką się poruszali. Obawiano się, że zarekwirują znajdujące się wtedy na misji samochody, a także całe zapasy paliwa i żywności.

Gdy sytuacja się nieco uspokoiła, ksiądz Janusz udał się rejsowym lotem do Kinszasy, by uczestniczyć w święceniach diakonatu jednego z misjonarskich kleryków. Dwa tygodnie później do stolicy dotarli wieści, że oddziały Kabili bardzo szybko zbliżają się do ich regionu misyjnego. Sytuacja stawiała się bardzo niebezpieczna, gdyż przed Kabilą uciekali również tysiące Hutu z Rwandy. Główny trzon armii Kabili stanowili Tutsi, którzy urządzali zwykłe polowania na członków plemienia Hutu, mszcząc się za popełnione przez nich wcześniej zbrodnie w Rwandzie. Wtedy ks. Janusz znowu zdecydował się na powrót do Bikoro. Jasno sformułował powód swej decyzji słowami: „by pomóc współbraciom w organizowaniu pomocy dla uchodźców z Rwandy” (Kinszasa, 9 maja 1997).

Organizowanie pomocy dla uchodźców

Tym razem miał to być lot samolotem wojskowym, wiozącym broń i zaopatrzenie dla żołnierzy. Załatwili mu tę możliwość miejscowi misjonarze, płacąc pilotowi małą „matabiszi” (łapówkę). Tak zdobył miejsce w samolocie wypełnionym beczkami z paliwem i workami z ryżem, mąką i fasolą dla oddziałów, które miały bronić Mbandaki. Po krótkim spotkaniu z misjonarzami pracującymi w Mbandace i zapoznaniu się z sytuacją w mieście, ks. Janusz udał się do Bikoro. W drodze do Bikoro, już kilkanaście kilometrów od miasta, spotkał grupy uchodźców Hutu. Przedstawiali sobą okropny widok – ludzie wycieńczeni wielomiesięcznym wędrowaniem, głodnych, w nieustannym strachu przed śmiercią. Niektórzy byli tak zmęczeni, że odpoczywali przy drodze i nawet nie reagowali na odgłos nadjeżdżającego samochodu. Niektórzy z mężczyzn mieli ze sobą broń palną, granaty i maczety. Nocą ks. Janusz dojechał do Mooto, a następnego dnia, 11 maja 1997 roku, dotarł do Bikoro. Przed budynkiem misyjnym ujrzał ogromny tłum ludzi rozłożonych na trawie. Szacowano, że jest ich dwa lub nawet trzy tysiące. Nieśmiało im pomoc, mogła wiązać się z zemstą oddziałów Kabili, którzy wytapywali, torturowali i mordowali Hutu.

Wbrew wszystkiemu, w pierwszym rzędzie trzeba było wspomóc wynędzniałych uciekinierów. Po naradzie z pracownikami misji – schorowanym, starszym Belgiem, ks. Józefem z Polski i klerikiem-stażystą – zdecydowano postarać się o pożywienie dla tych biedaków. Ks. Janusz posłał kilka osób do wioski, aby od miejscowej ludności kupić wszystko, cokolwiek nadaje się do jedzenia. A ponieważ było tego mało, posłał też ciężarówkę misyjną z kilkoma miejscowymi chłopakami do sąsiednich wiosek, aby kupowali cokolwiek

można: maniok, kukurydzę, ryż, niesłodkie banany, bataty, suszone ryby i inne produkty. W tym czasie skontaktował się z przedstawicielami wioskowej staryzny i miejscowymi gminnymi urzędnikami (którzy nie zdążyli uciec). Wszyscy byli bardzo wystraszeni, ale wiedzieli, że trzeba jakoś pomóc uciekinierom. Wspomogli ich także miejscowy lekarz i kilku nauczycieli. Zdecydowano, by uchodźcy określili swe plany. Wytypowali oni przedstawicieli według różnych dystryktów Rwandy i miejsca zamieszkania. Prosilili o pomoc lekarską i żywność oraz ułatwienie dalszej ucieczki wobec nadciągających wojsk Kabili i ich zbrodni. Wtedy bowiem dotarła informacja z Mbandaki, że gdy wojska Kabili weszły do miasta, wymordowały kilkaset Hutu, którzy nie zdążyli uciec. To samo mogło powtórzyć się w Bikoro.

Po powrocie misyjnej ciężarówki uchodźcy sami rozdzielili je pomiędzy małe grupy. Na murawie pojawiło się wiele małych ognisk i uchodźcy zabrali się do warzenia strawy. Tak było też następnego dnia i do końca ich pobytu w misji. Ksiądz Janusz zdecydował się zabić kilka krów, zapewniając potrzebującym choćby małą porcję mięsa – szczególnie najmłodszym i schorowanym. Około trzydziestu chorych znalazło miejsce w szpitalu – niektórzy byli tak wycieńczeni, że nie mogli pokonać pieszo kilkuset metrów do szpitala i trzeba było ich tam zanieść na noszach. Kilkunastu z nich, przede wszystkim dzieci, nie przeżyło. Inni, po kilku tygodniach stanęli na nogach i ukryli się w sąsiedniej wiosce.

O trzy tysiące mniej grobów

Najbardziej palącą i niezwykle trudną sprawą było uratowanie uchodźców przed żołnierzami Kabili. Niestety, droga ucieczki kończyła się w Bikoro, nad jeziorem Tumbo. Doszli tutaj, przechodząc przez połowę terytorium Kongo, lecz dalszej drogi już nie było. Po drugiej stronie jeziora był inny kraj: Republika Kongo ze stolicą Brazaville. Tam mogli przetrwać, schronić się i myśleć o przyszłości. Drogę odgradzało jednak jezioro – w tym miejscu szerokie na 30 km.

Aby uratować uchodźców potrzebne były więc łodzie, drewniane barki przeznaczone do transportu towarów. Akurat wtedy w Bikoro były dwie takie barki, które przyplęły z Kinszasy, by skupować produkty rolne przeznaczone na targ w stolicy. Ksiądz Janusz rozmawiał z właścicielami barek, czy nie podjęłyby się transportu uchodźców na drugi brzeg jeziora. Po długich negocjacjach zgodzili się, pod warunkiem, że misjonarze dadzą im niezbędną do transportu benzynę. Ksiądz zgodził się bez wahania i zaczęły się przygotowania. Każda z barek mogła pomieścić od dwustu do dwustu pięćdziesięciu ludzi, a chętnych było co najmniej dziesięć razy tyle. Obawiano się popłochu i kłót-

ni przy wejściu na barki. Trzeba było zwerbować kilku chętnych chłopców z wioski, dać im broń – łatwo się ją znajdowało, porzuconą przez żołnierzy rządowych w dżungli (zbierano ją jak grzyby); mieli pilnować porządku przy obsadzeniu barek. Uchodźców ustawiono około kilometra od portu, prosząc, by gęsiego zbliżali się do jeziora. Widok broni dyscyplinował wszystkich. Rewidowano wchodzących, by nie brali z sobą granatów czy broni palnej, co było zagrożeniem dla wszystkich. Po wysadzeniu ludzi na drugim brzegu jeziora, w innym już kraju, barki powróciły następnego ranka. Jednak właściciel jednej z barek oznajmił, że boi się wracać do Bikoro, by zabrać pozostałych. Wolał poczekać na spokojniejszy czas w jakiejś wiosce po drugiej stronie jeziora. Właściciel drugiej barki, widząc troskę ks. Janusza o los pozostałych uchodźców, zgodził się odbyć jeszcze jedną podróż. Ale oznajmił, że już nie powróci, lecz również schroni się w jakiejś spokojnej wiosce. A tymczasem pozostało jeszcze kilkaset osób. Nie mogli już liczyć na przeprawę. Jedyną możliwością było obejście jeziora, lecz droga była niebezpieczna, pełna bagien i pułapek. Kilku mieszkańców Bikoro zaproponowało, że będą przewodnikami po bagnach, wskażą starą drogę. I tak się stało.

Po tygodniu w Bikoro pozostało zaledwie kilku chorych uchodźców, a ci po drugiej stronie jeziora znaleźli opiekę zorganizowaną przez organizacje humanitarne w prowizorycznych obozach, w których pracowały również siostry szarytki dojeżdżające z Zairu.

Nie wszyscy jednak dotarli za rzekę. Część uchodźców, szczególnie kobiety z małymi dziećmi, pozostali w okolicach Bikoro. Kilka miesięcy później kilkudziesięciu z nich, także przy pomocy misjonarzy, zdecydowało się na powrót do Rwandy – wśród powracających nie było ani jednego mężczyzny.

Jako wizytator ksiądz Janusz nie podjął decyzji o generalnej ewakuacji wszystkich współbraci. Z każdym rozmawiał przed radio, zachęcając do ewentualnej ewakuacji, ale żaden nie wyraził chęci wyjazdu.

Napad na misję

W Bikoro ksiądz Janusz też przeżył tzw. wizytę: napad na misję żołnierzy Mobutu, uciekających przed żołnierzami Kabili. Któregoś dnia pojawił się rozklekotany jeep, z którego wy-

skoczyło kilkunastu uzbrojonych żołnierzy. Z karabinami w ręku otoczyli dom misyjny. Chcieli rozmawiać z przetożonym. Ksiądz Janusz wyszedł do nich, a wtedy dowódca grupy oznajmił, że wszyscy z nich są głodni. Reakcja księdza Janusza była dla żołnierzy zaskakująca: zaprosił ich do salonu, poczęstował zimnym piwem i poprosił, by poczekali, aż kucharz przygotuje coś do zjedzenia. Po posiłku zażądali jeszcze paliwa do samochodu. Wyjeżdżając, dowódca oznajmił, że przyjechali z zamiarem ograbienia misji. Ale skoro „po dobroci” otrzymali jedzenie i paliwo, to zadowolą się tym, co im ofiarowano. Być może pomocą dla misji była też reakcja mieszkańców, którzy na wieść, że przybyli żołnierze, zeszli się w dużej grupie przy swoich misjonarzach.

Największy sukces

Wielokrotnie zapytywany w wywiadach o swój największy sukces w Afryce, ksiądz Janusz Zwoliński zdecydowanie odpowiadał, że jest nim sama możliwość służby Kościołowi i Zgromadzeniu w Kongo. Potwierdzał, że zawsze marzył o pracy misyjnej i czuł się do niej powołany. A Pan Bóg pozwolił mu przez wiele lat realizować to powołanie. Dodawał też: „On sam osądzi czy dałem z siebie wszystko, na co mnie było stać”. Cieszył się z tego, że mógł uczestniczyć w narodzinach Kongijskiej Prowincji Zgromadzenia. Tworzył bowiem coś, co zostało na przyszłość Kościoła w Kongo i Zgromadzenia na afrykańskim kontynencie.

**TO BÓG OSĄDZI,
CZY DAŁEM
Z SIEBIE
WSZYSTKO.**



15

Karolina Cygan i Katarzyna Sowa

ZAMBIA

ZAMBIJSKIE REMINISCENCJE



Szkocki odkrywca David Livingstone mógł nazwać odkryte w 1855 roku wodospady imieniem swojej panującej królowej, ale lud Kalolo-Lozi miał na nie własną nazwę: Mosi-oa-Tunya, czyli – „dym, który grzmi”. I tak jak w każdej sekundzie, w największym, zambijskim wodospadzie świata, wodospadzie Wiktorii, przewalają się gigantyczne pokłady wody, tworząc prysznicową mgłę w otaczającym go parku, i tak jak potężny szum unosi się tam w powietrzu, tak i nasze doświadczenia z pracy misyjnej w Zambii, będą jeszcze długo „przewalały się i unosiły” w naszych wspomnieniach. Ale zanim o naszych doświadczeniach, cofnijmy się w czasie i poznajmy tą historię...

Wszystko zaczęło się od dziecięcego marzenia. „Kiedyś pojedę na misje do Afryki” – wyszeptęła w swoim sercu mała dziewczynka o imieniu Kasia, pochodząca z malutkiej wioski Łużna, w okolicach Gorlic. Było to jakieś 25 lat temu. Potem do głowy Kasi przychodziły różne inne plany, życiowe zadania, cele, praca. Misyjne pragnienie jej jednak nie opuszczało i co rusz dawało o sobie znać. Dlatego jako studentka Katarzyna angażowała się regularnie w wolontariat misyjny prowadzony przez siostry klawerianki w Krakowie. Wierzyła bowiem, że tu na miejscu zrealizuje przynajmniej jakąś część swojego dawnego misyjnego planu.

Również 25 lat temu, jakieś 200 km od Gorlic, w Chrzanowie, w diecezji krakowskiej, żyła inna dziewczynka o imieniu Karolina. Pragnieniem tej dziewczynki było zrozumieć Pana Boga. Dość ambitnie... Zdecydowała się więc na studia teologiczne z nadzieją poznania odpowiedzi na frapujące ją tematy związane z wiarą. I choć na studiach dowiedziała się, że im bliżej Pana Boga się jest, tym ciemniej się robi (nurt teologii apofatycznej, mistycy karmelitańscy i nadreńscy, Mikołaj z Kuzy), nie odpuszczała poszukiwań. Jej poszukiwania nie miały tylko i wyłącznie charakteru intelektualnego. Szukała Pana Boga w duszpasterstwach akademickich, na rekolekcjach i w wolontariacie misyjnym.

Drogi Kasi i Karoliny zeszyły się właśnie na studiach w Krakowie. Razem angażowały się w duszpasterstwo akademickie, a także wspomniany wolontariat. Na owoce tej przyjaźni i współpracy trzeba było poczekać parę lat. Ale było warto. Gdyby nie ich spotkanie, może

BOGACTWO

MISJI, TO

ZMIANY, ZMIANY,

ZMIANY.

żadna z nich nie zdecydowałaby się na misyjną służbę w Zambii. Dziewczyny wyjechały do Zambii 28 sierpnia 2021 roku, po ukończonym uprzednio, trwającym 9 miesięcy misyjnym kursie w Centrum Formacji Misyjnej w Warszawie. Kasia w roli fizjoterapeutki, Karolina – katechetki.

Tak oto splot planów i przypadków, decyzji i „palców Bożych” sprawił, że razem z Kasią mogłyśmy pracować przez ostatni czas w stolicy Zambii, Lusace. Kasia przez rok i 5 miesięcy, a ja odrobinę dłużej, rok i 9 miesięcy. Myślę, że doświadczenie misyjne zmieniło bardzo dużo w naszym życiu. Od samego momentu planowania i decyzji o wyjeździe, po ten czas, który jeszcze przed nami, a więc odnalezienie się z powrotem w polskiej rzeczywistości. Spotkanie z obcą kulturą, kompletnie inną niż nasza, zderzenie z barierą językową, ze swoimi ograniczeniami mentalnymi, z innym sposobem przeżywania religijności przez Afrykanów, z innym stylem pracy, z pogodą, z życiem codziennym, z ich i naszymi wadami i zaletami, wytworzyły nam definitywnie inny, będący wyzwaniem życiowym kontekst. I to jest właśnie BOGACTWO misji. Zmiany, zmiany... Jak się okazało, są one bardzo potrzebne do naszego duchowego wzrostu, wyrwywają z rutyny i strefy komfortu, zmuszają do przemyślenia na nowo pewnych spraw. A przecież nie wyjechałyśmy, by tych doświadczeń szukać. To zostało nam DARMO DANE. Nasze założenie było o wiele prostsze: chcieliśmy popracować na misjach wśród mieszkańców Zambii.

Jak wspominałam, Kasia otrzymała propozycję pracy jako fizjoterapeutka od proboszcza zambijskiej parafii, fideidonisty, ks. Krzysztofa Mroza. Kilka razy w tygodniu, wraz z lokalną siostrą zakonną odwiedzała najbardziej potrzebujących mieszkańców compoundów w ich skromnych mieszkankach – bez okien, bez wody, prądu – aby ćwiczyć, głównie z dziećmi cierpiącymi na porażenie mózgowie, starszymi osobami po udarach, zawałach, nadciśnieniu, czy cukrzycą. Praca była dla Kasi bardzo satysfakcjonująca, bo wiedziała, że ci ludzie nie mają innej alternatywy, środków, możliwości, żeby zapewnić sobie terapię,

leczenie, lekarstwa. Kasia zastępowała im lekarzy, pielęgniarki, niejednokrotnie pracowników socjalnych. Czuła się spełniona pracując w Zambii, choć problemy zdrowotne, którym później sama uległa, zmusiły ją do szybszego powrotu do Polski. Tyle czasu zostało jej podarowane i wykorzystała go maksymalnie. Ma prawo być dumna. Afryka stoi otworem, Afrykanie czekają, bo przecież nigdy i nigdzie im się nie spieszy ;)

Jeśli chodzi o mnie, to pracowałam w Zambii głównie w szkole podstawowej. Prowadziłam katechezę, zajęcia sportowe i wyrównawcze, a popołudniami także zajęcia biblioteczne. Problem analfabetyzmu jest niestety ciągle obecny w wielu krajach Afryki. Wspierałam także działalność duszpasterską na terenie parafii Makeni, organizując rekolekcje, dni skupienia, konferencje teologiczne dla grup duszpasterskich i postulantek komboniańskich. Praca misyjna stwarza bardzo szeroki wachlarz możliwości pogłębiania swojej kreatywności, umiejętności zawodowych, a także wymusza (w pozytywnym tego słowa znaczeniu) dostosowanie się i zaangażowanie we wcześniej niepodjęwane zadania i obowiązki. Wszystko to sprzyja owocnemu przeżywaniu tego czasu, misji na Czarnym Łądzie.

Będzie nam brakowało Afryki. Piszemy o tym jednak z pogodną nostalgią, a nie pesymistycznym rozpamiętywaniem. Dziękujemy Panu Bogu, rodzinie, przyjaciółom, Kurii Krakowskiej, wszystkim wspierającym misję; za modlitwy, za duchowe i materialne wsparcie naszego dziecka, za to, że byliście z nami. Czas rozpocząć nowy rozdział naszej opowieści, pamiętając, że CZAS NASZEJ MISJI SIĘ NIE KOŃCZY, ZMIENIA TYLKO KIERUNEK.



**NIGDY NIE CHCIAŁA
WYJEŹDZAĆ
NA MISJE.
MARZYŁA O TYM,
ŻEBY ZOSTAĆ
W KRAJU I ZAŁOŻYĆ
RODZINĘ.**

**ZAUFAJ
I PÓJDŹ
W CIEMNO ZA
JEZUSEM**

Karolina Zajac: Myśląc o misjonarzach widzimy raczej księży, siostry zakonne, a Ty pokazujesz, że także młodzi świeccy służą na misjach. Jak to się zaczęło?

Ania Obyrtacz: Nigdy nie myślałam o tym, żeby wyjeżdżać na misje. To nigdy nie było moje marzenie czy pragnienie, i zawsze śmieję się z tego, że to misja szukała mnie, a nie ja misji. Studiowałam w Krakowie, zaczęłam pracę i byłam bardzo szczęśliwa w Polsce. Myślałam raczej, żeby założyć rodzinę, bo zawsze chciałam żyć tak tradycyjnie. Nie wiem dlaczego, ale coś mnie natchnęło, żeby dołączyć do nowoutworzonego przez kombonianów duszpasterstwa akademickiego. I tak, powoli wchodziłam w świat misji.

Jednak dość szybko po tym pierwszym spotkaniu z Kombonianami wyjechałaś do Afryki.

Zaczęłam wchodzić w to środowisko misyjne, poznawać ludzi i później pojawiła się opcja wyjazdu na doświadczenie misyjne. To jest taki miesiąc w Afryce, kiedy można zobaczyć jak to tam wygląda. Pomyślałam, że to może być fajna przygoda i niesamowite doświadczenie, więc może warto spróbować. I tak w 2013 roku poje-

chałam na miesiąc do Ugandy.

To wtedy podjęłaś decyzję, że misje są Twoim powołaniem?

Jeszcze nie. Wtedy zobaczyłam, że jest tam dużo pracy, ale też sporo możliwości. Kiedy wróciłam z Ugandy, stwierdziłam, że pójdę na spotkanie do wspólnoty Świeckich Misjonarzy Kombonianów i potem też zostałam koordynatorem. To był dla mnie czas z jednej strony pracy, a z drugiej czas indywidualnego rozpoznawania swojego powołania misyjnego.

Długo „biłaś się z myślami”?

Pojechałam na rekolekcje ignacjańskie do Zakopanego. To był dla mnie bardzo ważny czas i – co najpiękniejsze – Pan Bóg nie pozwalał mi być samej, zabierał lęki i odpowiadał na pytania, ale stawiał też kolejne, czasami trudniejsze.... I robi to ciągle. Później zaczęłam się już na poważnie zastanawiać, co by było, gdybym się jednak zdecydowała wyjechać. Takim momentem, który umacniał mnie w tej myśli, za każdym razem była Eucharystia. Pan Bóg dawał mi siłę i przekonanie, że to jest to.

Jak zareagowali Twoi najbliżsi?

Lęk na pewno był, ale mam bardzo rozumiały, dobrych, kochających rodziców, którzy to zaakceptowali i którzy bardzo mi pomagają. Podobnie moje rodzeństwo. Za to bardzo dziękuję Panu Bogu, bo gdyby na tej płaszczyźnie było ciężko, to byłoby mi naprawdę trudno.

Dlaczego akurat Afryka i Republika Środkowej Afryki?

Dostaliśmy informację, że jest potrzeba, by ktoś pojechał do Republiki Środkowej Afryki. To był wtedy kraj zaraz po wojnie, nie do końca stabilny i wielu po prostu bało się tam pojechać. Ja z kolei bardziej obawiałam się języka francuskiego. Nigdy się go nie uczyłam i nie chciałam się uczyć (śmiech), ale z drugiej strony wszyscy mówili, że ta misja jest tak piękna... Więc pomyślałam, że może warto. Zawsze też chciałam pojechać tam, gdzie jest potrzeba, do najbardziej potrzebujących i najbardziej opuszczonych, jak mówił Comboni. Właśnie taką ofertę dostałam. Powiedziałam „tak” i trafiłam do RŚA.

Jakie były pierwsze trudności po przyjeździe do RŚA?

Z Kinszasy, gdzie żyłam praktycznie jak

w Europie, trafiłam do buszu, gdzie nie było Internetu, prądu i ciepłej wody. Musiałam wchodzić w całkiem nową wspólnotę, zaczynać od zera.

Na czym polega Twoja postęga w Mongombie?

Jako Świeccy Misjonarze Kombonianie pracujemy w krajach misyjnych, a realizujemy to poprzez życie we wspólnocie. Tak też jest na naszej misji w Mongombie. Staramy się razem podejmować decyzje o tym, jak żyć i jak pomagać. Działamy na różnych płaszczyznach. Aktywnie włączamy się w życie parafii pracując z dziećmi, młodzieżą oraz kobietami i osobami starszymi. Głównie jednak działamy w dziedzinach społecznych, czyli angażujemy się w edukację i kwestie zdrowotne.

To też wyjątkowa misja ze względu na mieszkających tam Pigmejów?

Praca z Pigmejami nie jest taka łatwa, bo są to ludzie, którzy nie lubią, gdy zamyka się ich w jakichś ramach. My wyszliśmy od pomocy dzieciom, starając się zachęcić je do nauki. Ciągłe próbujemy czegoś nowego. To są biedni ludzie, którzy żyją z tego,

co znajdują. Bardzo często pracują na rzecz kogoś innego i zarabiają jakieś niewielkie pieniądze, ale brakuje im chociażby na leki czy podstawową opiekę medyczną, więc staramy się pomagać i wypełniać tę lukę.

Jak reagują na Waszą pracę?

Chyba dobrze, mam taką nadzieję (śmiech). Bardzo dużo zależy od „szefa” wioski. Jeżeli to jest ktoś, kto ma autorytet, to potrafi zmobilizować mieszkańców i oni go słuchają, a wtedy nam też jest łatwiej. Jak się do ciebie raz przekonają, to później już nie ma problemu. To kwestia budowania relacji, a do tego potrzeba czasu.

Jakie są potrzeby w tym rejonie?

To, czego Republika Środkowej Afryki potrzebuje najbardziej, to pokój na ulicach miast i wiosek, aby ludzie mogli żyć bez lęku, wychowując dzieci, chodząc do pracy, uprawiając ziemię; aby nie obawiali się, że po raz kolejny pojawią się rebelianci, którzy zniszczą ich dom, zabiją i znów będzie trzeba uciekać do lasu. Potrzebny jest pokój na ulicach, ale też w sercach ludzi. Ufam, że kiedyś tak właśnie będzie. Potrzebna jest modlitwa w tej intencji,

ale również konkretne działania zarówno rządu środkowoafrykańskiego, jak i innych państw zaangażowanych w konflikt. Wyzwaniem, przed którym stoi Republika Środkowej Afryki, jest również edukacja i stworzenie możliwości nauki dla dzieci. To smutne, że kraj w tym zakresie nie robi prawie nic.

Aniu, co Tobie osobiście dały misje?

Nauczyłam się jeszcze większej otwartości na drugiego człowieka, bardzo często innego ode mnie, wychowanego w innej kulturze. Żyć tu i teraz z tymi, których mam obok, doceniać to, co dostaję każdego dnia i najzwyczajniej w świecie cieszyć się tym.

Dlaczego warto wybrać taką drogę?

Jest taki obrazek, na którym Jezus mówi do małej dziewczynki: „Oddaj mi swojego misia”, a ona odpowiada: „Ale Panie Jezu, to jest mój ulubiony...”. „No właśnie...” – mówi Jezus. I taka jest misja. Jeśli ktoś jest gotowy oddać swoje ulubione „to coś”, to jest gotowy na misję.



POZNAŁEM MOJE SIOSTRY I MOICH BRACI W WIERZE

17 października 2021 roku, w parafii pw. św. Jana Pawła II w Krakowie, zostałem uroczystie postany na misję przez biskupa Roberta Chrzęszcza.

Kurs inkulturacji w Anchilo

Pierwszym etapem pobytu w Mozambiku było uczestnictwo w kursie inkulturacji, przeznaczonym dla niedawno przybyłych misjonarzy. W jego ramach zapoznawaliśmy się z realiami kraju, do którego zostaliśmy posłani, historią Kościoła w Mozambiku i uczestniczyliśmy w lekcjach lokalnego języka macua. W marcu dotarłem na docelową misję w miejscowości Carapira, prowadzoną przez ojców kombonianów. Oprócz pracy duszpasterskiej, misjonarze są tutaj odpowiedzialni za Instytut Techniki Przemysłowej. Parafia jest bardzo rozległa i obejmuje 95 wspólnot posiadających swoje kaplice. W ramach pracy socjalnej staramy się dostrzegać i odpowiadać na podstawowe potrzeby osób najbardziej potrzebujących: poszkodowanych przez katastrofy naturalne, dotkniętych chorobami, niepełnosprawnych, rodziców samotnie wychowujących dzieci.

Pomoc poszkodowanym przez cyklon

W nocy z 10 na 11 marca 2022 roku w prowincję Namapula uderzył bardzo silny cyklon tropikalny Gombe, który pozbawił życia 63 osoby i zniszczył ponad 45 tys. domów. Konieczne okazało się zorganizowanie pomocy humanitarnej na terenie naszej parafii. Wspólnie z diecezjalnym Caritas dystrybuowaliśmy żywność i odzież. Na portalu Zrzutka.pl zebraliśmy kwotę 11190 zł, dzięki której pomogliśmy 65 rodzinom: osobom schorowanym, wychowującym niepełnosprawne dzieci i samotnym matkom. Dla sześciu rodzin sfinansowaliśmy budowę dachu, innym kupiliśmy żywność,

koce, koszulki i kapulany (kolorowy materiał, który może służyć jako spódnica lub okrycie w czasie nocy). W innym projekcie, dzięki pieniądзом otrzymanym z Brazylii, zapewniliśmy ziarna fasoli i kukurydzy na zasiew dla 293 rodzin, gdyż cyklon zniszczył też wiele pól i spowodował zagrożenie głodem.

Pomoc osobom niepełnosprawnym

Dzięki środkom otrzymanym z Polski i Brazylii, mogliśmy zakupić sprzęt medyczny dla chorych. Sfinansowaliśmy zakup 8 wózków inwalidzkich i 11 kul inwalidzkich. Obecnie, przygotowujemy jest również wnioski do Stowarzyszenia MIVA Polska, w celu zakupu 50 wózków inwalidzkich.

Pomoc doraźna

Na misję przychodzą osoby, które proszą o pomoc żywnościową, pomoc związaną z zakupem materiałów szkolnych lub o wykup recepty. O innych potrzebujących dowiadujemy się od naszych współpracowników. Staramy się indywidualnie rozpatrywać każdą sytuację, pomagać osobom znajdującym się w sytuacjach najtrudniejszych i tym, którzy nie mają możliwości uzyskania pomocy w inny sposób (nie mogą pracować i nie mają pomocy ze strony rodziny). Dysponujemy środkami na tego typu wsparcie i w przemyślany sposób staramy się ją dystrybuować. Szczególnie zależy nam, by osobiście spotkać się z potrzebującymi w ich domach i poznać ich bliżej.

Praca w instytucie techniki przemysłowej

Do końca stycznia 2023 roku pracowałem w wyżej wspomnianym Instytucie Techniki Przemysłowej. Początkowo w sekretariacie i prowadząc zajęcia

dodatkowe z informatyki, później również w sektorze produkcji (szkoła ma swoje warsztaty mechaniki samochodowej, metalurgiczny i stolarski). Ze względu na małą ilość obowiązków i niski stopień organizacyjny Instytutu, zdecydowałem się – w porozumieniu z ojcami kombonianami – na opuszczenie tego miejsca pracy.

Komputery, powołania, pokój

Aktualnie, prowadzę zajęcia dla osób zainteresowanych nauką obsługi komputera oraz z języka angielskiego. Wspólnie z bratem kombonianinem, siostrą zakonną i świecką misjonarką jestem też odpowiedzialny za grupę młodych osób, które rozeznają swoje powołanie do życia kapłańskiego lub zakonnego. Spotkania odbywają się co miesiąc w dwóch grupach (I i II rok). Natomiast w ramach Wydziału Pokoju i Sprawiedliwości Caritas oraz pomocy braterskiej, jestem odpowiedzialny za spotkania w pięciu regionach parafii i prowadzę formację dla osób zaangażowanych. Wspólnie z członkami Wydziału organizowaliśmy wyżej wspomniane projekty pomocowe dla poszkodowanych przez cyklon.

Projekt budowy kaplic

We wstępnej fazie znajduje się projekt budowy dwóch kaplic dla wspólnot. Zesztoroczny cyklon zniszczył wiele budynków, w których ludzie gromadzili się na modlitwę i katechezę. Zwróciłem się z prośbą do jednego ze stowarzyszeń w Polsce o pomoc finansową w realizacji projektu budowy nowych, solidnych miejsc modlitwy. Wstępnie zaakceptowane zostało dofinansowanie w wysokości 200 tysięcy złotych, co powinno wystarczyć na budowę dwóch kaplic i kupno egzemplarzy Pisma Świętego w lokalnym języku dla każdej z 95 wspólnot.

Na zakończenie

Jestem bardzo wdzięczny Bogu i Kościołowi za możliwość pracy na misji. Jest to dla mnie ubogające i rozwijające doświadczenie. Bardzo wiele zyskałem i wciąż zyskuję, pracując jako Świecki Misjonarz Kombonianin. Nabywam nowe umiejętności, poznaję wielu oddanych i dzielnych ludzi, nauczyłem się nowego języka, poznałem moje siostry i moich braci w wierze, którzy żyją w dużym ubóstwie, ale pięknie kochają Pana Boga. Mimo licznych chorób i słabości, chcę kontynuować swoją

pracę. Dziękuję księdzu arcybiskupowi Markowi Jędraszewskiemu oraz Komisji Episkopatu Polski ds. Misji za pomoc w realizowaniu mojego powołania misyjnego. Bóg zapłać!



18

Ks. Janusz Zajda

SUDAN POŁUDNIOWY

Ks. Janusz Zajda pracował w Tanzanii od 1990 r. Od 2003 podjął pracę w Tunezji a od 2010 do 2021 roku pracował w Turalei w Sudanie Południowym.

Pokój jest możliwy

W przemówieniu do liderów kraju, pogrążonego w głębokim kryzysie i ubóstwie, Franciszek mówił, że pokój jest możliwy, i prosił ich, by podjęli wszelkie starania, aby do niego doprowadzić.

Będę niestrudzenie powtarzać, że pokój jest możliwy. Ale ten wielki dar Boży jest jednocześnie mocnym zaangażowaniem ludzi odpowiedzialnych za swój naród - powiedział.

Gest, który przeszedł do historii

W bezprecedensowym geście papież Franciszek schylił się, ukląkł i pocałował stopy przywódców Sudanu Południowego w Watykanie, dokąd zaprosił ich na dwudniowe rekolekcje w intencji pokoju w tym kraju.

Wraz z wojną traci się wszystko

"Pamiętajcie - proszę - że wraz z wojną traci się wszystko" i zapewnił o swej bliskości z całą ludnością Sudanu Południowego, zwłaszcza z uchodźcami i chorymi.





**AMERYKA
POKUDNIOWA**

20

Ks. bp Robert Chrzęszcz

BRAZYLIA

PAN BÓG WYCIĄGAŁ MNIĘ ZE STREFY KOMFORTU

Jak to się stało, że Ks. Biskup wyjechał na misje?

Zostałem wyświęcony na kapłana w 1994 roku. Pracowałem na dwóch parafiach w Krakowie. I zaczęła we mnie kiełkować myśl, aby część swojego życia poświęcić pracy misyjnej. Widziałem, jak kapłani wyjeżdżali na Ukrainę, aby odbudowywać tam wspólnoty katolickie, parafie. To były delikatne przebłyski chęci pracy poza granicą Polski. Mój kolega ks. Zdzisław Błaszczak obecnie biskup archidiecezji Rio De Janeiro, wyjechał na misje do Brazylii i po trzech latach postanowiłem go odwiedzić. Będąc tam, poznawałem jego pracę, rzeczywistość tamtego Kościoła. Patrząc na potrzeby tamtej wspólnoty, przychodziła mi myśl z Piśma świętego, że ludzie są tam, jak owce bez pasterza. Kiedy się żegnałem po portugalsku z wiernymi, ks. Zdzisław zapytał: "Czy chcecie, aby ks. Robert wrócił tutaj na stałe?" Odpowiedzieli: "Chcemy". "To w takim razie musicie się o to pomodlić". "Będzicie się modlić? Będziemy". I już po dwóch latach pojechałem tam do pracy, w 11. roku kapłańskiej postęgi w archidiecezji krakowskiej.

Jakie Ks. Biskup miał oczekiwania, wyobrażenia o misjach?

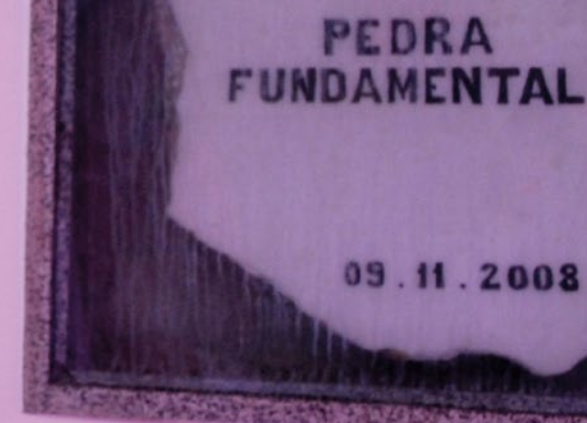
Nie miałem jakichś wielkich oczekiwań, wiedziałem, że to jest wielkie wyzwanie dla mnie, kwestia nauczenia się języka, poznawanie kultury, zadawałem sobie samemu pytanie: czy

dam radę? Stawałem przed Panem Bogiem i samym sobą i mówiłem: "Wyjeżdżam na 5 lat to jest pewne, poniżej 5 lat nie wracam". Dałem sobie taki okres, a potem chciałem zdecydować, co dalej.

Zostałem przyjęty do parafii Matki Bożej Pokoju. Byłem tam księdzem rezydentem i pierwszym moim zadaniem była nauka j. portugalskiego. Już po pięciu miesiącach Ksiądz Kardynał zdecydował, że czas, abym objął parafię, w której była potrzeba budowy kościoła. Kaplica była za mała dla wiernych. Przyznam, że to było wielkie wyzwanie dla mnie, księdza z Polski. Powiedziałem: "Panie Boże, teraz Ty działaj".

Jak Ks. Biskup budował kościół?

Kiedy przyszło mi budować kościół w Rio de Janeiro to miałem już pewne doświadczenie. W Polsce byłem przez 11 lat w parafii, w której trwała budowa kościoła. Uczyłem się języka, mieszkałem w budynku, gdzie było piętro dla nas księży i miejsca wynajmowane na biura np. banku, adwokatów, architektów i właśnie jeden z architektów był Żydem. To był bardzo zacny człowiek, profesor na uniwersytecie, wykładał architekturę. Kiedy trzeba było zaprojektować kościół, poprosiłem go o pomoc. Zgodził się. I tak wspólnie projektowaliśmy kościół. On nie do końca znał liturgię chrześcijańską, więc odpowiedzialny był za architekturę, a ja z moim doświadczeniem kapłańskim



PAN BÓG KAŻE MI: "PORYWAĆ SIĘ Z MOTYKĄ NA SŁOŃCE".

dokładałem to, co w kościele najważniejsze. Połączenie tych dwóch doświadczeń spowodowało, że wyszedł nam bardzo piękny kościół, jeden z najlepszych w Rio de Janeiro.

Praca w fawelach

Pan Bóg rzuca cię w jakieś miejsce, daje ci zadanie. W Polsce mówi się: "Porywać się z motyką na słońce" (śmiech). Pan Bóg daje ci taką motykę i mówi: "Idź tam". Idziesz z tą motyką na słońce, ale na szczęście w tym wszystkim jest Pan Bóg i pomaga. W fawelach, gdzie pracowałem, w parafii było 40 tysięcy ludzi, spora część nie chodziła do kościoła, nie wiedziała, że jest mała kaplica, że jest ksiądz, że są Msze Święte. Ale ludzie zaczęło przybywać. Przyszedł moment, kiedy zrozumiałem, że kapliczkę trzeba zburzyć i zbudować kościół. Miałem dylemat jak przekazać to parafianom, nie chciałem ich urazić, oni budowali ją 30 lat i nagle przychodzi ksiądz z Polski, nie mówi dobrze po portugalsku i mówi: "Będziemy burzyć kaplicę i budować kościół pięć razy większy". Ale po kilku miesiącach zaczęliśmy robić małe remonty, ludzie zobaczyli zmiany, zaczęli mi ufać. W końcu nadszedł czas, żeby oficjalnie zacząć budowę. Ale skąd wziąć kamień węgielny? Pomyślałem, że najlepiej z tej starej kaplicy, którą oni budowali. Zaprosiłem tych wszystkich, którzy budowali starą kaplicę, przyszło około 60 osób. Przedstawiłem plan budowy i poprosiłem, żeby z tej starej posadzki, która jest w kaplicy wybrali kamień węgiel-

ny. Odmówiliśmy różaniec w intencji wszystkich, którzy budowali kaplicę, za zmarłych i żyjących i za tych, którzy będą budować nowy kościół. Ludzie wybrali kamień z posadzki. Zapropnowałem, żeby wygrawerować na nim datę. Znaleźli kamieniarza, który to wygrawerował i przynieśli mi ten kamień. Zrobiliśmy cokół i umieściliśmy kamień na cokole. To był znak, że zaczynamy zbierać ofiary na budowę kościoła. Po kilku tygodniach przyjechał ktoś z Polski i zobaczył kamień węgielny, i pyta: "A dlaczego ten kamień ma kształt Polski"? Rzeczywiście. To był przypadek, ja nie miałem na to żadnego wpływu. Dla mnie to był mały znak od Pana Boga, że chyba coś z tego będzie.

Jak wyglądała budowa kościoła?

Na posadzkę dostałem od jednego z parafian zabytkowego dżipa i zrobiliśmy loterię, i udało się za to kupić kamień na posadzkę kościoła. Inny parafianin zajmował się odnawianiem apartamentów, miał zakład kamieniarski. Pewnego dnia przychodzi i mówi: "Będę sprzedawał maszynę do cięcia kamienia i to miejsce, gdzie stoi ta maszyna będę sprzedawał". Powiedziałem mu: "Nie sprzedawaj tej maszyny, ale umieść ją tutaj przy parafii, to się nam przyda, ty też będziesz mógł skorzystać". I tak wszystkie granity i kamienie potrzebne do budowy, wszystko było przygotowywane na miejscu. I tak to było, ktoś się pojawiał, ktoś miał pomysł.

Jak wyglądało duszpasterstwo?

O wiele ważniejsze było budowanie Kościoła duchowego, wspólnotowego. Wiara ludzi w Brazylii jest bardzo otwarta, ludzie są bardzo spontaniczni. Potrzebna jest pogłębiona formacja duchowa. W mojej parafii były 34 grupy. Była grupa dla małżeństw, dla nastolatków, młodzieży, jedne grupy były związane z formacją, inne z ewangelizacją, z wychodzeniem do domów, z pracą w terenie. Była grupa, która odwiedzała chorych, i była grupa, która zajmowała się witaniem ludzi w kościele, dbaliśmy o to, aby każdy otrzymał tekst Mszy Świętej. Pierwszy kontakt z ludźmi, którzy przychodzą pierwszy raz do kościoła, był dla nas bardzo ważny. Dbaliśmy o nich, chcieliśmy, aby czuli się przyjęci.

Duszpasterstwo małżeństw

Zapraszaaliśmy małżeństwa na tzw. "weekend z Panem Bogiem". Przyjmowaliśmy ludzi, którzy mieszkali razem, tych którzy żyli bez ślubu. Na spotkaniach były wykłady, warsztaty, świadectwa, było dużo praktycznego podejścia. Uczestnicy byli zadowoleni, zobaczyli, że po dwóch dniach ich relacje się zmieniają. Czasem te spotkania były podprowadzeniem do sakramentów, zwłaszcza do przyjęcia sakramentu małżeństwa.

Droga Krzyżowa w fawelach

Ludzie żyjący w fawelach nie mają doświadczenia drogi krzyżowej odprowadzanej w kościele. Dlatego pomyślałem, żeby zrobić ją na terenie faweli. Obrazy drogi krzyżowej były umieszczane na domach, wcześniej szła grupa osób i pukała do drzwi domów z pytaniem: "Czy chciałbyś/chciałabyś, aby obraz drogi krzyżowej powiesić na Twoim domu". Ludzie bardzo emocjonalnie przeżywali to doświadczenie. Często były to domy osób, w których ktoś chorował, przeżył jakąś tragedię. Mieszkańcy wiedzieli, że droga krzyżowa Pana Jezusa jest powiązana z ich życiem.

Raz w miesiącu organizowaliśmy Msze Święte „polewe”, każda w innej części faweli. Mieliśmy ciężarówkę. Była grupa, która informowała okoliczną ludność. Można było przynosić intencje i składać je w koszu. Wiele ludzi po raz pierwszy widziało, że niedaleko jest parafia, że jest ksiądz i że są Msze Święte. Mieliśmy grupę teatralną, która przygotowywała Misterium Męki Pańskiej. Wtedy cała dzielnica przychodziła, było kilka tysięcy ludzi.

Czy Ks. Biskup nie bał się wchodzić na fawele?

W fawelach jest niebezpiecznie. Zdarzały się morderstwa, walki między mafiami. Ale kiedy poznałem ludzi, ich rzeczywistość, a oni mnie, wtedy czułem się bardzo bezpiecznie. Ale modliłem się zawsze do "św. Józefa - Patrona Dobrej Śmierci".

Nominacja biskupia?

Propozycja, jaką otrzymałem, zburzyła mój spokój. Znow czekała mnie radykalna zmiana. To rodziło niepewność, nawet troszkę bojaźń, czy sobie poradzę...? Pojawiały się różne pytania. Kim jestem, żeby pełnić funkcję biskupa? Z drugiej strony Pan Bóg zawsze mnie prowadził tak, że wyciągał mnie ze strefy komfortu, znow kazał mi: "porywać się z motyką na słońce".



**WIARA LUDZI
W BRAZYLII JEST
BARDZO OTWARTA,
LUDZIE SĄ BARDZO
SPONTANICZNI.
POTRZEBNA
JEST POGŁĘBIONA
FORMACJA DUCHOWA.**





Ks. bp Zdzisław Błaszczyk

BRAZYLIA

"DUC IN ALTUM"

- "WYPLYNĀ

NA GŁĘBIĘ"



W PEWNYM SENSIE
POTRZEBOWAŁEM
NARODZIĆ SIĘ
NA NOWO,
JAKO CZŁOWIEK
I JAKO KAPŁAN.

Kończąc Liceum Ogólnokształcące w Wieliczce, postanowiłem pójść do seminarium. W seminaryjnym grafiku, od samego początku moją uwagę przykuło Kleryckie Koło Misyjne. Śmiało mogę powiedzieć, że moje powołanie do pracy misyjnej zrodziło się poprzez spotkanie do pracy misyjnej zrodziło się poprzez spotkanie w kółku misyjnym, w którym uczestniczyłem.

Dnia 14 maja 1994 roku otrzymałem święcenia kapłańskie z rąk ks. kard. Franciszka Macharskiego. Pracowałem w następujących parafiach Archidiecezji Krakowskiej: ŚŚ. Piotra i Pawła w Bolechowicach i Podwyższenia Krzyża Świętego w Krakowie - Kurdwanowie.

W roku 2000 udałem się na spotkanie z Kardynałem prosząc o pozwolenie na wyjazd na misje do Brazylii. Kardynał zgadzał się, ale stwierdził, że skoro ja wybrałem sobie kraj w którym chciałbym pracować, to on mi wybierze miejsce. Wskazał Rio de Janeiro. Ponadto ówczesny arcybiskup Rio de Janeiro, Kardynał Eugenio Sales, przyjaciel Kard. Macharskiego, kilkakrotnie zwracał się do niego z prośbą o kaptanów z Krakowa.

W drodze do Brazylii zatrzymałem się na kilka dni w Rzymie. Chciałem spędzić ten czas na modlitwie przy grobach apostołów. Miałem także nadzieję, że uda mi się spotkać z Ojcem Św. Janem Pawłem II, by poprosić o błogosławieństwo. Udało się, zostałem zaproszony, aby koncelebrować Mszę Św. z Papieżem. Po niej, w krótkiej rozmowie, opowiedziałem Ojcu Św.

o moim powołaniu misyjnym i otrzymałem błogosławieństwo.

21 października 2000 roku, w dniu błogosławionego Jakuba Strzemię, wylądowałem w Rio de Janeiro. Szybko zorientowałem się, iż moje imię chrzcielne, Zdzisław, jest bardzo trudne do wymowy dla Brazylijczyków. Postanowiłem przyjąć imię patrona dnia mojego przylotu, św. Jakuba Strzemię. Od tej chwili, aż do dziś jestem znany w Brazylii jako Tiago.

Odwiedzając nowy zakątek świata, porównujemy nasze dotychczasowe doświadczenia z nową rzeczywistością. Ja przywiozłem ze sobą polski sposób bycia, jednak szybko zauważyłem, że muszę to zmienić. Dla Brazylijczyków bezpośrednie zwracanie uwagi komuś lub szczere mówienie wprost, bez zbędnych uogólnień, jest uważane za grubiaństwo. Niezrozumienie ich uczuciowego sposobu reagowania na pewne wydarzenia może być odczytywane jako oziębłość lub obojętność. Brak bliskości fizycznej, dotyku, podczas spotkania z kimś znajomym jest interpretowany jako oschłość lub ukryta niechęć. Kto zbyt poważnie podchodzi do zwykłych, codziennych spraw, jest nazywany drętwiarzem, a ten, kto nie rozumie ich spontaniczności jest postrzegany jako sztywniak. Nie przyjechałem do Brazylii, aby przerabiać tutejszy Kościół na polski, ale aby w nim pracować. To ja potrzebowałem nauczyć się brazylijskiej kultury, wejść w nią. W pewnym sensie potrzebowałem narodzić

się na nowo, jako człowiek i jako kaptan. Miałem już nowe imię, Tiago, a reszta przyszła z czasem.

Zostałem wysłany na moją pierwszą samodzielną parafię w dzielnicy Bangu, której patronem jest święty Juda Tadeusz. Jest to jedna z biedniejszych dzielnic Rio de Janeiro, z kilkoma fawelami, w tamtych czasach naznaczona konfliktami między gangami sprzedawców narkotyków i częstymi operacjami policji. Codziennie słyszałem strzelaniny, znajdowałem groty zabłąkanych kul, a nawet trafiałem na zamordowanych ludzi na ulicach. Szybko nauczyłem się, których miejsc lepiej nie odwiedzać i jakich sytuacji unikać, a także w jakich godzinach lepiej nie przejeżdżać przez pewne ulice czy regiony. Dostyc szybko przyzwyczałem się do tej rzeczywistości. Myślę, że siła, która płynie z wiary i pewność, że Pan Bóg chce mnie w tym miejscu, były kluczowe.

Jedną z cech charakterystycznych brazylijskiego społeczeństwa jest wieloreligijność. Można tu spotkać praktycznie wszystkie religie istniejące na świecie. Chryścijanie stanowią zdecydowaną większość, a około 50% z nich przynależy do Kościoła katolickiego. W kulturze popularnej funkcjonuje wiele przesądów i zabobonów. Także wielu ludzi praktykuje wierzenia wywodzące się z Afryki lub spirytyzm.

Brazylijczycy łatwo przyjmują nowe religie i obietnice nadzwyczajnych łask i błogosławieństw, co czyni ich łatwymi ofiarami sekt. Dużą popularnością cieszą się chrześcijańskie sekty, które kuszą tzw. teologią sukcesu. W swojej doktrynie zasadniczo unikają tekstów z Nowego Testamentu, zwłaszcza tych, które mówią o krzyżu. Natomiast na podstawie zręcznie dobranych tekstów ze Starego Testamentu udowadniają, że Bóg chce naszego pełnego szczęścia już tu na ziemi, a powo-

dzenie i sukcesy w tym życiu są znakami Bożego błogosławieństwa. Cierpienie jest czymś jednoznacznie złym. Liderzy tych sekt zbierają wysokie ofiary, za które wyproszą u Boga, w imię Jezusa, wszystko czego ludzie pragną. Z tych właśnie powodów ewangelizacja w Brazylii wymaga postawienia dużego nacisku na katechezę i formację duchową.

Natomiast dobrym skutkiem naturalnej pobożności Brazylijczyków jest to, że znaczna część praktykujących katolików angażuje się w życie parafii. W parafiach działa wiele duszpasterstw, grup i ruchów. Kiedy opuszczałem parafię św. Judy Tadeusza, działały tam 33 grupy.

Nowa parafia miała za patrona św. Piotra Apostoła, jako człowieka morza (São Pedro do Mar). Znajdowała się w pięknym regionie miasta, blisko wybrzeża Atlantyku. Zostałem tam posłany, aby nie tylko objąć normalne obowiązki duszpasterskie, ale także pilnie rozwiązać kilka problemów. Przede wszystkim trzeba było zająć się dachem na nowym



UDAŁO SIĘ ZMIENIĆ OBLICZE PARAFII

kościół parafialny, który był wciąż w budowie i nie został wykonany zgodnie z projektem. Stał, użyta do konstrukcji, nie miała wymaganej wytrzymałości, co groziło jego zapadnięciem. Negocjacje z firmą, która wykonała dach, były bardzo skomplikowane. Firma nie chciała przyznać się do swojego błędu. Musiałem wynegocjować kompromis. Większa część elementów dachu musiała zostać zdemontowana, a następnie złożona od nowa z dodatkowymi wzmocnieniami. Po ukończeniu trudnej, niestety także kosztownej rekonstrukcji dachu, przystąpiliśmy do kolejnych etapów budowy. Celem było jak najszybsze zakończenie prac, aby rozpocząć odprawianie Mszy Świętych w nowym kościele.

Budowa trwała od 10 lat. Wielu parafian wyrażało swoje wątpliwości, czy kiedykolwiek będą mieli szansę zobaczyć wykończony kościół. Działalność duszpasterska odbywała się w tymczasowych salach i pod prowizoryczną wiatą, a Msze Św. odprawiane były pod namiotem. W ciągu kilku następnych lat udało się zmienić oblicze parafii.

Organizowaliśmy spotkania formacyjne dla dzieci, młodzieży i dorosłych, inicjatywy charytatywne, pogłębione przygotowanie do sakramentów, kształciliśmy liderów grup. Pojawiły się nowe grupy i duszpasterstwa. Coroczny festyn parafialny z okazji święta patrona był wydarzeniem wyczekiwany przez mieszkańców z tego regionu miasta. Trwał on 9 dni i gromadził tysiące uczestników. Dwa razy w roku była organizowana tzw. Akcja Społeczna (Ação Social), której celem było pomaganie najbardziej potrzebującym mieszkańcom z okolic. Oprócz ekipy organizacyjnej byli w nią zaangażowani także wolontariusze z parafii, w tym lekarze, stomatolodzy, psychologowie, psychope-

dagodzy, adwokaci i inni.

4 grudnia 2019 roku zostałem mianowany przez papieża Franciszka biskupem pomocniczym Archidiecezji Rio de Janeiro. Wybór mojej osoby przez papieża Franciszka na biskupa był dla mnie zaskoczeniem. W podziękowaniu wygłoszonym na zakończenie uroczystości moich święceń biskupich w takich słowach zwróciłem się do moich parafian: "Ksiądz formuje wspólnotę parafialną, ale również wspólnota formuje księdza; to obcowanie przynosi wzajemne wzbogacenie. Dlatego Wy, moi bracia i siostry, z parafii św. Piotra, (człowieka) Morza z Recreio i św. Judy Tadeusza z Bangu, jesteście również współodpowiedzialni za to, że stałem się kandydatem, a dziś biskupem przeznaczonym do służby w tej archidiecezji (Rio de Janeiro). Niech więc moja dzisiejsza radość będzie także radością każdego z Was."

Pierwsze miesiące po święceniach były czasem nabywania doświadczenia w posłudze biskupiej w sytuacji bardzo skomplikowanej - rozpoczęła się pandemia COVID-19. Starsi biskupi, współpracownicy w Rio de Janeiro, mieli wiele do przekazania mi ze swojego doświadczenia. Jednak żaden z nich nie miał pojęcia, jak prowadzić Kościół w czasie tego kryzysu. Stało się jasne, że zadaniem Kościoła jest trwanie z ludem i umożliwianie mu spotkania z Panem Bogiem, zwłaszcza poprzez media społecznościowe i internet. W klimacie strachu i niepewności, napędzanym przez nieodpowiedzialne media, wierni potrzebowali światła wiary i nadziei, a kapłani wsparcia i otuchy. Wielu zaczęło szukać Pana Boga i budować z Nim relacje po raz pierwszy w życiu. Księża opowiadali, jak często z płaczem odprawiali Msze Św., patrząc na pusty kościół. Wielu z nich po raz pierwszy uświadomiło sobie,

że bycie kapłanem bez wiernych nie ma sensu. Także wielu wiernych doceniło, jak ważna jest możliwość pójścia na Mszę Św. do kościoła, przyjęcie Komunii św., czy możliwość spowiedzi.

Terytorium Archidiecezji Rio de Janeiro pokrywa się z granicami miasta, w którym mieszka około 6,5 mln osób, z czego około 3,5 mln deklaruje się jako katolicy. Rio de Janeiro to wielkie, piękne, ale i trudne miasto. Urokliwe plaże, urzekająca przyroda i wiele atrakcji turystycznych przyciągają co roku około 6 milionów turystów. Jednakże, to także miasto z wieloma problemami, takimi jak bieda widoczna w wielu częściach miasta oraz przemoc. Dwie trzecie mieszkańców Rio de Janeiro mieszka w biednych dzielnicach i tzw. favelas, gdzie osadzają się grupy przestępcze zainteresowane głównie sprzedażą narkotyków. Często dochodzi tam do starć między nimi a policją, a także do konfliktów między różnymi grupami przestępczymi o dominację w niektórych częściach miasta, lub z tzw. milicjami - formacjami składającymi się najczęściej z byłych policjantów i wojskowych, które od kilkunastu lat prowadzą swoją kryminalną działalność. Początkowo zajmowały się one ochroną pewnych dzielnic miasta przed przestępczością, ale szybko zamieniły się w grupy przestępcze, żyjące przede wszystkim ze ściągania haraczy, przejmowania i zarządzania liniami vanów, przejmowania usług internetowych, telewizji kablowej oraz sprzedaży wody mineralnej i gazu. W niektórych częściach miasta grupy te zajmują tereny prywatne, a nawet państwowe, które następnie są sprzedawane na podstawie sfałszowanych dokumentów. Pomimo tych trudności i zagrożeń, Kościół katolicki stara się być blisko swoich wiernych, jest obecny we wszystkich częściach miasta, rozwijając swoją działalność zarówno w sferze duchowej, jak i charytatywnej.

Obecnie moja posługa w Archidiecezji Rio de Janeiro podzielona jest na kilka misji. Oprócz typowych obowiązków związanych z diecezjalną administracją, zajmuję się pracą z kapłanami oraz ze świeckimi liderami kilku Ruchów i Duszpasterstw. Przeprowadzam wizytacje kanoniczne w parafiach, sprawuję sakramenty święte, szczególnie bierzmowania. Opiekuję się dwoma regionami w zachodniej części miasta, zwanymi Wikariatami, w skład których wchodzi dziewięć dekanatów. Jedną z misji, którą zainicjowałem i rozwijam w Rio de Janeiro, jest dzieło Duchowej Adopcji. Dla

większości brazylijskich katolików jest to inicjatywa zupełnie nieznaną. W ciągu ostatnich dwóch lat udało mi się rozpropagować inicjatywę Duchowej Adopcji nie tylko w samej Archidiecezji Rio de Janeiro, ale także w wielu diecezjach Brazylii. Muszę jednak powiedzieć, że jest to dopiero początek, chociaż Adopcja Duchowa cieszy się bardzo pozytywnym przyjęciem. Chcę dodać, że współpracujemy z polską Fundacją Małych Stópek ze Szczecina, która udostępniła nam aplikację na telefony komórkowe.

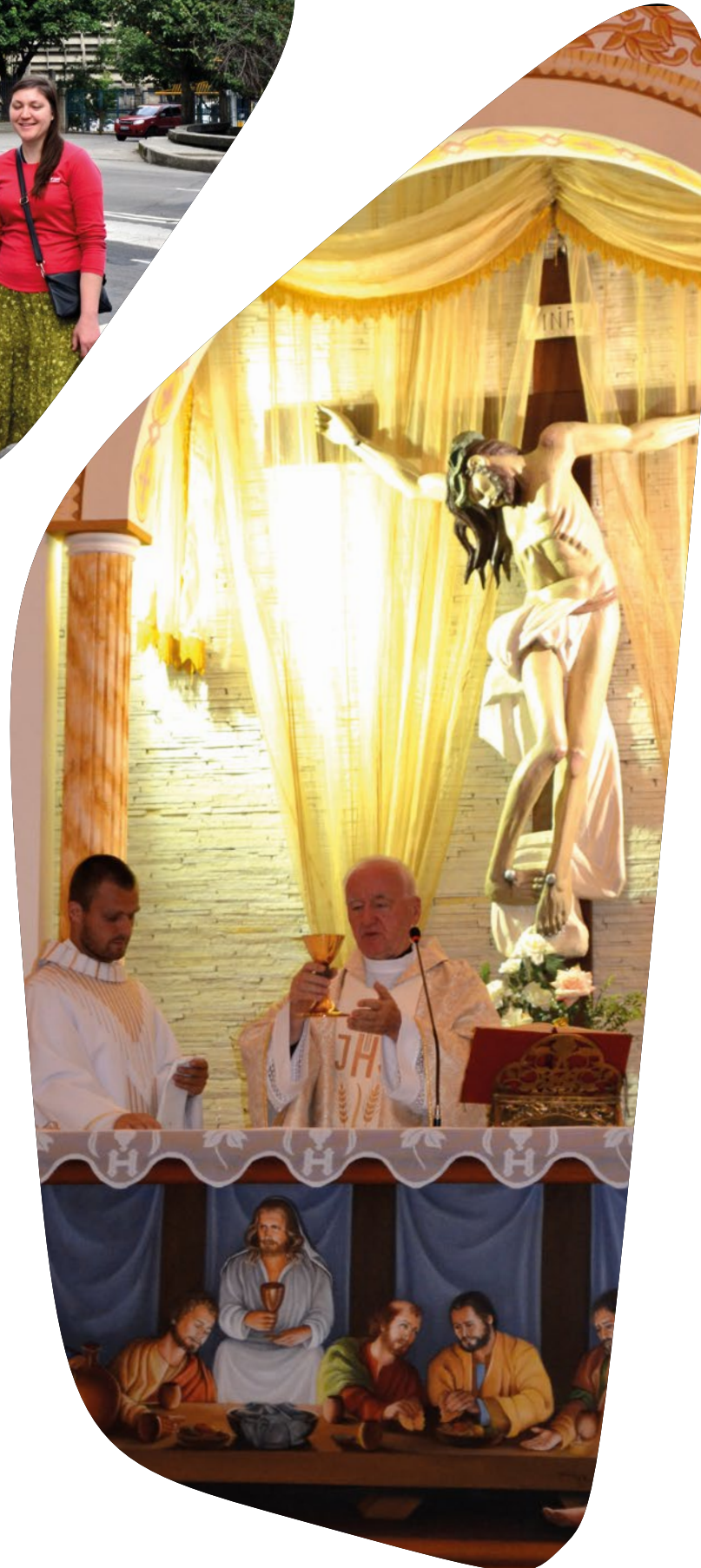
Jednym z powodów, dla których wybrałem jako moje zawołanie biskupie słowa z Ewangelii św. Łukasza (5,4) "Duc in altum" - "Wyptnij na głębię", był List Apostolski Ojca Świętego Jana Pawła II "Novo Millennio Ineunte". W pierwszych liniach tego listu Papież napisał: "Duc in altum! Dzisiaj te słowa skierowane zostają do nas i wzywają nas, byśmy z wdzięcznością wspominali przeszłość, całym sercem przeżywali teraźniejszość i ufnie otwierali się na przyszłość: «Jezus Chrystus wczoraj i dziś, ten sam także na wieki» (Hbr 13, 8)." (Novo Millennio Ineunte 1). Te słowa są dla mnie jakby nowym drogowskazem w mojej służbie Bogu i Kościołowi. Wszyscy jesteśmy wezwani do podążania przez życie z Chrystusem - tym, który stał się ciałem, aby nas wybawić, który zbudował Kościół na fundamencie Piotra, zawsze prowadząc i podtrzymując go, i od którego zależy nasza przyszłość i życie wieczne. Dlatego pragnę patrzeć w przyszłość tak, jak Święty Jan Paweł II patrzył i jak podpowiada nam wszystkim: "Duc in altum" - "Idźmy naprzód z nadzieją! Nowe tysiąclecie otwiera się przed Kościołem niczym rozległy ocean, na który mamy wypłynąć licząc na pomoc Chrystusa. Syn Boży, który z miłości do człowieka przyszedł na świat dwa tysiące lat temu, także dzisiaj prowadzi swoje dzieło: musimy mieć przenikliwy wzrok, aby je dostrzec, a nade wszystko wielkie serce, abyśmy sami stawali się jego narzędziami. (Novo Millennio Ineunte, 68).



22 Ks. Jan Kaleta

BRAZYLIA

"ODWAGI JAM ZWYCIĘŻYŁ ŚWIAT"



W BRAZYLII KSIĄDZ PRACUJE DOKĄD MA SIŁY.

40 do 50. Dostałem ostatnio takie zdjęcie, że panowie w Warszawie klękają i modlą się na ulicy. W Krakowie mężczyźni zbierają się raz w miesiącu i odmawiają różaniec. Kościół się zmienia.

Jak wygląda praca duszpasterka?

Kardynał Sales powiedział kiedyś: „Cieszę się, że jesteście w Kościele, ale gdzie są inni ochrzczeni, inni, którzy przyjęli sakramenty?”. Od wizyty św. Jana Pawła II rozpoczęliśmy nową ewangelizację i ewangelizację ochrzczonej. Wydawać by się mogło, że to paradoks: jeżeli ktoś jest ochrzczonej, to po co ewangelizacja? Jest to proces nieustanny i problemy są nieustannie.

Czy w Rio de Janeiro jest niebezpiecznie?

Tak, zdecydowanie. Jeden pan szedł na spacer z psem i najpierw musiał oddać zegarek i telefon, a potem został zastrzelony. Ja też widziałem rewolwer wymierzony we mnie i musiałem oddać samochód. Bogu dzięki żyję i jestem tutaj. Pan Bóg mnie strzegł. I Matka Boska. W Rio nie ma miejsca, gdzie nie byłoby niebezpiecznie. Centrum Rio jest zaniedbane, brudne, zapuszczone, mimo, że jest tam centrum administracyjne, banki. Ale została wybudowana nowa dzielnica, która ma wszystko zorganizowane, w jednym miejscu zgromadzone: tam będziesz pracował, uczył się, są tam kościoły.

Co Ksiądz powiedziałby ludziom przygotowującym się na misję?

Odwagi! Jam zwyciężył świat! To słowa samego Jezusa. Nie bać się, spróbować poodychać nieco innym powietrzem. Mamy inne doświadczenia jako archidiecezja krakowska. Nie bać się wyjechać.

Czy Ksiądz zostaje do końca w Brazylii czy wraca do Polski?

To jest pytanie, którego by nie zadano w Brazylii. Ponieważ tam ksiądz pracuje dokąd ma siły. Jestem na takim etapie, że i jestem coraz spokojniejszy, i oddaję to wszystko Panu Bogu, i będę pracował. Nie ma takiego słowa jak „emerytura” w Brazylii. Albo są jeszcze inne możliwości. Dobrze się czuć i nie pracować to jest prawie niemożliwe. W zeszłym miesiącu w sąsiedniej parafii miał urodziny ksiądz urodzony w 1929 roku. Czuje się wyśmienicie. Ma 92 lata i pracuje. Gdyby moi parafianie usłyszeli, że zamierzam ich opuścić, to byłoby niesamowite. Jest to jedyny kraj albo Kościół, gdzie ludzie się cieszą, że ksiądz jedzie na urlop i wraca.

Jak to się stało, że Ksiądz wyjechał na misje?

Od 1984 roku pracuję w archidiecezji św. Sebastiana w Rio de Janeiro. Jadąc tam, nie miałem takiej wielkiej świadomości, gdzie i po co jadę. Proszę się tym nie przerazić, ale są pewne kwestie, do których się dorasta po pewnym czasie. W 1982/1983 roku zgłosiłem się do ks. kard. Franciszka Macharskiego, że jestem gotowy pojechać na misje. Wtedy pracowałem w parafii w Jaworznie. Miałem kontakt z ks. Wilkoszem pracującym w Brazylii (300 km od Rio de Janeiro) i on był zainteresowany moim przyjazdem. Kiedy już miałem załatwione zaproszenie i autoryzowane dokumenty, udałem się do Księdza Kardynała, żeby przedstawić swoją propozycję wyjazdu do Brazylii – na którą już wcześniej miałem zgodę – żeby się też pożegnać. Wtedy kardynał powiedział: „Nie pojedziesz dlatego, że mam zaproszenie od kard. Eugeniusza Saresa z Rio de Janeiro. Jeśli byłby jakiś kandydat, to może pojechać”.

Jaki był pierwszy rok pobytu w Rio?

Przeżyty z wielką nadzieją i smutkiem. Zacząłem na Copacabana. Przyleciałem 8 grudnia. Potem było Boże Narodzenie i Sylwester. Po kolacji każdy ksiądz poszedł do swojego mieszkania, a ja wyszedłem na plażę, bo to było o trzy domy od plaży. I spotkałem się z dwumilionowym tłumem, a ja byłem sam. To był trudny moment.

Jak parafianie przyjmowali Księdza misjonarza?

Brazylijczycy są bardzo oddani Kościołowi, można powiedzieć, że są zakochani w Kościele, więc i kochają kapłana.

Wiele osób chodzi ubranych w koszulki np. z obrazem Maryi albo Pana Jezusa.

Żeby zaznaczyć do jakiego duszpasterstwa należą, np. duszpasterstwo rodziny, duszpasterstwo ministrantów. To jest bardzo ciekawe – chcą się zidentyfikować z tym do czego należą, co robią. W diecezji mamy 40 oficjalnych duszpasterstw i parafie starają się np. o pomoc przez środki masowego przekazu. Podczas pandemii zaczęliśmy i do tego zachęcał też kardynał, żeby nie zabrakło Mszy Świętej transmitowanej z każdej parafii – oprócz tej transmitowanej codziennie z Aparesidy, największego Sanktuarium w Brazylii. Zaczęliśmy 16 marca. Kościół mieliśmy zamknięty 4 miesiące. Wtedy ludzie bardziej zaczęli się łączyć z parafią, szukać łączności duchowej i dzisiaj mamy pewność, że mamy wiernych.

Czy w życie kościoła angażują się mężczyźni?

Jest dużo ruchów. Mężczyźni gromadzą się co tydzień i odmawiają różaniec. W parafii św. Michała Archanioła jest około dwóch tysięcy mężczyzn. W każdej parafii spotykają się w czwartki i modlą się na różańcu, jest ich od



Ks. Bogusław Batkiewicz

BRAZYLIA

ZABIĆ ZA 5 ZŁ DŁUGU?

Już w seminarium myślałem o pracy misyjnej! Moim ideałem była Matka Teresa z Kalkuty! Kiedy byłem na pierwszej parafii, zacząłem korespondować z Matką Teresą. Wtedy w Indiach był na placówce arcybiskup Józef Wesołowski, dzięki niemu otrzymałem kilka listów od św. Matki Teresy. Potem urwał się nasz kontakt, Matka Teresa została poddana operacji serca. Ze względu na długi czas braku odpowiedzi, udałem się do ks. kardynała Franciszka Macharskiego, aby skierował mnie na misje. I otrzymałem pozytywną odpowiedź.

Ogromne bogactwo niewielu i nędza wielu

W Rio zaskoczyły mnie ekstremalne warunki życia ludzi. Ogromne bogactwo niewielu i nędza wielu. Szokiem dla mnie i sytuacją, której nie umiem zaakceptować do dziś, jest brak szacunku do życia, ciągłe strzelaniny i napady. W wielu dzielnicach ludzie żyją jako zakładnicy mafii narkotykowych, policja jest skorpumpowana, a przestępczość przerażająca.

Po 3 miesiącach nauki języka w parafii Nossa Senhora de Copacabana, na początku grudnia objąłem parafię Chrystusa Zmartwychwstałego po ks. Jerzym Rażnym, który ze względu na chorobę mamy powrócił nagle do Polski. Ludzie tam mają ogromny głód Boga! Dlatego tam gdzie się pojawi ksiądz – od razu można tworzyć wspólnotę. Trudnością jest jedynie brak środków materialnych, ale na pewno nie można narzekać na brak chętnych. Głód Boga, Jego miłości i Słowa sprawia, że bardzo szerzą się sekty, które żerują i okradają już i tak żyjących w nędzy ludzi.

Z tego powodu trafiłem na uniwersytet Katolicki w Rio de Janeiro, aby znaleźć odpowiedź na pytanie: jak my, katolicy, powinniśmy dialogować i odnosić się do obecności tak wielu sekt, a także religii niechrześcijań-

skich! Po 2 latach studiów obroniłem pracę magisterską z dogmatyki, pt. „Inkulturacja wiary w nauczaniu Jana Pawła II”, a po 4 latach obroniłem doktorat pt.: „Dialog i misja Kościoła katolickiego w teologii Michaela Amaladossa”. Zacząłem wyklądać w seminarium św. Józefa. Potrzeby były ogromne, materiały do wykładów w języku portugalskim prawie niedostępne. Trzeba było tłumaczyć materiały i podręczniki z języka polskiego, hiszpańskiego czy angielskiego.

Oczywiście, pracę naukową łączyłem z potrzebami parafii, budując kościoły i kaplice, punkty duszpasterskie, organizując duszpasterstwa i przygotowując ludzi świeckich do uczenia katechezy. Do pomocy otrzymywałem diakonów, potem księży wikarych, aby sprostać wyzwaniom. Klimat oraz upływający czas i zmęczenie niejednokrotnie dawały o sobie znać.

Miałem 3 parafie. Na pierwszej mieszkało około 100 tys. ludzi. Było to ogromne osiedle bloków, pomieszane z fawelami i domkami prywatnymi dawnych emigrantów z Portugalii i Hiszpanii. Policzyłem, że aby odwiedzić wszystkich mieszkańców musiałbym chodzić po kolędzie codziennie przez 10 lat. Na pozostałych dwóch parafiach było po ok. 50 tys. ludzi. Wszystkie miały bardzo zróżnicowane osiedla i mieszkańców, od skrajnej nędzy po klasę średnią.

Moja rodzina

Ludzie w Brazylii są otwarci, z czasem stawali się jak moja rodzina. Robiliśmy razem kursy, organizowaliśmy rozmaite grupy. Trzeba było z nimi być, mieć dla nich czas. To było dla nich bardzo cenne. Bliski kontakt sprawiał, że zaczęli uczestniczyć w katechezie i jako dorośli przygotowywali się do poszczególnych sakramentów świętych, a potem sami angażowali się i organizowali nowe wspólnoty i grupy duszpasterskie. Na



**LUDZIE MAJĄ OGROMNY GŁÓD BOGA, TAM GDZIE
POJAWI SIĘ KSIĄDZ – OD RAZU MOŻNA TWORZYĆ
WSPÓLNOTĘ.**

ostatniej parafii, gdzie z czasem otrzymałem pomoc wikariusza i stałego diakona, ochrzcziliśmy w przeciągu 8 lat blisko 3 tys. osób, w tym ponad 200 dorosłych.

Problem narkomanii

Ogrom osób uzależnionych od narkotyków i ogromne grupy tych, którzy narkotykami handlują, to bolesny i tragiczny temat dotyczący życia w Rio de Janeiro. Wojny i strzelaniny między grupami handlarzy są na porządku dziennym, a liczba ofiar każdego dnia to dziesiątki osób, a nawet setki. Jest to ogromne nieszczęście i cierpienie, kiedy syn albo córka, wnuk czy wnuczka jest uzależniona od narkotyków. Niejednokrotnie młodzi uzależnieni tracili życie, bo byli winni przemytnikom 5 złotych za narkotyki. Nie zapomnę nigdy, kiedy na parafie przychodziły matki czy babcie prosząc o Mszę za zmarłe dziecko, wnuka, który został zabity, bo był winien sprzedawcy 5 czy 10 złotych. Ten ogromny ból bezradności, bo nic nie można zrobić. W mojej pierwszej parafii organizowane były rekolekcje dla uzależnionych. Osobna grupa dla kobiet i osobna dla mężczyzn. W tych rekolekcjach, trwających trzy dni, uczestniczyło od 400 do 500 osób. Wszyscy ci, którzy po rekolekcjach zdecydowali się na leczenie i na odwyk, mogli otrzymać pomoc od wspólnoty Marana Tha. Leczenie trwa 9 miesięcy. Uczestnicy mieszkali w ogromnym gospodarstwie, a każdy dzień był skrupulatnie zaplanowany. Był czas na pracę fizyczną, modlitwę, rekreację, konferencję i wsparcie od lekarzy i specjalistów, psychologów, terapeutów. Prowadzącymi te domy byli najczęściej ludzie, którzy sami niegdyś byli uzależnieni. Moi parafianie angażowali się co tydzień w prowadzenie konferencji i czytanie Pisma Świętego. Ci, którzy skończyli odwyk i wytrwali w trzeźwości, znaleźli pracę i po-

magali sobie nawzajem. Wielu niestety powracało do nałogu, jednak dalej szukali wsparcia i pomocy. Praca wolontariuszy była ciężka i odpowiedzialna. Wymagała przygotowania, formacji i duchowej siły. Jest to bowiem walka między dobrem i złem, między niebem i piekłem, między Bogiem a szatanem – o duszę człowieka, o jego zbawienie, godność, o jego wolność i szczęście.

Nigdy nie słyszeli o Jezusie

Zaangażowani w pomoc bezpośrednią uzależnionym potrzebowali wiele modlitwy ludzi z różnych parafii w Rio de Janeiro. Oprócz tego, potrzebowali dużo odwagi. Wśród leczących się niejednokrotnie byli szefowie gangów narkotykowych, mordery, gwałciciele, przestępcy, często poszukiwani przez policję. Wśród nich byli tacy, którzy nigdy nie słyszeli o Jezusie, nie mieli rodzin, byli niekochani, analfabeci i ludzie wychowani na ulicy, porzuceni w dzieciństwie przez matkę w kontenerach na śmieci. Na rekolekcjach działy się cuda, nawrócenia, przyjmowanie Chrztu, następowała odmiana życia. Ta wspólnota Marana Tha i ludzie ją współtworzący ofiarują tym wszystkim pokrzywdzonym życie, miłość i serce, których nigdy nie otrzymali. Kiedyś, pobłogosławiłem małżeństwo katechetki, bardzo pobożnej i angażującej się w przygotowanie dzieci do I Komunii Świętej, mieszkającej na jednej z wielu faweli należącej do parafii. Ani ona, ani ja nie wiedzieliśmy, że jej narzeczony był szefem kartelu narkotykowego. Okłamał ją i mnie w procesie przedmałżeńskim. Sprawa wyszła na jaw, kiedy po kilku miesiącach nagle zaginął. Żona rozpoznała jego tożsamość w innej dzielnicy Rio, w resztkach znalezionej przez policję ciała. Rywalizujący z nim gang przemytników narkotyków spalił go żywcem w ognisku sporządzonym z opon samochodowych, które popularnie nazywane jest kominem...

Odwiedzanie chorych, błogosławienie ich domów, organizowanie różnorodnych nabożeństw, procesji, organizowanie pikników, obiadów i festynów – to była codzienność. Ważne również były kontakty z ludźmi bogatymi, którzy z czasem, okazując zaufanie, wspomagali bardzo różne inicjatywy pomocy biednym.

Chce wrócić do Rio, albo pojechać gdzieś, gdzie brakuje księży. Zobaczmy co Bóg da!

MYŚLI MOJE NIE SĄ MYŚLAMI WASZYMI

FENOMEN KOŚCIOŁA TĘTNĄCEGO
ŻYCIEM, JAKIEGO NIGDY WCZEŚNIEJ NIE
DOŚWIADCZYŁEM Z TAKĄ INTENSYWNOŚCIĄ,
WCIĄGNAŁ MNIE, WRĘCZ WESSAŁ JAK
POTĘŻNY
WIR NA ŚRODKU OCEANU.



Związek Radziecki

W którymś momencie, podczas wakacyjnych rekolekcji oazowych, przeczytałem wspomnienia ks. Władysława Bukowińskiego – dziś błogosławionego – i moje pragnienie służenia Panu Bogu i ludziom w kapłaństwie zyskało nowy kierunek: „chciałbym jako ksiądz pracować w Związku Radzieckim!”. Myśl o pracy duszpasterskiej w Związku Radzieckim towarzyszyła mi z różną intensywnością podczas formacji seminarystycznej. Nie wiedziałem wtedy, że to się nigdy nie stanie i to z najbardziej oczywistej przyczyny. W maju 1991 roku przyjąłem święcenia kapłańskie, a w grudniu tego samego roku Związek Radziecki przestał istnieć.

Rok po święceniach, będąc wikariuszem w Skawinie, zgłosiłem się do ówczesnego biskupa pomocniczego Archidiecezji Krakowskiej, ks. biskupa Kazimierza Nycza, by zadeklarować moją gotowość do pracy w Archidiecezji Lwowskiej na Ukrainie. Ostatecznie ks. biskup Nycz poradził mi pozostać w Skawinie jeszcze rok i w lecie 1993 roku dotarłem na Wołyń, do parafii w Ostrogu nad Horyniem.

W Ostrogu spędziłem rok, a potem ks. abp Marian Jaworski, Metropolita Lwowski, skierował mnie do posługi duszpasterskiej w Buczaczu, niedaleko Tarnopola. Tam z kolei pełnił posługę wiekowy ks. infułat Ludwik Rutyna, który po prawie 50 latach wrócił w rodzinne strony. W którymś momencie spotkałem ks. Edwarda Antolaka. Ks. Edward zaprosił mnie do Francji z propozycją dania świadectwa o mojej postudze na Ukrainie, połączonych z prośbą o duchowe i materialne wsparcie. I właśnie tam, prawie u stóp Pirenejów, jakby mimochodem, miało miejsce – jak się później okazało – bardzo inspirujące spotkanie. Do ks. Edwarda przyjechał w odwiedziny ks. Jan Kaleta, misjonarz pracujący w Rio de Janeiro. I wtedy nagle jakby stanął przede mną ks. Władysław Bukowiński, powtarzając myśl: „Przecież nie chodzi o nazwę kraju, nawet nie chodzi o konkretne miejsce (w domyśle: Związek Radziecki), ale o ludzi, którzy potrzebują kaptana”. W końcu pomyślałem: „Czemu nie? Prawdopodobnie łatwiej będzie znaleźć kogoś chętnego do posługi na Ukrainie, niż w Brazylii”.

Chcąc jednak uniknąć pochopnego ulegania chwilowym zachciankom, napisałem list do ks. kard. Francisz-

ka Macharskiego z prośbą o radę i z deklaracją mojej gotowości podjęcia posługi w Rio de Janeiro. Bardzo szybko otrzymałem odpowiedź – i to pisaną odręcznie. Na kartoniku wielkości pocztówki Kardynał napisał: „Dziękuję za Brazylię! Proszę wszystko uzgodnić z ks. abpem Jaworskim”. Tak też się stało i kolejne pół roku zajęło mi załatwianie formalności wizowych oraz nauka podstaw języka angielskiego.

Beztróskie traktowanie trudności

W styczniu 1997 roku, w szóstym roku kapłaństwa, wyjechałem do Rio de Janeiro z obowiązkowym kilkudniowym przystankiem w Rzymie, gdzie dane mi było koncelebrować Mszę Świętą z Ojcem Świętym Janem Pawłem II w jego prywatnej kaplicy i otrzymać papiejskie błogosławieństwo.

W Rio de Janeiro przyjęli mnie polscy misjonarze: ks. Jan Kaleta, ks. Bogusław Batkiewicz i ks. Ryszard Pędzimaż, a kolejne ponad pół roku spędziłem w parafii tuż przy najstojniejszej plaży w Rio, zwanej Copacabana. To był czas nauki języka portugalskiego i stopniowej adaptacji w nowej rzeczywistości. Dodam, że dość wcześnie zauważyłem spore podobieństwo podejścia do spraw codzienności Brazylijczyków z tym, które obserwowałem na Ukrainie: wylewna serdeczność oraz pozytywne – czasem wręcz beztróskie – traktowanie pojawiających się trudności czy życiowych wyzwań. Przypominałem sobie wtedy opowieść ks. kardynała Macharskiego, który mówił, że kiedy papież Jan Paweł II miał do wygłoszenia jakiś tekst w języku portugalskim, to najpierw przypominał sobie „lwowski zaśpiew”, czyli charakterystyczny akcent Polaków mieszkających lub pochodzących z terenów po obu stronach wschodniej granicy Polski. Ojciec Święty mawiał, że oba języki mają bardzo podobną melodię. Być może dlatego dość szybko poczułem się w Rio jak w domu. W końcu przyszedł czas na podjęcie właściwej posługi. Kardynał Sales, ówczesny Metropolita Rio de Janeiro, skierował mnie na peryferie miasta, do parafii św. Judy Tadeusza, oddalonej od centrum o jakieś 50 km.

Wspólnota to słowo klucz

Podczas pierwszego spotkania parafialnej rady duszpasterskiej, zacząłem zdawać sobie sprawę z czym mam do czynienia. Była to grupa licząca około 30 osób, z których każda koor-



dynowała pracę osobnego duszpasterstwa, ruchu kościelnego lub grupy parafialnej. Tylko niektóre nazwy poszczególnych grup brzmiały mi znajomo, o większości jednak nigdy wcześniej nie słyszałem. Kręgi Biblijne, Katecheci, Odnowa w Duchu Świętym, Duszpasterstwo Zdrowia, Apostolstwo Modlitwy, Służba Liturgiczna, Duszpasterstwo Rodzin, Stowarzyszenie św. Wincentego a Paulo, Grupa Teatralna, Parafialna Diakonia Muzyczna – to formy działalności duszpasterskiej z jakimi miałem do czynienia w Polsce lub o nich słyszałem. „Jestem koordynatorką nadzwyczajnych szafarzy Komunii św.” – powiedziała sympatyczna starsza pani. „Tak? – odpowiedziałem – „Bardzo mi miło, a ilu jest szafarzy w tej parafii?”. „Jest nas prawie czterdzieścioro...”. Przypomnę, że to był koniec lat dziewięćdziesiątych ubiegłego wieku i w Polsce o nadzwyczajnych szafarzach słyszeliśmy ewentualnie na wykładach w seminarium. „Oczywiście pomagamy na Mszach Świętych, ale także robimy celebracje Słowa Bożego z obrzędem Komunii Świętej w razie, gdyby ksiądz nie było. Ale przede wszystkim zanosimy Pana Jezusa chorem i starszym w każdą niedzielę” – dodała szefowa szafarzy. Potem przyszła kolej na prezentację ekip zajmujących się przygotowaniem i celebracją sakramentu Chrztu Świętego. „Rozmawiamy z rodzicami, pomagamy w wyborze odpowiednich chrzestnych, tłumaczymy przebieg i znaczenie liturgii. No i oczywiście organizujemy samą celebrację. Mamy średnio 30 chrztów w miesiącu” – mówił koordynator Duszpasterstwa Chrztu. I dodał: „To nam sprawia ogromną radość, że możemy być użyteczni we wspólnocie. Prawie wszyscy w ekipie jesteśmy... «spotkaniowcami» (po portugalsku *encontristas*)”. W tym momencie, że tak powiem, straciłem wątek. Okazało się, że w większości grup parafialnych byli zaangażowani uczestnicy „Spotkania Małżeństw z Chrystusem”, czyli kościelnego ruchu duchowości małżeńskiej, który powstał w brazylijskim mieście São Paulo w 1970 roku i stopniowo rozpowszechnił się w całym kraju, a nawet poza jego granicami, między innymi w Portugalii. W skrócie polega to na tym, że raz w roku około 30 małżeństw przeżywa rekolekcje, które trwają od piątkowego wieczoru do niedzie-



**W BIEDNIEJSZYCH DZIELNICACH,
GDZIE LUDZIE NIE MAJĄ DOSTĘPU DO DOMÓW
KULTURY CZY NP. KINA, TO WŁAŚNIE PARAFIA
JEST MIEJSCEM TWÓRCZEGO SPĘDZANIA CZASU
WOLNEGO.**

li, a potem w ciągu roku odbywają się comiesięczne spotkania formacyjne wszystkich uczestników oraz – również raz w miesiącu – spotkania w mniejszych grupach małżeństw w ich domach. Rekolekcje, czyli właściwe „Spotkanie Małżeństw z Chrystusem” jest niezwykle dynamiczne, bardzo radosne, a przy tym cieszy się głębią treści w wygła szanych konferencjach czy świadectwach organizatorów spotkania, którymi są małżonkowie, uczestnicy wcześniejszych spotkań. Moi parafianie szczylicili się 14. z kolei spotkaniem, zrealizowanym niedługo przed moim przybyciem. Jest to o tyle ważne, że możemy sobie z grubsza obliczyć ile osób dzięki takim spotkaniom autentycznie zaangażowało się w pracę duszpasterską w parafii. Jeśli mamy co roku 30 nowych małżeństw przeżywających wspomniane rekolekcje, to po 14 latach mamy (uwzględniając rzadkie odeszcia z ruchu z różnych powodów) – ponad 400 małżeństw, czyli 800 osób aktywnie uczestniczących w dziele ewangelizacji! Podczas samych rekolekcji, a potem także w comiesięcznych spotkaniach formacyjnych, małżonkowie poznają z bliska istniejące w parafii grupy i wybierają dla siebie przynajmniej jedną z nich. Poza Duszpasterstwem Chrzta, Duszpasterstwem Chorych i Stowarzyszeniem św. Wincentego, największym zainteresowaniem cieszy się Duszpasterstwo Rodzin, które w pamiętnym 1997 roku otrzymało wyjątkowy impuls w postaci zrealizowanego w Rio de Janeiro II Światowego Spotkania Rodzin, któremu osobiście przewodniczył św. Jan Paweł II. Owocem przygotowań i przeżycia tego spotkania była m.in. cotygodniowa Msza Święta w intencji rodzin, gromadząca w każdy czwartek wieczorem nieprzebrane tłumy i to przez wiele kolejnych lat, już po spotkaniu z Papieżem. W Rio de Janeiro każda Msza Święta, ale szczególnie taka uroczysta, zasługuje na osobny komentarz. Po pierwsze, nikt się nie spieszy,

nie patrzy na zegarek (skąd my to znamy?), jest bardzo dynamiczna, z bogatą oprawa muzyczną i piękną liturgią. Któryś z polskich księży powiedział, że na Mszy Świętej za każdym razem czuje się jak na wakacyjnych rekolekcjach oazowych: wszystko bardzo na serio i bardzo świadomie, a jednocześnie z mocno odczuwalną radością emanującą ze zgromadzonej wspólnoty. Sama zaś wspólnota (w Brazylii to „słowo-klucz”) nie rozchodzi się do domu zaraz po Eucharystii. Właśnie Duszpasterstwo Rodzin, a w każdą niedzielę także inne grupy parafialne, przygotowują dla wszystkich chętnych poczęstunek w tzw. kantine, którą posiada każda parafia jako nieodzowny element swego istnienia. Taki skromny, ale urozmaicony posiłek po Mszy Św. jest oczywiście okazją do spotkania ludzi, którzy tworzą daną wspólnotę. W biedniejszych dzielnicach, gdzie ludzie nie mają dostępu do domów kultury czy np. kina, to właśnie parafia jest miejscem twórczego spędzania czasu wolnego. Dostyc często odbywają się obiady parafialne, przedstawienia teatralne, a nawet potańcówki. Ludzie chcą być razem i potrafią łączyć podniosłe chwile liturgii ze spontanicznymi i radosnymi spotkaniami realizowanymi przy parafii. Skojarzenie z pierwszymi wspólnotami chrześcijan i ich „agapą” nasuwa się samo.

Kościół, który zмага się z brakiem kapłanów

Próbując jakoś podsumować moje doświadczenie posługi duszpasterskiej w Rio de Janeiro w latach 1997-2014, wracam do zdania zawartego w tytule: „Myśli moje nie są myślami waszymi”. Wyjeżdżając z Polski miałem jasno określony cel: odpowiedzieć na potrzebę Kościoła, który zмага się z brakiem kapłanów, potrzebuje solidnej doktryny i mądrej orientacji duszpasterskiej. Z całym bagażem polskiej tradycji i historii czułem się dobrze przygotowanym nauczycielem

wiary, prawie „ojcem Kościoła” postanym do zagubionych owieczek lub małych (nieodrzatych) dzieci, pomny na słowa św. Pawła Apostoła: „Mleko wam dałem, a nie pokarm stały, boście byli niemocni, zresztą i nadal nie jesteście mocni” (1Kor 3, 2). Powiem krótko: bardzo się myliłem! Fenomen Kościoła tętniącego życiem, jakiego nigdy wcześniej nie doświadczyłem z taką intensywnością, wciągnął mnie, wręcz wessał jak potężny wir na środku oceanu. Odkryłem, że – owszem – oni autentycznie potrzebowali kapłana, ale o wiele bardziej to ja potrzebowałem ich świadectwa żywej wiary. To Brazylijczycy pomogli mi doczytać do końca cytowany przed chwilą trzeci rozdział z 1 Listu do Koryntian: „Niechaj nikt się nie łudzi! Jeśli ktoś spośród was mniema, że jest mądry na tym świecie, niech się stanie głupim, by posiadał mądrość” (1Kor 3, 18).

Ekipa wstawienników

Czasem jedno proste zdanie, ale nie jakiś slogan, lecz wypytywające z serca, a przede wszystkim znajdujące pełne potwierdzenie w codziennym życiu słowa osoby, która je wypowiada, owocowały głębszą refleksją i gruntowniejszym rachunkiem sumienia niż niejedne rekolekcje. Zawsze uśmiechnięta pani Maria José, z charakterystyczną siwą czupryną, podkreślającą jeszcze bardziej ciemnobrązową karnację skóry, powiedziała mi kiedyś tak: „Spotkałam Jezusa! On mi dał pokój, ale od tamtego czasu nie daje mi spokoju”. Maria José, wraz kilkorgiem przyjaciół, w każdej środę spędzała w kościele kilka godzin. To była „ekipa wstawienników” z działającej w parafii grupy modlitewnej Odnowy w Duchu Świętym. Poza cotygodniowym spotkaniem całej grupy i wcześniejszym modlitewnym zebraniem przygotowawczym zespołu koordynacyjnego, to właśnie **wstawiennicy „dyżurowali” w kościele w każdą środę**. Dzień zaczynał się poranną Mszą Świętą i wystawieniem Najświętszego Sakramentu. Po modlitwie ekipy i szybkim śniadaniu, rozpoczynało się „przyjmowanie stron”. Ponieważ ekipa prosiła mnie, bym czuwał w gotowości w razie potrzeby spowiedzi lub namaszczenia chorych, a także – jak sami mówili – wzmocnienia autorytetem kapłańskim ich modlitwy. W każdą środę od 7:30 do około 15:00 byłem w kościele. Przychodziło sporo ludzi prosząc o modlitwę, a ekipa dzieliła się na 2-osobowe zespoły, które modliły się nad każdą z osób osobno. I znowu ten charakterystyczny brak pośpiechu, a raczej

wyraz poważnego podejścia do każdego problemu: zaczynało się od rozmowy, zaraz potem dłuższa modlitwa o uzdrowienie wewnętrzne, dzielenie się Słowem Bożym. Czasem skierowanie do Spowiedzi – nieraz potężnej z sakramentem namaszczenia chorych, a bywało też i skierowanie do egzorcysty, który przyjmował w katedrze lub w archidiecezjalnym sanktuarium wieczystej adoracji (obie świątynie w centrum miasta, oddalonym około 50 km.). Parafia w takich przypadkach gwarantowała transport i kilkusobową ekipę wsparcia, z księdzem, to znaczy mną włącznie. Postuga wstawiennicza nie kończyła się na tym. Nierzadko osoby przychodzące z prośbą o modlitwę prosiły również o wizytę modlitewną w ich domu, co odbywało się pierwszy raz w dużej grupie, a potem członkowie ekipy wracali tam regularnie w 2, 3-osobowym zespole. Szczególny charyzmat do wyszukiwania takich „domów w potrzebie” miała właśnie pani Maria José, która mówiła, że Pan Jezus nie daje jej spokoju. Warto dodać w tym miejscu, że Rio de Janeiro i ogólnie Brazylia, to mieszanka kultur i... kultów.

Zagrożenia

Obok wspólnot katolickich istnieją mocne – nieraz nawet agresywne – sekty neopentakostalne, a także spora różnorodność odrębnych wersji spirytyzmu, poza tymi wspólnotami tradycyjnych Kościołów protestanckich. Bywa, że podział na tle religijnym przebiega przez sam środek rodziny i w związku z tym **nie brakuje ludzi zagubionych duchowo** – stąd konieczność takiej gruntownej postugi duszpasterskiej jaką owocnie podejmuje brazylijska Odnowa w Duchu Świętym, i która jest dopełnieniem tzw. „statej misji ludowej” realizowanej w Brazylii od lat. Tu z kolei szczególnie angażują się uczestnicy licznych parafialnych kręgów biblijnych, czy też wspomnianego wcześniej ruchu duchowości małżeńskiej „Spotkanie Małżeństw z Chrystusem”, a także innych grup parafialnych. Od czasów Konferencji Episkopatów Ameryki Łacińskiej i Karaibów (CELAM), zrealizowanej w 2007 roku w brazylijskim sanktuarium maryjnym w Aparesidzie pod przewodnictwem Papieża Benedykta XVI, przy znaczącej współpracy głównego redaktora dokumentu końcowego w osobie kardynała Jorge Bergoglio, obecnego Papieża Franciszka, istniejąca od lat „statej misja ludowa” zyskała charakter i nazwę „Misji Kontynentalnej”. Najkrócej mówiąc, praca dzieli się na dwa etapy: czas formacji misjonarzy w parafii oraz ewangelizacyjne odwiedziny wszystkich mieszkańców danej dzielnicy – „od drzwi do drzwi”. Ludzie w różnym wieku z niezwykle entuzjazmem, z prostotą i odwagą, podejmują trud misyjny.

To tylko maleńka cząstka niezwykle bogatej rzeczywistości Kościoła W Brazylii, a dokładniej w Rio de Janeiro. **Dziękuję Panu Bogu za to doświadczenie żywego Kościoła. Doświadczenie, jakiego nigdy wcześniej ani nigdy później nie miałem.**



Barbara Dominika Szkatuła

PERU

**DOMI, TY
JESTEŚ
NASZA**

Misje to nie tylko sprawy sakramentów, katechezy, nauczania, ale bardzo ważna jest obrona dżungli. Rolą Kościoła, szczególnie w takich miejscach, jest pomoc w obronie praw człowieka, tożsamości, ochrony środowiska - do życia w pełni.

Misjonarz w Amazonii kojarzy się z podróżowaniem. I tak jest. Ja mam do obsługi 36 wiosek, jestem sama w Angoteros, blisko granicy z Ekwadorem, wśród czystych Indian Keczua.

Ludzie borykają się z olbrzymim problemem najazdu na te tereny koncernów naftowych. Dżungla jest bogata, a rząd nie interesuje się Indianami Keczua, mówiąc: "tam nikogo nie ma". Rzeczywiście, ludzi jest mało, ale są. Mieszkają, mają dzieci, chcą je wykształcić. Rząd ich lekceważy, więc "rozdaje" pozwolenia na wjazd na te tereny koncernom naftowym, drwalom.

Wody słone, po produkcji ropy naftowej, wrzucane są do rzeki, to jest najprostszy sposób. Rzekę trzeba oczyszczać, ale nikt tego nie praktykuje. Koncerny naftowe nie są kontrolowane, nie egzekwuje się koniecznych standardów, a rządy ekwadorski i peruwiański - milczą. Do wody dostają się metale ciężkie -



ołów, kadm i rtęć. Te metale zjadają ryby, a ludzie z Amazonii żyją przede wszystkim z potworu ryb. Mamy więc przekroczoną dozwoloną ilość tych metali. Szczególnie poszkodowane tą sytuacją są dzieci. To trwa już bardzo, bardzo długo.

Na naszych terenach działają koncerny wycinające drzewa; wydobywające z głębin rzeki złoto. Kościół sprzeciwia się tej sytuacji, wspomaga organizacje indiańskie, federację, bo tylko organizacje mogą być usłyszane. W naszym wikariacie funkcjonuje Biuro Praw Człowieka, mamy zatrudnionego prawnika. Nagłaśniamy sytuację na arenie międzynarodowej, wysyłamy listy do ministrów środowiska, w Ekwadorze, jak i w Peru, listy do członków rządu. Mamy kontakt z kapłanami z wikariatu Advarikos w Ekwadorze. Łączy nas jedna i ta sama rzeka.

Dżungla amazońska jest życiodajną siłą dla całego świata. Szczególnie wybrzmiało to po Synodzie amazońskim. Obrona klimatu jest sprawą całej planety, z deszczowych lasów równikowych żyje cały świat, z drzew mamy tlen. To jest naprawdę bardzo ważny temat.

Peru należy do czołówki krajów, w których uprawia się kokę. To wiąże się z nielegalnymi laboratoriami ukrytymi w głębi dżungli, których nikt nie kontroluje, a jeśli się tak zdarzy, to i tak najbardziej poszkodowani są ci najbiedniejsi, ci, którzy są zatrudniani do przenoszenia tej najcięższej, najbrudniejszej, najtrudniejszej, najniebezpieczniejszej pracy - przenoszenia narkotyków.

Dżungla jest podzielona na jurysdykcje kościelne, na 6 wielkich wikariatów i jeden z największych Madre de Agios, to - „Matka Boża”. Ten wikariat jest niesamowicie zniszczony przez nadużycia, jest tam ponad 2000 urzędów do wydobywania złota. Wydobywa się ropę, jest przemyt narkotyków, odbywa się handel ludźmi. W tym największym wikariacie, bliżej Limy, jest najwięcej nadużyć, dlatego że Lima jest dystrybutorem wyżej wymienionych zdobyczy, a my jesteśmy tak zwaną „dżunglą wysoką”.

W Brazylii szczególnie w Rio i Sao Paulo, w Peru - w Limie, handel ludźmi to ogromny problem. Nasze Indianki, młode dziewczyny, są zachęcane, by pojechać do Limy. Dostają podstępne propozycje. Zachęca się je, aby udały się do Limy, pracowały w jakiejś rodzinie jako pomoc domowa, a w zamian za to będą mogły się uczyć - bo poziom nauczania w dżungli rzeczywiście jest na bardzo niskim poziomie. Dziewczynki nawet jeśli nie chcą jechać, to sami rodzice, nieświadomi, ufają tym zapraszającym. To jakby oferta wyjazdu za granicę, może czegoś się tam dorobisz? Problem w tym, że te małe dziewczynki Indianki nawet jak chcą wrócić, to - nie mają jak... Podreślam Kościół to nie tylko sprawa umacniania wiary, ale i obrona życia, to jest głęboko ewangeliczne. To jest pierwsze przestanie Ewangelii i nakaz obrony życia w każdej jego formie.

Najbardziej narażeni są tubylcy, dopuszcza się karczowanie całych połaci lasów, aby zamienić je na pastwiska dla krów



**KOŚCIÓŁ
TO NIE TYLKO SPRAWA
UMACNIANIA WIARY,
ALE I OBRONA ŻYCIA,
TO JEST GŁĘBOKO
EWANGELICZNE.**

albo pod uprawy soi. Wsiedla się ludzi, a to są ludzie lasu, czyli ludzie, którzy tam żyją. Bez lasu są nikim, nie mogą żyć w miastach, bo tam po prostu giną. **To las jest ich środowiskiem, rzeka, spokój, przestrzeń określają też ich duchowość, relacje z Bogiem.** Las dostarcza im 95% wszystkiego czego potrzebują, a oprócz tego tworzy ich duchowość. Jeden z prezydentów Peru nazwał mieszkańców dżungli drugim gatunkiem ludzi. To jest niewyobrażalne, że mogliśmy usłyszeć takie słowa w XXI wieku. Ale tak było. Jestem tego świadkiem.

Kolejnym problemem jest prostytutka i pijaństwo. Kiedy pojawiają się pracownicy, z Limy, to są to przede wszystkim mężczyźni. I co się dzieje? Szerzy się prostytutka. Panowie przyjeżdżają, pracują, ale potem muszą iść na piwo, potem są zabawy, potem są różne kontakty. Niszczą społeczność, tubylców, a potem, kiedy już ich wykorzystają - znikają.

Ewangelia nakazuje nam bronić życia w każdej jego formie. Sam Chrystus mówi w Ewangelii wg św. Mateusza: „Idźcie na cały świat i głoscie Ewangelię całemu stworzeniu”. To tak, jakbyś, nagle przyszedł i objął drzewo, i powiedział mu, że będzie żyło, że nie pozwolimy go wyciąć, bo ma 80 lat i daje dużo dobra! Jak Indianin idzie do dżungli, to nie wyrwa tego co nie trzeba, nie ścina drzew dla zysku, jak koncerty. On je prosi o pozwolenie. To jest niesamowite, on to robi w duchu: prosi drzewa o pozwolenie. Ta harmonia jest jedyna w swoim rodzaju. Sami mówimy, że chcemy odpocząć na tonie natury. Harmonia między ludźmi i solidarność z naturą są dla mnie jakimś wyrazem świętości. Kiedyś myślałam, że świętość przypisuje się tylko człowiekowi, osobie. A przecież Bóg nas stworzył, byśmy żyli w harmonii, w jakiejś równowadze, prawda? Czerpiemy z przyrody, ale też się o nią troszczymy. Chcemy być w tym racjonalni, aby wystarczyło wszystkim. I to wiedzą Indianie.

Dla ludzi w Amazonii bardzo ważna jest przyjaźń – mieć amigos. Lubią się pozdrawiać. A po co jest Chrzest? Żeby dziecko było dzieckiem Boga, żeby należało do Kościoła, oni to wiedzą, ale – to nie jest najważniejsze. Najważniejsze jest, żeby mieć ojca chrzestnego, relacja z ojcem chrzestnym i matką chrzestną (która może być po prostu sąsiadką) zmienia się w relację ważniejszą niż więzy krwi. Czyli – po polsku *kum* i *kuma* – są ważniejsi od tego momentu niż moja własna rodzina; to następny krąg przyjaźni.

Indianie lubią się spotykać przy *masado*, przy tym swoim napoju sakralnym, który jest takim medium porozumienia się, relacji. Mogą sobie siedzieć i opowiadać przy blasku księżyca, cieszą się, że są obok. Nie musisz się zapowiadać, po prostu jesteś, siadasz, dają co mają, dzielą się tym. A mają nieraz bardzo mało. To jest bardzo ewangeliczne, bo dają jakby wszystko, co mają. To jest piękne. Oni nie lubią *misiekos*, czyli ludzi chciwych, nie znoszą ich, wtedy jesteś poza kręgiem, poza wioską. Chodzi o tych, co się nie dzielą, nie dają, nie są otwarci. Jeśli ktoś jest zaproszony, a nie chce pójść, to – takiego drugi raz już nie zapraszają.

Są tacy, którzy nigdy nie mają czasu – siedzą tylko w domu. Niektórzy misjonarze nie przyjmują nikogo u siebie i to jest okropne. Otwierają drzwi i mówią: „Poczekaj”. Ja pójde sobie tam coś wziąć, ale zostawiam cię na zewnątrz. Indianie nigdy tak nas nie przyjmują. A my? Skąd to wzięliśmy? To jest okropne i tego misjonarz musi się pozbyć jak najszybciej. Przyjął zaproszenie, nauczył się jeść i pić to co oni – bo to nie trucizna, nawet jak ci nie smakuje. Więc dlatego niejednokrotnie – no nie wiem, czy to jest chwalenie się, ale myślę, że to jest zdrowe i uważam to za najpiękniejszy prezent od ludzi w dżungli, kiedy ktoś mi powiedział: „**Domi, ty jesteś nasza**”. **To najpiękniejszy prezent jaki mogę sobie wyobrazić na te 40 lat.**

**DLA LUDZI
W AMAZONII
BARDZO WAŻNA JEST
PRZYJAŹŃ
– MIEĆ AMIGOS.**

Świeccy będą stawać się pierwszoplanowymi aktorami Kościoła. Ja jeszcze się trzymam, ale te 40 lat mówią mi o tym, żeby przygotowywać następców, że kiedy przyjdzie czas, trzeba będzie się usunąć. Wszystko zależy od tego ile Pan Bóg da mi czasu i o ile mnie poprosi. Zależy mi, by tubylcy myśleli o sobie: jesteśmy piękni, mamy nasze wartości, wierzymy w Boga i chcemy tutaj żyć.



**„IDŹCIE NA CAŁY ŚWIAT
I GŁOŚCIE EWANGELIĘ
CAŁEMU STWORZENIU”.**



26

Dorota Kozieł

PERU

MAM SYNA!

**MYŚLAŁAM,
ŻE TO JA BĘDĘ ICH UCZYĆ,
ALE TAK NAPRAWDĘ
TO JA UCZYŁAM SIĘ OD NICH.**

Narzędzie w ręku Boga

Zostałam posłana do pracy misyjnej do Wikariatu Apostolskiego św. Józefa nad Amazonką, w Peru, jako misjonarka. Najwięcej satysfakcji dawała mi praca z dziećmi, przygotowanie ich do sakramentów, organizowanie wspólnych wypraw ewangelizacyjnych do pobliskich wiosek, ponieważ często to dzieci ewangelizowały inne dzieci poprzez katechezę, śpiew, gry i zabawy. Do naszej parafii należały 54 wioski, do których można było dopłynąć rzeką Napo lub Mazan. Odwiedziny w wioskach trwały około tygodnia. W ich trakcie odwiedzaliśmy kilka kolejnych wiosek, organizując spotkania z mieszkańcami, nabożeństwa, katechazy i udzielając sakramentu chrztu. Niesamowitym przeżyciem dla mnie było udzielenie sakramentu Chrztu Świętego. Byłam szczęśliwa, że Bóg używał mnie jako narzędzia, aby powiększyć rodzinę dzieci Bożych. Równie wielkim przeżyciem był moment, kiedy udzielałam Komunii Świętej, ponieważ w naszej parafii nie było na stałe księdza, dojeżdżał tylko na niedzielne Msze Święte. Nie da się opisać emocji jakie towarzyszyły mi, gdy mogłam piastować Jezusa w moich dłoniach i dzielić się Nim z innymi. Wówczas przepętniało mnie uczucie wdzięczności Bogu, że mnie, słabą i grzeszną istotę, powołał do tej pięknej służby.

Taniec wypływa z głębi natury Indian

Mieszkańcy Amazonii nauczyli mnie nowej formy modlitwy. Kiedy adorują Jezusa, czynią to nie tylko słowem, ale całym sobą. Na początku mojej misyjnej drogi nie byłam przygotowana na to, żeby np. tańczyć przed Panem. Mimo że wiele mnie to kosztowało, zro-

zumiałam, że ta forma adoracji podoba się Bogu, bo jest spontaniczna, szczerą i wypływa z głębi natury Indian, którzy modlą się w ten sposób, czynią to niejednokrotnie przez całą noc. Były to doświadczenia, których wcześniej nie znałam.

Wiara, miłość, życie

Wyjeżdżając z Polski myślałam, że to ja będę ich uczyć, ale tak naprawdę to ja uczyłam się od nich, od rdzennych mieszkańców tych terenów. Uczyłam się wiary, miłości, życia, kultury i tradycji indiańskich. Coroczny, trzytygodniowy pobyt w Centrum Katechetycznym, był czasem intensywnej pracy ewangelizacyjnej, ale również „ładowaniem baterii” na cały rok. To tutaj zrozumiałam, że dopóki nie poznam kultury rodzimych mieszkańców Amazonii oraz bogactwa ich tradycji, dopóty nie mogę ich w pełni zrozumieć. Stusnie twierdzili doświadczeni misjonarze, że na początku trzeba obserwować i uczyć się samemu, a dopiero potem można ewangelizować.

W Mazan prowadziłam również grupę kobiet, z którymi spotykałam się systematycznie, aby ubogacać się doświadczeniem życia, pomagać w trudnych chwilach i odwiedzać chorych. Nie były to tylko spotkania oparte na pogaduchach. W czasie spotkań wykonywałyśmy różne przedmioty, takie jak: korale, bransoletki, ozdoby z naturalnych nasion, buty robione na szydełku, wycieraczkę z plastikowych reklamówek i inne. Następnie, starałyśmy się sprzedać te produkty, aby mieć środki na pomoc innym.

**"Proboszcz w spódnicy"**

Po sześciu latach pobytu w Mazan zostałam wysłana przez Księdza Biskupa wraz z dwoma misjonarkami świeckimi na granicę Peru, Kolumbii i Brazylii, aby tam utworzyć nową misję. Było to dla mnie nie lada wyzwanie, ponieważ wśród mieszkańców tych terenów wielu parało się uprawą i przemytem kokainy. Na nasze szczęście było też sporo osób wierzących i uformowanych religijnie, które praktykowały swoją wiarę po drugiej stronie Amazonki, właśnie w Kolumbii i Brazylii. Początki w tej nowej misji były emocjonujące. Mieszkałyśmy w wynajętym pokoiku i poznawałyśmy tę także ciekawą rzeczywistość, nie tylko religijną, ale przede wszystkim kulturową: Peruwiańczycy, Kolumbijczycy, Brazylijczycy, Indianie, Metysi i gringos (białi). Do obsługi miałyśmy: dwie główne misje - Islandię, Wyspę św. Róży oraz kilkadziesiąt wiosek rozrzuconych w dżungli amazońskiej nad rzeką Amazonką i Javari (granica Peru i Brazylii). Największym utrudnieniem był brak kaptana, więc tym większą odpowiedzialność spoczywała na moich barkach, ponieważ to ja odpowiadałam za tę misję; byłam niejako „proboszczem w spódnicy”. Dzięki ofiarności i wsparciu materialnemu wielu ludzi z Polski, mogłyśmy odwiedzać, chociaż raz w roku, wioski należące do naszej parafii. Podróż przeważnie trwała od dwóch do trzech tygodni. Najpierw przez dwa dni płynęliśmy w górę rzeki do miejsca docelowego, aby potem, spływając rzeką w dół, odwiedzać poszczególne wioski. W każdej wiosce staraliśmy się zostać choć jeden dzień, aby spotkać się z ludźmi, celebrować nabożeństwa, czasem udzielać sakramentu Chrztu, katechizować lub rozwiązywać problemy społeczne.

W czasie wypraw do wiosek martwiła mnie bardzo sytuacja młodych ludzi, którzy poza 6-letnią szkołą podstawową nie mieli większych szans na kontynuację nauki. Dlatego, będąc na wakacjach w Polsce, postanowiłam poszukać rodzin, które zaopiekowałyby się duchowo i materialnie poszczególnymi uczniami. Dzięki moim staraniom, udało się objąć opieką i wsparciem 10 osób i posłać do 5-letniej szkoły średniej z internatem w Islandii, gdzie mieszkałam, więc mogłam sprawować nad nimi opiekę. Co roku udawało nam się znaleźć wsparcie dla jednej lub dwóch osób. W tej adopcji duchowej wspaniałe było to, że pomagaliśmy młodym ludziom, ale jeszcze lepsze było to, że ci, którzy pomagali – wzrastali duchowo.

Zdarzały się kryzysy

Praca misyjna to nie tylko piękne chwile, zdarzają się również trudności, a nawet kryzysy i nie jestem w tej kwestii wyjątkiem. Po 7 latach pobytu na misjach nastąpił dla mnie trudny okres. Brak widocznych efektów mojej służby spowodował załamanie i poczu-

cie bezsensu moich działań. Na szczęście Pan Bóg nie zostawił mnie samej i w porę otrzymałam Jego pomoc. Mianowicie powierzył mi opiekę nad małym chłopczykiem, który został porzucony przez mamę. Został ze mną na chwilę, do czasu wyjaśnienia jego sytuacji. To wystarczyło, aby mnie umocnić duchowo. Wraz z dzieckiem Pan Bóg ofiarował mi nowe siły, bym mogła dźwignąć się z kryzysu niemocy. Obowiązki w parafii i opieka nad maluszkim pochłonęły mnie całkowicie. Wówczas myślałam, że sprawuję opiekę nad dzieckiem przez pewien czas, do momentu odnalezienia jego bliskich. Okazało się jednak, że Pan miał wobec mnie inne plany. Dziecko zostało ze mną, ponieważ nikt się po nie nie zgłosił i nikt go nie szukał. Zaadoptowałam chłopca i jest moim synem. Jestem przekonana, że taka była wola Boża – otrzymałam **powołanie w powołaniu**. Jeszcze przez 5 lat pracowałam na misji, a mój adopcyjny syn towarzyszył mi w tej pracy, a przede wszystkim w moim życiu. Nie zapomniałam chwili, kiedy otrzymałam z Polski wiadomość o śmierci mojego taty. Byłam bardzo smutna, ale nie byłam sama, syn pocieszał mnie mówiąc: „Nie smuć się, przecież masz mnie, ja się tobą zaopiekuję”.

Po 13 latach służby misjom postanowiłam wrócić do kraju, żeby zająć się wychowaniem mojego adopcyjnego syna. Powrót do Polski był podyktowany tym, że było mi trudno pogodzić pracę misyjną i wychowanie dziecka. Chciałam mu zapewnić jakieś miejsce na ziemi, lepszą przyszłość. Ze smutkiem żegnałam się z ludźmi z misji, ale wiedziałam, że w Polsce do której wracałam, czeka mnie nowa misja. Jestem wdzięczna Bogu za to, że mnie powołał i pozwolił przeżyć wspaniałe doświadczenie misyjne. Przez cały ten czas czułam Jego bliskość i opiekę. Jest takie powiedzenie wśród misjonarzy: „**Z misji można wyjechać, ale misji z nas nie można wyrwać**”. W dalszym ciągu mam kontakt z misjonarzami i staram się organizować wsparcie dla nich, „zapalać” dzieci, które katechizuję misyjnym zapałem. Zachęcam wszystkich do przeżycia takiej wspaniałej przygody z Bogiem.



27 Anna Katarzyna Jawor

PERU

NASZ DOM "TRZESZCZAŁ W SZWACH"!



Zaproszenie na misję przyszło do mnie z zaskoczenia, właściwie "złapało mnie" na pustyni. Dostłownie! Bo to właśnie tam stawiałam Panu Bogu pytania co do mojej dalszej drogi i powołania... To właśnie tam otrzymałam wiadomość - w jakimś przypadkowym czasopiśmie - że gdzieś w wysokich Andach, w prowadzonym przez siostry zakonne ośrodku dla sierot i dzieci niepełnosprawnych, peruwiańskie dzieci czekają na opiekunów. Zgodziłam się na wolontariat misyjny w Cuzco w Peru, w domu dziecka prowadzonym przez Ruch Śług Ubogich Trzeciego Świata.

Tam, gdzie czas się zatrzymał

Wyjechałam - bez znajomości języka, bez pieniędzy, z plecakiem na plecach i Słowem Bożym w sercu. Języka hiszpańskiego (zwanego w Peru castellano) uczyły mnie dzieci - najcierpliwszymi nauczycielami! Podczas mojej pracy, przechodziłam po kolei wszystkie "obszary" zajęć w domu z dziećmi, oraz wyjazdy misyjne do odległych położonych bardzo wysoko w górach małych wiosek, gdzie mieszkańcy znali jedynie język Quechua i gdzie czas zdawało się, że się zatrzymał. Praca była fascynująca i bardzo różnicowana!

Miesiące mijały, a w moim sercu były "dzieci ulicy". Przed planowanym powrotem do Europy zatrzymałam się więc kilka tygodni w Limie, w Naña, w domu rekolekcyjnym wspólnoty Foyer de Charite. To właśnie tam, w przededniu beatyfikacji ojca św. Jana Pawła II (czyżby Ojciec Św. "maczał w tym palce"?), spotkałam kapłana, dzięki któremu "trafiłam" do slumsów.

Przyjechałam do diecezji Lurin, w samo serce misji wśród ubogich! Na południu Limy, w jednej z najbied-

niejszych części dzielnicy Villa el Salvador, była organizowana ewangelizacja. Dokładnie tam, gdzie w 1985 roku przemawiał do tłumów Jan Paweł II.

Nigdy bez Krzyża!

Spotkanie ze slumsami, ewangelizacja, pukanie każdego dnia w dziesiątki drzwi tych ubogich chat, prostota ludzi, ich ubóstwo ale i serdeczność, rozmowy, bardzo głęboko poruszały moje serce. Ta niezapomniana ewangelizacja trwała prawie miesiąc. Pamiętam jak któregoś dnia, późnym wieczorem wracaliśmy ze slamsów do Lurin większą grupą, gdy idący z nami ksiądz zwrócił się do mnie: "Katy, pamiętaj, w tej dzielnicy musisz bardzo uważać. Najlepiej nie przychodź tu nigdy sama, i nigdy bez Krzyża. Tu Twoją mocą i obroną będzie Krzyż, bo każdy widząc Krzyż będzie wiedział że jesteś misjonarką". "Tu Krzyż mnie ochroni!" - zapamiętałam. Choć wtedy jeszcze nie wiedziałam, że właśnie ta i sąsiednia dzielnice będą moim "polem misyjnym" przez kolejne... 10 lat! Często samotnie, ale nigdy bez Krzyża!

Z nowym, poruszającym doświadczeniem i tysiącem pytań (ale i pomysłów!) opuszczałam Peru, by już po niespełna czterech miesiącach powrócić jako misjonarka świecka. Miałam plan: jeszcze jeden rok na misjach. I nie wiem, dostłownie, kiedy - "zleciała" mi w Peru dekada.

Nieopisane morze potrzeb

Wyjechałam na misję do Peru w grudniu 2011 roku i zamieszkałam początkowo w Domu Dziecka im. Jana Pawła II w Lurin, na południu stolicy Limy - to miejsce

dawało mi poczucie bezpieczeństwa i dach nad głową. Stąd stopniowo poznawałam Diecezję Lurin: około 40 parafii wraz z kaplicami, kierowanych przez ok. 45 pracujących wówczas w diecezji kapłanów; każda parafia liczyła ok. 25-80 tysięcy wiernych. To rzeczywistość peruwiańskiej stolicy: jeden kapłan na taką liczbę wiernych, stąd ogromna potrzeba świeckich wspierających go w ewangelizacji i pomocy najuboższemu. A ubogich jest wiele. **Było to nieopisane morze potrzeb!** Rozpoczęłam swoją pracę misyjną od trzech rzeczy: ewangelizacji w slumsach, rekolekcji diecezjalnych i wizyt w więzieniach.

Początki nie były łatwe! Rozpoczęłam współpracę z młodym misjonarzem z Hiszpanii, padre Francisco Jose: codzienna długa modlitwa za tych, których Bóg zechce postawić na mej drodze tego dnia, droga od drzwi do drzwi, pukając, rozmawiając z mieszkańcami, zapraszając na Eucharystię, ale też wsłuchując się w to czym żyją, z czym się zmagają. Iluż rodzinom towarzyszyłam do szpitala, gdzie nie byli „bez pomocy” przyjmowani tylko dlatego, że byli ubodzy, bo nie mieli dość pieniędzy, by opłacić wizytę czy wykupić leki! Ile dzieci „znalezionych”, spotkanych podczas tej ewangelizacji w domach udało się „posłać do szkoły” tylko dlatego, że znalazły się środki na wyprawkę szkolną, na zeszyty, mundurek i buty!

Równolegle odbywały się rekolekcje diecezjalne, ściągając na kolejne weekendy uczestników z całej potężnej, prawie czteromilionowej diecezji. Było to wielkie dzieło Boże, w które zostałam "wciągnięta", szybko stając się współorganizatorką i koordynatorką na szczeblu diecezjalnym. Brakowało nam jednak Domu Rekolekcyjnego. W 2014 dotychczasowe Seminarium

Duchowne przeniosło się do nowo wybudowanego budynku, a stary gmach przemianowano w Dom Rekolekcyjny. Na rekolekcjach już co weekend, mogliśmy przyjmować każdego, bez względu na możliwości materialne, zdarzało się że nawet 100 - 110 osób. **Dom dostłownie "trzeszczał w szwach"!**

Największy na świecie Marsz dla Życia

Rozpoczęliśmy wydawanie książek i materiałów ewangelizacyjnych, udało się nam wydać w sumie ponad 20 tytułów. W Domu zaczęły powstawać liczne dzieła: spotkania i dni skupienia dla młodzieży, powstała wspólnota pro-life Sentinelas, mająca na swym koncie liczne inicjatywy ogólnokrajowe ale też pomoc w organizacji corocznego potężnego (kto wie czy nie największego na świecie?!) marszu dla życia w Limie. Organizowane były nocne adoracje, spotkania wspólnot, dni skupienia dla kobiet ulicy, dla chorych na gruźlicę, itd.

Gdy to tylko było możliwe - wyruszałam do slumsów, nie tylko, by odwiedzić znajome rodziny, ale także z gitarą, by w odległych kaplicach muzyką upiększyć Eucharystię. Postuga ta trwała do 2019 roku. Wyczerpana dżdżystym, przez większość czasu bezstuncyjnym klimatem Limy (słońce w Limie świeci tylko przez trzy letnie miesiące styczeń-marzec!). Niestety, z powodów zdrowotnych musiałam wrócić do Polski i poddać się leczeniu. Miało to miejsce w lutym 2020 roku, niemal na kilka dni przed wybuchem pandemii. Wtedy to granice Peru zostały zamknięte na prawie półtora roku, a powrót na misję był niemożliwy.

Wspieramy rodziny w największej potrzebie

Pan Bóg po raz kolejny wyznaczył moją drogę. Nie mogłam wrócić do Peru. Trwający w stolicy ponad 15-sto miesięczny lockdown spowodował, że w społeczeństwie które żyło dotąd w większości z dochodów nieformalnych, pojawił się głód. W Polsce, dzięki znajomym i powiększającej się grupie życzliwych osób, udało się przeprowadzić wiele zbiórek i akcji pomocowych. Kupowana żywność trafiała do slumsów, do ubogich. Ta akcja pomocowa trwa do dziś, nadal wspieramy w Peru rodziny w największej potrzebie.

Bóg uzdalnia postugi w miejscach, w których jesteście potrzebni. Robi to na wszelkie sposoby, dając potrzebne taski - czasem również taskę cierpienia uniemożliwiająca fizyczny powrót do misyjnego kraju. Ale wtedy pokazuje inne, nowe drogi i miejsca realizacji powołania, zdobywania nowych przyjaciół dla misji i służenia im stąd, gdzie nas stawia. Dziękuję Bogu za czas misji spędzony w Peru, za powołanie misyjne, na które dzięki Jego łasce kiedyś odpowiedziałam.



AZJA

28

Ks. Andrzej Błażkiewicz

CHINY

JEGO CIĄGLE NIE MA, TO SYN KOLEJARZA

Od dzieciństwa miałem pragnienie posługi w kapłaństwie. Z LO w Suchej Beskidzkiej trafiłem do seminarium w roku 1975. Poszło nas pięciu i nie wiem czy nie dlatego zaraz zmieniono dyrektora. Na pierwszy rocznik przyjętych zostało nas ponad 60 i niedługo bilety do wojska otrzymała prawie połowa. Wojsko: wydaje mi się, że więcej mieliśmy do czynienia z bronią na PO, w średniej szkole, niż tam w Brzegu.

Święcenia miałem w święto Cyryla i Metodego; stowa na obrazku prymicyjnym: „Być dobrym jak chleb”.

Pierwsza parafia. Tylko autobusem można się było stamtąd wydostać. Szybko wyleczyłem się z choroby lokomocyjnej, bo pielgrzymki były niesamowicie częste, a parafia muzyczna i rozśpiewana. Ja, syn kolejarzy. Jak mawiał zapytany o mnie Ksiądz Prałat: „Jego ciągle nie ma, to syn kolejarza...”.

W kapłaństwie przyszło mi posługiwać w miejscowościach turystyczno-wypoczynkowych: Międzybrodzie Bialskie czy Niedzica, albo wielkomiejskich: Kraków-Nowy Prokocim, Prądnik Czerwony, a potem Rio de Janeiro, Salvador, Swindon, Ramsgate, Canterbury, Makao.

Misyjność. Obecnie, mija już 50 lat jak w Suchej Beskidzkiej, na sekretnym spotkaniu na plebanii, miałem okazję w małym gronie posłuchać świadectwa ks. Władysława Bukowińskiego, który przed wojną był wikariuszem w naszej parafii, a wtedy posługiwał w Karagandzie. Widzę, że to o czym mówił wzywało mnie wiele razy, czego efektem było ciągle zgłaszanie się do kard. Macharskiego, by wyrazić wolę podjęcia posługi misyjnej w tych miejscach, o których opowiadał ks. Władysław – dzisiaj błogostawiony.

Lata leciały, a tamten kierunek ciągle był zamknięty, więc zdecydowano mnie dołączyć do rosnącej grupy

fidei donum w Rio de Janeiro, w 1988 roku. Po rocznej obserwacji i spotkaniach, wyjechałem w sierpniu 1989 roku do Brazylii. Nigdy wcześniej nie myślałem o tym kraju. Tutaj, na miejscu, było przygotowanie językowe z wchodzeniem w nową kulturę – na wielkiej parafii Naszej Pani z Copacabany. Tutaj poznałem Serra, klub, z którym później na jednej z parafii utworzono grupę rolników wspierających seminarium. Tutaj też miałem pierwszy kontakt z Neokatechumenatem i Comunione e Liberazione, bardzo życzliwą wspólnotą chrześcijan.

Rio de Janeiro. 10 marca 1990 roku zostały mi powierzone dwie parafie: Św. Rodziny – Mendanha, która jest większa, bardziej miejska, i Pani Pokoju – Serrinha, mniejsza i bardziej rolnicza. Obie znajdują się na peryferiach cudownego miasta Rio de Janeiro, wielomilionowej metropolii św. Sebastiana. Do kurii było 65 km. To było wspaniałe doświadczenie wielonarodowej wspólnoty duchowieństwa i tak żywego, twórczego zaangażowania świeckich w różnym wieku, różnego wykształcenia.

Duszpasterstwo wielkomiejskie, budująca współpraca księży, wielka ofiarność ludzi i mimo tylu trudności tzw. „Trzeciego Świata” – niesamowita pogoda ducha były wręcz poruszające. Byłem w Rio de Janeiro do czerwca 1995 roku.

We wrześniu 1995 roku zostałem posłany na północny wschód Brazylii, do Bahia, prymasowskiej diecezji, z której (Porto Seguro) zaczęła się ewangelizacja Brazylii. Już na wstępie otrzymałem ostrzeżenie doświadczonych, że jak wytrzymam sześć lat, to będzie dobrze. Cóż, trudno uwierzyć, ale było tak, jakbym się znalazł w innym kraju. Szybko można się było zorientować, że to trochę jak Afryka, bo to przecież głównie na tej części wybrzeża wylądowali niewolnicy z Czarnej Łądy.



Parafia na jaką poszedłem do pomocy starszemu, już po 80-ce ks. Józefowi Fierens z Belgii, jest pod wezwaniem Pana Pokoju. Bardzo ciekawa historia życia i talentów tego syna cieśli. Wielki znak misyjności i arcyzmu oraz entuzjazmu w głoszeniu prawdy o zmartwychwstaniu.

Tyle różnorodnych doświadczeń w ciągu 16 lat.

Wreszcie – znów, choć nigdy o tym kraju nie myślałem – przyszedł znak ze wschodu.

Był styczeń 2011 roku, gdy usłyszałem wołanie: potrzebują księży do Chin. Mimo kontaktów, nie było żadnej odpowiedzi. Będąc w Polsce rozmawiałem o tym z kard. Stanisławem Dziwiszem, wiele się działo w krótkim czasie. W marcu umarł ojciec, dalej była beatyfikacja Jana Pawła II i w końcu, na początku sierpnia 2011 roku, byłem z powrotem w Polsce. Z początkiem września, już po rozmowie z nuncjuszem, skierowano mnie nie na Makao, ale do Hong Kongu. Cóż, angielski i Anglia, przed którymi się uparcie broniełem – teraz okazały się kolejnym krokiem.

Anglia 1. Byłem w diecezji Clifton, w mieście Swindon, we wspólnocie polonijnej. Zaczynałem naukę angielskiego i wkrótce przyszła wiza do pracy w Hong Kongu.

Hong Kong. W połowie czerwca 2012 roku byłem już – z bardzo prymitywnym angielskim – w Azji. Po pierwsze, sprawdziłem czy zacznę coś pojmować z języka kantońskiego; usłyszawszy to nowe wezwanie ze stycznia poprzedniego roku – zacząłem letni kurs, aby – o ile dam radę – w październiku ostro wziąć się za naukę. Cóż, tu chodziło o pracownika przede wszystkim dla imigrantów mówiących po angielsku, a nie po kantońsku. Po liście wystanym do Krakowa i odpowiedzi, która nadeszła, po 66 dniach w Hong Kongu (dwa tajfuny, bambusowe rusztowania, mrówkowce wielkich apartamentowców, doświadczenie wspólnoty Neo na sobotnich Eucharystiach) – wróciłem do Polski.

Niedzica. Bardzo ciekawe było doświadczenie tego

ludu i tej kultury. Ale wewnętrzne wołanie nie gaśło i ciągle podejmowałem je w relacjach i rozmowach z przełożonymi. Nie godząc się na nominację proboszczowską, potwierdzałem wolę posługi misyjnej.

Anglia 2. We wrześniu 2013 roku wróciłem do Anglii na dalsze studium języka. Krótco byłem w dawnym miejscu, w Swindon, a potem dalej, w Ramsgate, na południu, gdzie rozpoczął apostołstwo św. Augustyn. Tam też powstało pierwsze jego sanktuarium. Posługiwałem polonii, dla Polskiej Misji Katolickiej dla Anglii i Walii – w Ramsgate i Canterbury.

Jednocześnie, za radą sekretarza Kongregacji ds. Ewangelizacji Narodów, skontaktowałem się z rektorem seminarium Redemptoris Mater w Londynie i wskazano mi najbliższą wspólnotę Neokatechumenatu, w Peckham, na południu Londynu, czyli w tej diecezji, w której posługiwałem dla Polonii. Tam też dojeżdżałem w czwartki i soboty.

W listopadzie 2015 roku zaproszono mnie na convivencje do Porto San Giorgio, gdzie w odpowiedzi na list z Macau, zapytany czy jestem gotowy na to zaproszenie, odpowiedziałem: TAK. Potwierdzono więc mój wyjazd do wspólnoty Neokatechumenatu, gdzie potrzebowali prezbitera.

Gdy byłem na rozmowie z kard. Dziwiszem, pokazał mi list z prośbą o księdza właśnie tam gdzie pracował ks. Bukowski. Cóż, to było moje pierwotne pragnienie, ale teraz – już dałem słowo Neokatechumenatowi.

Macau. 24 czerwca 2016 roku zacząłem wspólne życie tutaj, w diecezji małej (6 parafii), a tak znaczącej dla ewangelizacji tej części świata. Zamieszkałem wspólnie z włoskim prezbiterem, ks. Giuseppe, pochodzącym z diecezji o. Matteo Ricci. Mieliśmy to szczęście modlić się razem z jednym małżeństwem z misji nad płytą nagrobną tego jezuita w Pekinie, w dzień zaduszny.

Poliglotą nie jestem, wielkiego przysiadu też nie mam; w przekonywaniu do projektu (raz czy drugi coś tam do kraju przywożem) – też bez większego poparcia. Ale z drugiej strony, niewiele agitując, a za to dzięki zaufaniu przede wszystkim Kolegów z rocznika i parafian, ale też wielu innych osób powstałych przez Bożą Opatrzność z różnych stron świata, to – gdzie bym nie był, to sam Pan Bóg wie jak wiele udało się zrobić.

Dzięki tej wielkiej hojności wszystkich Wspierających znanych Panu Bogu – składał wielkie dzięki.

Tego bym się nie spodziewał, że dzisiaj mogę poruszać się jak u siebie w Rio, Salvadorze, Londynie, Hong Kongu... Z pewnością miałem motywację, którą zrodziła potrzeba. I tam są takie miejsca, które – podobnie jak w Polsce – z radością wskażę i gdzie chętnie zaprowadzę.



Agata Giełczyńska

FILIPINY

**UDAŁO SIĘ
WYBUDOWAĆ
600 DOMÓW**

**TAJFUN SENDONG,
POZBAWIŁ ŻYCIA
I DACHU NAD GŁOWĄ
TYSIĄCE LUDZI.**

Na misję do Cagayan de Oro na Filipinach wyjechałam w roku 2015. Miejscem mojego pobytu był między innymi Kasanag Daughter Foundation House, czyli dom dla wykorzystywanych seksualnie dziewcząt. Dom ten miał być dla nich miejscem, w którym dojdą do siebie po traumatycznych przeżyciach. Dziewczęta miały w nim zagwarantowaną opiekę psychologa, uczyły się codziennych czynności takich jak pranie, gotowanie, sprzątanie, wypełniały swoje obowiązki i dyżury.

Niestety problem nadużyć seksualnych jest na Filipinach dość powszechny, najczęściej agresorami są osoby z najbliższego otoczenia: bracia, ojcowie, dziadkowie. W związku z tym, że skrzywdzone dziewczęta nie zawsze mogą liczyć na pomoc rodziny, powstały właśnie tego typu ośrodki, w których mogą poczuć się bezpiecznie.

Będąc w Kasanag poznałam historię niektórych dziewcząt, towarzyszyłam im w ich codziennych obowiązkach. Podczas sjeści miałyśmy czas na zabawy sportowe, warsztaty plastyczne i inne aktywności. Wychowanki ośrodka bardzo chętnie brały udział w przygotowaniach do różnych uroczystości: gotowały tradycyjne potrawy, ćwiczyły układy choreograficzne, piosenki. Udało nam się także wystawić kilka sztuk teatralnych, m.in. przedstawienie dotyczące życia św. Faustyny czy też jasełka. Młode aktorki nie tylko doskonale zagrały swoje role, ale także nauczyły się pol-

skiej kolędy, którą zaprezentowały pod koniec spotkania.

Innym miejscem, w którym spędzałam czas była Wioska Matki Bożej Miłosierdzia w Opol. Powstała ona dzięki pomocy wielu ludzi – tak z Polski, jak i z zagranicy.

Kiedy w roku 2011 Cagayan de Oro nawiedził tajfun Sendong, pozbawiając życia i dachu nad głową tysiące ludzi, księża z różnych zgromadzeń postanowili wykupić ziemię w Opol i wybudować tam wioskę dla tych, którzy ocalili. Ofiary na budowę domów szły z całego świata i już po kilku latach udało się wybudować około 600 domów. Powstały tam też miejsca pracy, m.in. szwalnia oraz przedszkole. To tam miałam możliwość przebywać, a dzięki pomocy Kolędników Misyjnych udało się nam zakupić akcesoria do przedszkola. Znajomy ksiądz przeprowadził u siebie w parafii zbiórkę na szwalnię, dzięki czemu mogliśmy nabyć dwie maszyny do szycia oraz potrzebne materiały. Współpracując ze środowiskiem lokalnym, współorganizowałam sobotnie spotkania z dziećmi z wioski. Był to czas na zabawę, rozwijanie zdolności plastycznych oraz poznanie historii biblijnych.

Oprócz Cagayan de Oro kilka tygodni przebywałam w Pangantucan, miejscowości położonej w górach, gdzie pracują siostry Karmelitanki Misjonarki Tereźjanki. Siostry zajmują się tam różnymi postugami, między innymi

prowadzeniem internatu dla dziewcząt z odległych górskich wiosek, chcących uczyć się w szkole. Oprócz tego rozpoczęły pracę z zaniedbanymi dziećmi z okolicy. Miałam okazję zorganizować dla nich różne zajęcia i zabawy. Rozpoczynając spotkanie z dwójką chłopców nie sądziłyśmy, że wkrótce dzieci będzie o wiele więcej.

Pobyt na Filipinach na długo pozostanie w mojej pamięci. Jeszcze do tej pory wspominam spotkania z ludźmi, jazdę mototaxi i jeepney, posiłki, które zawsze składały się z ryżu. Nie raz zastanawiam się jak potoczyło się życie dziewcząt z Kasanag. Czy ukończyły szkołę? Czy wróciły do swoich rodzin? A może założyły już własne? A co z ludźmi z Opol? Czy w szwalni wciąż pracują te same osoby? Czy przedszkole nadal działa?

Kto wie, może kiedyś dostanę na te pytania odpowiedzi...



30 Ks. Tomasz Trzebunia

ROSJA

JESTEM KSIĘDZEM NA TERYTORIUM POŁOWY POLSKI

Saratow

Trzynastego sierpnia 2002 roku przyjechałem do Rosji. Po drodze z lotniska do miasta Taganrog, gdzie miałem opiekować się miejscową wspólnotą katolicką, siedzący za kierownicą samochodu karmelita, ojciec Paweł, powiedział mi: „Pojutrze Wniebowzięcie NMP, jedziemy na odpust do sąsiedniej parafii, powiesz kazanie”. I tak zaczęła się moja praca w Rosji, w diecezji św. Klemensa Rzymskiego ze stolicą w Saratowie.

Marks i Ufa

Jak już powiedziałem, moja praca wśród katolików w Rosji zaczęła się w Taganrogu w małej, bardzo rodzinnej parafii, gdzie wszyscy wszystkich znali. Na początku trzeba było szybko szlifować język i przyzwyczajając się do nowych warunków i zwyczajów. Byłem tam półtora roku. Potem prawie dwanaście lat spędziłem nad środkową Wołgą, w mieście Marks, na terenach zamieszkałych kiedyś przez potomków niemieckich kolonistów. W 2015 roku pojechałem dalej na wschód, w stronę Uralu, do miasta Ufa, stolicy Baszkirii, gdzie jestem do dzisiaj. Od roku mam tu pod opieką jeszcze jedną parafię, w wiosce Aleksiejewka, 70 km od Ufy. W ten sposób jestem teraz jedynym duszpasterzem dla katolików rozproszonych na terytorium trochę mniejszym niż połowa powierzchni Polski.

Moja działalność duszpasterska koncentruje się przede wszystkim w Ufie i Aleksiejewce, gdzie regularnie sprawuję Mszę Świętą i spotykam się z ludźmi. W Ufie od niedawna pomagają mi siostry Elżbietanki: s. Maksymiliana i s. Małgorzata; w Aleksiejewce pomaga mi siostra Euthymia ze wspólnoty Rodzina Maryi.

Oczywiście nie mogę zapomnieć i o tych katolikach, którzy mieszkają poza wymienionymi ośrodkami. Dużo czasu i energii zabiera mi docieranie do parafian w „diasporze”. Odwiedzenie ich to czasem wyprawa na cały dzień. Pod słowem odwiedziny rozumiem wyjazd do chorych, sprawowanie Mszy Świętej, rozmowy, przygotowanie do przyjęcia sakramentów świętych. W czasie świąt Bożego Narodzenia i Wielkanocy, a także latem, staramy się zbierać naszych rozproszonych parafian w jednym miejscu, większość w Aleksiejewce. Przyjeżdżają na takie spotkania pojedyncze osoby i całe rodziny.

Kilka słów o naszej parafii w Ufie. To bardzo ciekawa wspólnota. Tworzą ją miejscowi katolicy i studenci z krajów Afryki i Łacińskiej Ameryki. Oprócz nich jest też bardzo prężna grupa katolików z Wietnamu – około dziesięć rodzin. Wspólnym językiem dla parafian jest rosyjski. Ponieważ dorośli Wietnamczycy słabo mówią po rosyjsku, to mają swoją Mszę Świętą, gdzie śpiewy, czytania, a także niektóre części Mszy sprawują po wietnamsku, a kazanie zawsze jest tłumaczone na język wietnamski. Świetnie radzą sobie z tym dziećmi, które dobrze znają oba języki.

Ślub „duchowych dzieci”

Dzięki współczesnym środkom komunikacji możemy z parafianami podtrzymywać kontakt na odległość. Podam jeden przykład. Pewna para chciała przygotować się do sakramentu małżeństwa. Pokonali około 180 km, aby spotkać się ze mną. Po rozeznaniu ich sytuacji i potrzeb zaproponowałem im, aby przeszli przygotowanie pod kierunkiem siostry Poliny z odle-

**BARDZO CIESZY MNIE,
ŻE W CIĄGU TYCH
LAT MOGŁEM SPOTKAĆ
OSOBY, KTÓRE ODKRYŁY
POWOŁANIE DO
ŻYCIA ZAKONNEGO
LUB KAPŁAŃSKIEGO.**

głego o 2 000 km Tomsk. Siostra Polina Zommer SJE, wraz ze swoimi współpracownikami, często pomaga mi w przygotowaniu par do małżeństwa. Wspomniani wyżej przyjęli propozycję i w ciągu ponad sześciu miesięcy co tydzień spotykali się przy pomocy internetu z siostrą i specjalistami z poradni małżeńskiej. Po zakończeniu przygotowania przyjechali do mnie, aby dopełnić wszystko, co jest niezbędne dla zawarcia sakramentu małżeństwa. Wybierając datę ślubu bardzo chcieli, aby s. Polina była w tym dniu razem z nimi. I tak się szczęśliwie złożyło, że w maju siostra miała wracać pociągiem z Saratowa do Tomsk. Na półtora dnia pozwolono jej zatrzymać się w Ufie i być na ślubie swoich nowych „duchowych dzieci”.

Przyjaźń

Na koniec chcę jeszcze wspomnieć jedną rzecz. Bardzo cieszy mnie też, że w ciągu tych lat mogłem spotkać i – mam nadzieję pomóc kilku osobom, które odkryły powołanie do życia zakonnego lub kapłańskiego. Niektórzy z nich byli moimi parafianami, inni przyjeżdżali na praktykę klerycką czy diakonańską. Znajomość i przyjaźń z nimi to bardzo ważna część mojego bycia tutaj.

Polecam siebie i wszystkich nas waszej modlitewnej pamięci. To dla nas bardzo ważne.





EUROPA

31

Tomasz Marynowski

SERBIA, BOŚNIA I HERCEGOWINA,
CHORWACJA, SŁOWENIA, MACEDONIA
PÓŁNOCNA, CZARNOGÓRA

TO WSZYSTKO
TO NIE MOJE
DZIEŁO

Wędrowny katechista

Charakter mojej pracy jest charakterystyczny dla charyzmatu „katechisty wędrownego” opisanego w artykule nr 31 Statutu Drogi Neokatechumenalnej i zatwierdzonego definitywnie 11.05.2008 roku przez Papieską Radę ds. Świeckich w Watykanie – czyli, że pracuję bez stałego miejsca pobytu. Jestem w ekipie katechistów wędrownych odpowiedzialnych za Drogę Neokatechumenalną w Słowenii, Chorwacji, Bośni i Hercegowinie, Serbii, Czarnogórze i Macedonii Północnej i zostałem powołany („postany”) do tej ekipy 30.06.2007 roku przez Kiko Arguello, Carmen Hernandez i Ojca Mario Pezzi tj. Międzynarodową Ekipę Odpowiedzialną za Drogę Neokatechumenalną.

Czasokres mojej posługi – to znaczy jej koniec – nie jest ściśle określony. Obecnie pracuję w ekipie międzynarodowej, to znaczy oprócz mnie jest ksiądz Piergiorgio Deangelis (Włoch) i pani Lucia Toso z Wenecji (jest tu na misji katechistką wędrowną od 45 lat).

Jestem często w kontakcie z panią sekretarką Anitą Laude (Sekretariat Komisji Episkopatu Polski ds. Misji), której dostarczam na bieżąco zaświadczenia potwierdzające moją pracę, oraz informuję na bieżąco o jakichkolwiek zmianach (na przykład ostatnio o mojej kilkumiesięcznej przerwie w ewngelizacji z powodu ciężkiej choroby i śmierci mojej mamy...).

Nie mam podpisanego kontraktu o pracę, gdyż jestem

w krajach byłej Jugostawi od 30.06.2007 roku misjonarzem świeckim-wolontariuszem i nie otrzymuję za moją posługę ewangelizacyjną żadnego wynagrodzenia.

Co do łącznej liczby lat spędzonych na ewangelizacji, muszę także dodać 10 lat w krajach na wschód od naszej granicy (lata 1990-2000): dwa lata na Białorusi w parafii w Gomlu, dwa lata na Litwie i Ukrainie, trzy lata w Kazachstanie i dwa lata na Syberii (Nowosybirsk i Irkuck).

Aby lepiej ewangelizować, skończyłem studia teologiczne (w systemie e-learning) na Akademii Katolickiej w Warszawie. Moja posługa polega na ciągłych podróżach po krajach byłej Jugostawii, spotkaniach formacyjnych i „etapowych” ze wspólnotami neokatechumenalnymi, z seminariami „Redemptoris Mater”, z prezbiterami oraz licznymi rodzinami w misji w ramach neokatechumenalnych „Missio ad Gentes” – to znaczy „implantatio ecclesie”.

Charakter mojej pracy misyjnej jest szczegółowo opisany w artykułach Statutu Drogi Neokatechumenalnej. Oprócz częstych wizyt u biskupów i proboszczów, nasza ekipa troszczy się o młodzież organizując od wielu lat pielgrzymki w ramach spotkań Światowych Dni Młodzieży, liczne pielgrzymki wakacyjne, również powołaniowie dla młodych, a także prowadzi formację „postcresima” w wielu parafiach, skrutacje Pisma Świętego dla grup młodych. Ponadto, organizujemy formacyjne pielgrzymki do Ziemi Świętej prezbiterów

NAJWIĘCEJ RADOŚCI
DAJE EWANGELIZACJA,
BYCIE CZĘŚCIĄ HISTORII
KOŚCIOŁA, TEGO DUŻEGO
I TEGO MAŁEGO: BRAĆ UDZIAŁ
W RADOŚCI NAWRÓCENIA,
PRZEBACZENIA,
POJEDNANIA.

i seminarzystów (z „Redemptoris Mater”) oraz uczestniczymy w międzynarodowych i ekumenicznych spotkaniach biskupów i rabinów w Domus Galilaeae w Izraelu. Nie zapominamy oczywiście o naszej własnej formacji permanentnej, która odbywa się kilka razy w roku we Włoszech w Porto San Giorgio i jest prowadzona przez Międzynarodową Ekipę inicjatorów Drogi Neokatechumenalnej.

Być częścią historii Kościoła

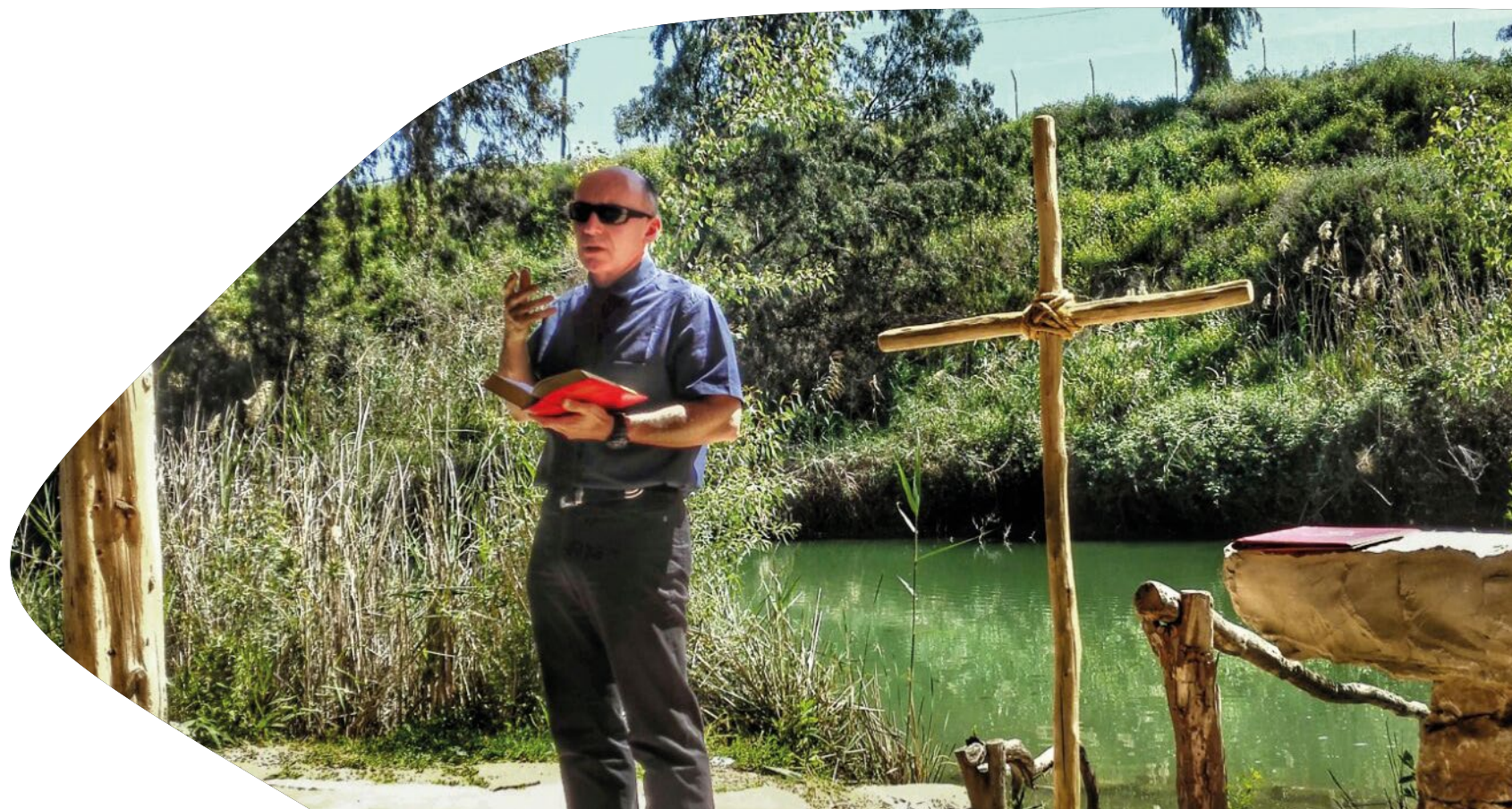
Droga Neokatechumenalna jest formacją permanentną i także po pewnym czasie są zgłaszani-wybierani i posyłani do ewangelizacji członkowie młodszych

wspólnot (miejscowych), którzy mogą pomagać, a nawet zastępować (w sposób naturalny) starszych, słabych lub schorowanych katechistów. Oczywiście wszystko w zgodzie z wytycznymi Statutu Drogi Neokatechumenalnej.

Najwięcej trudności – oczywiście oprócz ogólnej dechrystianizacji, desakralizacji i kryzysu wiary w dzisiejszym społeczeństwie – powodują klerykalizm i małe zrozumienia dla nowych charyzmatów i inicjatyw w parafiach i diecezjach, oraz opieranie swoich opinii na „śmieciach informacyjnych z internetu” lub błędnych stereotypach. Najwięcej radości daje za to sama ewangelizacja: widzieć, uczestniczyć, być częścią historii Kościoła, tego dużego i tego małego: brać udział w radości nawrócenia, przebaczenia, pojednania. Piękne są otwarcia się z miłością i radością na kolejne dziecko w życiu wielu rodzin, odkrywanie powołań do seminariów, zakonów – to nadaje sens i pełnię mojemu życiu. Oczywiście – wszystko w całkowitej świadomości własnej kruchości, słabości, że jesteśmy niegodnymi „sługami bezużytecznymi” i że to wszystko nie moje dzieło, ale Pana Boga. **Ewangelizacja to niezasłużony dar Ducha Świętego dla tego, kogo Bóg posyła.**

Oczywiście każdy może do nas dołączyć – rodziny w misji, prezbiterzy, młodzież.

Jest dużo pracy...



19

**Ks. Marek Cichórz, ks. Jan Nikiel,
ks. Witold Kowalów, ks. Andrzej
Ścisłowicz, ks. Waldemar Szlachta**

UKRAINA



Obecnie na Ukrainie pracuje pięciu kapłanów:
ks. Marek Cichórz (od 2000 r.), ks. Jan Nikiel (od 1991 r.),
ks. Witold Kowalów (od 1992 r.), ks. Andrzej Ścisłowicz
(od 1994 r.) i ks. Waldemar Szlachta (od 2002 r.).



DZIAŁALNOŚĆ

WYDZIAŁU DUSZPASTERSTWA MISYJNEGO
KURII METROPOLITALNEJ W KRAKOWIE

DOŚWIADCZENIA MISYJNE

**„BŁOGOSŁAWIĘ WAM,
DZIAŁAJCIE,
A Z TEGO
Z PEWNOŚCIĄ
WYŁONIA SIĘ LIDERZY
KOŚCIOŁA ARCHIDIECEZJI
KRAKOWSKIEJ”.**

Naszym celem jest niesienie pomocy najuboższym i wsparcie pracy misjonarzy.

Od pewnego czasu do Wydziału Duszpasterstwa Misyjnego Kurii w Krakowie przychodziły osoby świeckie, byli to studenci albo osoby już pracujące, które miały pragnienie wyjazdu na misje. Organizowane były dla nich kursy animatorów misyjnych, ale – co dalej? Powoli rodziła się refleksja: skoro ludzie tutaj przychodzą i proszą o coś konkretnego, to należy to odczytać jako znak czasu i trzeba się tym zająć na poważnie.

Już w październiku 2008 roku odbyło się pierwsze spotkanie z księdzem kardynałem Stanisławem Dziwiszem, który na propozycję formacji misyjnej dla osób zgłaszających się do wydziału i zorganizowania wyjazdu na „doświadczenie misyjne” odpowiedział: „Błogosławię wam, działajcie, a z tego z pewnością wyłonią się liderzy Kościoła Archidiecezji Krakowskiej”. Od listopada rozpoczęliśmy więc spotkania, raz w miesiącu, aby przygotować się do wyjazdu do Peru, gdzie pracują już dwie świeckie misjonarki z Archidiecezji Krakowskiej: Barbara Dominika Szkatuła i Dorota Koziel. Program spotkań opierał się na czterech zasadniczych filarach: formacji duchowej, misyjnej (wykłady z misjologii i duchowości misyjnej), życia we wspólnocie (kilkudniowe rekolekcje), konkretnej służbie na rzecz Kościoła (pomoc w organizowaniu „Kolędników Misyjnych”, Kongresu Misyjnego Dzieci, w pracy w Wydziale Duszpasterstwa Misyjnego). W tym czasie gromadzone były też środki finansowe i rzeczowe, głównie przez poszukiwanie sponsorów. Placówki misyjne są zazwyczaj ubogie. Naszym celem

jest niesienie pomocy najuboższym i wsparcie pracy misjonarzy. W 2009 roku wyjechaliśmy do Peru po to, by pomóc w realizacji projektów, które zawierały konkretne szczegóły pobytu i pracy w kraju misyjnym. Byliśmy w miejscach, gdzie Msza Święta jest odprawiana tylko dwa razy w roku z powodu braku kapłana. Poproszono nas o katechezy i zajęcia z dziećmi, pomoc szkolne, pomoc pielęgniarską, lekarstwa, zakupy benzyny na objazd 20 wiosek, zakup nagłośnienia do kościoła, warsztaty szycia i gry na gitarze, zorganizowanie drużyny piłkarskiej. Nasze misjonarki prowadzą także adopcję dzieci i młodzieży, którym dobroczyńcy z różnych krajów opłacają naukę w szkole; pragniemy i my w tym pomóc.

Wyjechaliśmy w dziewięcioosobowej grupie: kapłan, diakon, dwóch kleryków, dwie siostry zakonne i trzy osoby świeckie. Każdy służył darami, jakie posiada i jakie zdobył w czasie studiów czy innych okazji. Zawsze chcemy być przede wszystkim świadkami Jezusa Chrystusa i nieść Go tam, gdzie jest jeszcze nieznan. Dziesiąta osoba świecka zgłosiła się do Centrum Formacji Misyjnej w Warszawie, aby tam przygotować się na dłuższy wyjazd na misje.

Dziękujemy księdzu kardynałowi Stanisławowi Dziwiszowi za błogosławieństwo i otwarte serce dla misji. Dziękujemy również wszystkim, którzy przygotowali i wspomagali nas w tym przedsięwzięciu.

s. Bożena Najbar



DOŚWIADCZENIA MISYJNE

Z CHORYMI NA TRĄD

S. BOŻENA NAJBAR

01

TANZANIA

Dłoni nie miała, ale podała mi kikuty „rąk” na przywitanie. Czułam jakbym samego Boga dotknęła. Siedziałam z nią długo ściskając jej chore kończyny. Tutaj czas się zatrzymał i powiedział mi: nie śpiesz się, tutaj jest to co najważniejszym być powinno w życiu „bliskość samego Boga”.

02

PERU

Leproзорium w miejscowości San Pablo. Na salach leżeli ludzie z dużymi ranami trądu, przypominało mi to zdjęcia oglądane w dzieciństwie, kiedy czytałam książkę o ojcu Bezymie pracującym z trędowatymi. I nie chciało mi się wierzyć, że dzisiaj widzę to na własne oczy. Nie pozwolono mi zrobić zdjęć, aby świat nie zobaczył tych ludzi trędowatych. Były tam także osoby, które miały mniej zaawansowany trąd. Pan Antoni siedział na podłodze i rzeźbił różne figurki ludzi i zwierząt. Nie wyobrażajcie sobie, że rzeźbił palcami u rąk, rzeźbił kikutami rąk i to jest niezwykle, że pomimo braku palców u rąk wykonywał piękne rzeźby. Jedną z nich kupiłam. Był to pancernik wykonany w drzewie cedrowym.



03

UGANDA

Do końca życia zapamiętam jedno dziecko bardzo wychudzone w twarz staruszka, któremu już nic nie pomagało w daleko posuniętej chorobie. Dziecko zaniedbane w domu z powodu licznych rodzeństwa, dla którego już nie starczało pożywienia i troski. Za późno go dostrzeżono ukrywanego w lepiance jednej z wiosek, gdzie od czasu do czasu lekarze odwiedzali chorych.

Dzięki osiągnięciom medycyny trąd jest dziś uleczalny.

W ciągu ostatnich trzydziestu lat wyleczono kilkanaście milionów chorych.

Pomimo niekwestionowanego sukcesu w walce z trądem każdego roku wciąż odkrywa się około 200 tysięcy nowych przypadków. Od pewnego czasu można mówić nawet o niewielkim wzroście liczby zachorowań.

Trąd dotyka mieszkańców najuboższych miejsc naszego globu, gdzie często nie funkcjonuje opieka medyczna i chorzy mogą liczyć tylko na najodważniejszych misjonarzy.

DZIECI Z PEVAS

ZOFIA ŚCIGALSKA

Stały na brzegu i witały nas serdecznie, wraz z młodzieżą i dorosłymi śpiewały dla nas pieśni powitalne. Był to dzień naszego przyjazdu do Pevas, wyspy, na której mieliśmy spędzić kilka tygodni. Grupa nasza składała się z pięciu osób. Przytłęliśmy wczesnym rankiem; byłam zdziwiona, że ludność, zamiast spać, wyszła nam na spotkanie, zwłaszcza małe dzieci.

Każdy z nas, miał swoje zadanie. S. Bożena i s. Jola prowadziły kurs szycia, ks. Tadeusz udzielał sakramentów, Tomek - lekcji gry na gitarze, a ja prowadziłam kurs fizjoterapii. Do 18.00 byliśmy dość zajęci, zaś wieczór stawał się porą spotkań i zabaw z dziećmi. Już podczas kolacji słychać było pukanie do drzwi i radosne śmiechy. Dzieci się niecierpliwiły, chciały, byśmy czym prędzej dołączyli się do ich wspólnych zabaw.

Bardzo lubiłam te wieczory. Organizowałam dzieciom zawody sportowe, one zaś uczyły mnie swoich piosenek. Nie znam dobrze j. hiszpańskiego, który jest w Peru urzędowym językiem, ale odkryłam, że do porozumiewania się z dziećmi nie jest konieczna znajomość języka. Rozumieliśmy się bez słów, wystarczyły rysunki kamykiem, język migowy, pantomima. Były dni, że dzieci przychodziły na wieczorne modlitwy do kościoła. W jeden taki wieczór, po Mszy Św., mała dziewczynka zaprowadziła mnie do figurki Dzieciątka Jezus, które było umieszczone w szklanej gablocie; statyśmy tak przed figurką chwilę, byłam pewna, że

dziewczynka się modli. Nagle otworzyła gablotkę i dotknęła figurki Pana Jezusa. Zachęciła mnie, bym zrobiła to samo; trochę bałam się dotykać figurki, by nie zniszczyć rzeźby. Moje obawy spostrzegły inne dzieci, które również podeszły do figurki i nalegały bardzo, bym dotknęła ją, tak jak one. Wokół figurki utworzył się wianuszek dzieci, które spoglądały to na mnie, to na figurkę. W końcu pozdrowiłam Dzieciątka Jezus, w sposób, jaki mnie nauczyły dzieci. Stojąc przy figurce i patrząc na twarze dzieci, zastanawiałam się, jak wielką wiarę mają te maluchy z dżungli. W ich oczach widać było ufność i miłość do Boga.

To zdarzenie w kościele stało się dla mnie małą lekcją wiary, spontaniczny gest tych dzieci, pozdrowienie Dzieciątka Jezus, przypomniał mi słowa Pisma świętego, żeby wejść do Królestwa Bożego, trzeba stać się jak dzieci, bezgranicznie zaufać Bogu i „zbliżyć się do Boga”...

Człowiek, który jedzie na doświadczenie misyjne (z kraju, gdzie Bóg jest znany od wielu wieków), często myśli, że będzie pomagał mieszkańcom i ewangelizował ludność, tymczasem to tubylcy dają świadectwo wiary, które umacnia i ubogaca wiarę misjonarza.

Kiedy wyjeżdżaliśmy z Pevas, dzieci nas serdecznie żegnały, przynosiły upominki zrobione własnoręcznie, chciały dać coś od siebie. Będę długo pamiętać dobroć tych maluchów, których prostota i wiara urzekały.



PERU, IQUITOS

ks. Tadeusz Dziedzic, s. Bożena Najbar, s. Jolanta Adamik, klerycy: Piotr Sałaciak i Tomasz Bochnak, diakon Krzysztof Krawczyk, Zofia Ścigalska, Paulina Wasztyl i Aureliusz Małyśa.

23 czerwca 2009 r. dolecieliśmy samolotem z Limy do Iquitos. Na lotnisku czekały na nas misjonarki: panie Dominika Szkatuła i Anna Borkowska. Trzymały w ręku transparent z napisem: serdecznie witamy. Wsiadliśmy do dużego auta i jechaliśmy przez tętniące życiem miasto. Iquitos zostało założone przez jezuitów w połowie XVIII w.

Liczące obecnie 400 tys. mieszkańców Iquitos jest największym peruwiańskim miastem leżącym w dżungli. Można do niego dotrzeć jedynie samolotem, albo statkiem. To największe miasto w Amazonii, z którym nie ma połączenia drogą lądową.

Zatrzymaliśmy się w misji franciszkanów, gdzie przywitał nas bardzo serdecznie ks. bp Alberto Campos. Jest to główna siedziba wikariatu (diecezji) św. Józefa, obejmującej powierzchnią 155.000 km², czyli to powierzchnia odpowiadająca prawie połowie Polski.

Od czego zaczęliśmy? Od nauki języka "żółwi", tak określa się tutejszych ludzi, powolnych, którym nigdzie się nie spieszy. Klimat tutaj jest gorący i wilgotny. Chodzimy jak czarapa, czyli żółwie. Tego określenia używaliśmy tutaj przez cały czas naszego pobytu. Odwiedziliśmy również polskich misjonarzy pracujących w Iquitos, w parafii św. Jana Chrzciciela i w parafii Santa Clara – ks. Zbigniewa Rębatę, który zabrał nas łodzią na przejażdżkę. Były to niejako pierwsze dni inicjacji. Przyjechalśmy w czasie szczególnym - świętowania patrona dżungli św. Jana Chrzciciela. Przy tej okazji zobaczyliśmy tańce, przedstawiające życie ludzi w Peru oraz posmakowaliśmy specjalnej potrawy (ryż, jajka i kawałek kury zawinięty w liść palmowy), którą popijaliśmy mlekiem kokosowym.

Przeszliśmy „pływającą” dzielnicę biedoty – Belén – składa się z chat zbudowanych na drewnianych tratwach, opadających i wznoszących się wraz ze zmianami poziomu rzeki. Mieszka tu wiele tysięcy ludzi. Między chatami unoszą się łódzie-sklepy z różnymi towarami. Handluje się tu przede wszystkim suszonymi żabami i rybami, pancierzami pancernika, zębami piranii i owocami tropikalnymi.

Było to 15 dni błogostawieństwa Bożego w Pevas – mówiła s. Glades ze Zgromadzenia Różańca Świętego, gdzie przeżyaliśmy swoje doświadczenie misyjne.

W tej miejscowości zatrzymała się nasza 6-osobowa grupa: ks. Tadeusz Dziedzic, s. Bożena Najbar, s. Jolanta Adamik, kleryk Tomasz Bochnak, Zofia Ścigalska i Anna Borkowska, która była naszą tłumaczką.

Na nasz przyjazd długo się przygotowywano. Przywitały nas dzieci, młodzież i dorośli śpiewem i grą na brzegu rzeki Ampiacó (dopływ Amazonki), gdzie płynęliśmy całą noc statkiem z Iquitos. Każda grupa, działająca przy parafii, przemawiała do nas w budynku spotkań przy parafii.

Na łuku, nad wejściem do rynku w Pevas jest napis „Witamy w Pevas - ziemi miłości”. W rzeczywistości tak jest, ludzie bardzo życzliwie nas przyjmowali, codziennie nas odwiedzali, z nami rozmawiali, przychodzili również dzieci.

Ks. Tadeusz robił dużo wysiłku, by codziennie odprawić Mszę Św. w języku hiszpańskim, w miejscu gdzie Msza Św. Ochrzcili 38 osób, które siostry wcześniej przygotowywały do chrztu. Siostry: Bożena i Jolanta prowadziły kurs szycia dla najbardziej potrzebujących. Niektórzy z nich nie umieją ani czytać ani pisać. Dziękowali, że mieliśmy dla nich cierpliwość. Ludzie ci, w dowód wdzięczności, przynosili nam żywność - jukę, banany, ryby. Zosia uczyła fizjoterapii, zdobywając zaufanie miejscowych lekarzy, którzy przysyłali do niej swoich pacjentów. Natomiast kleryk Tomasz przyciągał licznie młodzież na kurs gry na gitarze. Młodzież również starała się uczyć nas języka hiszpańskiego.

Bardzo ciekawe były wieczorne rozmowy przy kolacji z siostrami. Siostra Rejna opowiada, że jest ich tutaj cztery i jedna świecka misjonarka. Głównym ich zadaniem były kursy dla katechistów, ażeby mogli ewangelizować w nowym środowisku. Ich działalność w tym względzie natrafia na wielkie trudności ze względu na troskę o wyżywienie i utrzymanie własnej rodziny, kształcenie dzieci i znalezienie do tego odpowiednich środków pieniężnych.

Tak więc na siostrach spoczywa cały ciężar i zadanie podtrzymania i ugruntowania wiary.

Siostra Glades opowiadała również, jak inne jest rozumienie znaków przez Indian niż nasze. Symbolami, które przybliżają ich do Boga są taniec, śpiew i obraz.



**HANDLUJE SIĘ TU PRZED WSZYSTKIM
SUSZONYMI ŻABAMI I RYBAMI,
PANCERZAMI PANCERNIKA,
ZĘBAMI PIRANII I OWOCAMI TROPIKALNYMI.**

Nie rozumieją roli świętych, natomiast ludzie w górach czczą świętych i duże znaczenie ma dla nich kapłan, który przywołuje im obecność Boga. Uznają tylko chrzest przez kapłana, jeśli ochrzci siostra albo świecki - to nie jest ważne. W górach trzeba, aby siostry zakonne chodziły w habitach, inaczej to fałszywe siostry.

Ludzie nieustannie pukają do drzwi, od wczesnego rana do późnej nocy. Mają zaufanie do sióstr i przychodzą po poradę w różnych osobistych sprawach. Codziennie zgłaszają około pięciu przypadków przemocy, jaka dzieje się w miejscowości, przeważnie dokonywanej na dzieciach, osobach starszych i kobietach. Przychodzą też geje, szukający pomocy w wyjściu ze swojej sytuacji. Jeden z nich opowiadał historię swego życia. Miał trudną sytuację w domu, ojciec i matka go nie akceptowali. Wyrzucili go z domu, wałęsał się. Wiele razy prosił Pana Boga, aby zabrał mu ten problem, ale go nie wysłuchał. Podziwiać należy siostry tu pracujące i drepczące od wczesnego rana do późna w nocy, zwłaszcza, że nie są już pierwszej młodości. Tym bardziej, że prąd elektryczny jest tutaj tylko od godz. 18 do 23, dlatego należy go właściwie wykorzystać, a gorący i wilgotny klimat bardzo daje się we znaki tak w dzień jak i w nocy.

Misjonarze przekazują tutaj ludziom to, co mają najlepszego. Choć tereny te były niegdyś ewangelizowane i w większości są katolickie, potrzebują jednak nauczania. Potrzebują ludzi, którzy poświęciliby swój czas tej misji i to bezinteresownie. Życie misjonarza i ludzi w Amazonii jest bardzo skromne i proste. Dlatego trzeba dużo zaparcia siebie, aby pracować w takich warunkach. W pracy trzeba tworzyć przede wszystkim klimat zaufania, ażeby ludzie odczuli życzliwość i miłość, będące znakiem i wyrazem miłości Boga do człowieka.



DOŚWIADCZENIA MISYJNE

KAZACHSTAN

Oziornoje

Na północy Kazachstanu, 150 kilometrów od Pietropawłowska, leży wioska Oziornoje. To właśnie tam, otoczona wrogim stepem, znajduje się duchowa stolica kraju.

Jest rok 1936. Decyzją Stalina około 70 tysięcy Polaków i Niemców zostaje przymusowo przesiedlonych z terenów dzisiejszej Ukrainy na stepy północnego Kazachstanu. W długą podróż wyruszają całymi rodzinami, ze zwierzętami i dobytkiem. Po wielu dniach ludzie otrzymują rozkaz osiedlenia się i tak powstaje wieś Oziornoje.

Wszechobecny głód i zimno

Jest czerwiec, przed nadejściem trwającej osiem miesięcy zimy trzeba wybudować ziemianki. Do dyspozycji są ziemia, woda, trawa, czasem przywiezione przez kogoś deski i drzwi. W ziemiankach śpi się na gołej ziemi. Wszechobecny głód i zimno dziesiątkują ludność, rozprzestrzeniają się choroby. Jedyną nadzieję ludzie pokładają w wierze. Szczelnie zamykają chaty i modlą się po nocach, gdyż oficjalnie jest to zakazane.

Wyschnięte jezioro niespodziewanie wypełnia się wodą i rybami

25 marca 1941 r., w święto Zwiastowania Najświętszej Maryi Panny wyschnięte jezioro na zachodnim krańcu wsi niespodziewanie wypełnia się wodą. W miesiąc powstaje zbiornik, którego brzeg mierzy 6 km. Wielu stara się wytłumaczyć to zjawisko w sposób racjonalny, ale dla wierzących jest to wyraźny znak opieki Matki Bożej. W równie nagły sposób w jeziorze pojawiają się ryby, które ratują życie mieszkańcom. Jadane są na wszelkie sposoby



– suche, smażone, solone. Ludzie wytapują je całymi miskami i sprzedają.

„Gwiazda Kazachstanu” ma wzywać do modlitwy o pokój

Od 1999 r. w uroczystość Matki Bożej Królowej Pokoju odbywa się w tym miejscu święto młodzieży. Dzięki modlitwie ludzi jest nieustannie obecna pośrodku kazachstańskiego stepu. Wybudowano tam trzecią – po Jerozolimie i Medjugorze – kaplicę dla ołtarza „Gwiazda Kazachstanu”, jednego z dwunastu ołtarzy, które powstają na wzór gwiazd w koronie Królowej Pokoju i na wszystkich kontynentach wzywać do modlitwy o pokój.

INDIE

Wolontariusze odwiedzali szkoły podstawowe. Uczestniczyli w spotkaniach z kobietami, na których podejmowane były tematy mikrokredytów. Jest to pomoc finansowa udzielana ludziom mieszkającym w krajach Trzeciego Świata, w tym Indii. Obejmuje on dofinansowanie lokalnego rozwoju rolnictwa, niewielkich sklepików, zakup sprzętu, a także zwrot pożyczek. Ofiary pochodzą od zwykłych ludzi a organizacja charytatywna jest pośrednikiem.



ZOBACZ
FILM

Spotkanie z dziećmi i młodzieżą w Khammam. Dzieci dzieliły się zdolnościami tanecznymi. Hindusi mają taniec we krwi. Jest on nierozdzielnie związany z ich kulturą. Wierzą, że pochodzenie tańca jest święte. To sposób wyrażania emocji. Taniec przenosi w inny świat, gdzie nie ma miejsca na złość i kłótnie. Dłonie tancerki opowiadają różne historie, oko podkreśla każdy gest, głowa porusza się do rytmu muzyki, całość dopełnia wiele mówiący uśmiech.



Ważne były także odwiedziny rodzin w wioskach, gdzie na przykład zakupiono kosze, aby wesprzeć bardzo ubogą żyjącą wielodzietną rodzinę.



DOŚWIADCZENIA MISYJNE

TANZANIA

Helena Wanda Reinfuss

Helena Wanda Reinfuss ma 74 lata, jest lekarzem reumatologiem, a prywatnie mamą, babcią i... misjonarką. Opowiadając o swojej postudze wśród Pigmejów i życiu misjonarza w Republice Środkowej Afryki pokazuje, że gdy bardzo chcemy nieść dobro, to nie ma przeszkód, których nie da się pokonać.

Karolina Zajac: Jest Pani lekarką z olbrzymim doświadczeniem, kobietą z ułożonym życiem rodzinnym, skąd więc pomysł, żeby pojechać na misję?

Helena W. Reinfuss: Przez wiele lat moja mama wspierała osoby potrzebujące wsparcia: księży wyjeżdżających na misję, ludzi ubogich. Mama zmarła 11 lat temu, więc teraz ja staram się podtrzymać tę tradycję.

Jak zaczęła się Pani „przygoda” z misjami?

Ludzie obdarowywani przysyłają zwrotne listy, podziękowania, zdjęcia, a także wskazują na dalsze możliwości wsparcia. Przeglądając te informacje można poznać ich życie, kłopoty i olbrzymie potrzeby, popatrzyć na dziecięce twarzyczki, często smutne, ale też zaciekawione, ufne oczy. To wszystko tak mocno poruszyło moje serce, że postanowiłam wyjechać i spróbować dać coś ze siebie.

Ma Pani trzech synów, wnuki – jak oni na to zareagowali?

Oni chyba już się przyzwyczaili do tego, że ja czasem mam takie pomysły (śmiech). Przed misjami chodziłam sama przez 8 lat szlakami św. Jakuba do Santiago de Compostela, co też było w pewien sposób szalone. Chciałabym jednak powiedzieć, że właśnie to wędrowanie ukształtowało moje wewnętrzne „ja”. I wiem teraz, że jeśli sobie wszystko przemyślę i przemodłę, to Duch Święty poprowadzi. Na początku oczywiście najbliżsi radzili, żebym pojechała gdzieś bliżej, na przykład na Ukrainę, ale z czasem też włączyli się w pomoc przed tym wyjazdem.

No właśnie, bo ta droga od podjęcia decyzji do samego wyjazdu była dość długa i kręta.

Początkowo nie wiedziałam jak się do tego wszystkiego zabrać i od czego zacząć. W końcu, podczas kolędy zapytałam księdza co mam zrobić. Od razu wskazał mi Salezjański Wolontariat Misyjny – Młodzi Świata przy ul. Tynieckiej. Organizowano tam spotkania formacyjne dla młodych, którzy chcą wyjechać na misję. No właśnie, ale to wolontariat młodych, więc przychodzili chłopcy i dziewczęta powiedzmy – parę lat młodsi ode mnie! Jednak wcale mnie to nie zrażało.

W międzyczasie poleciała Pani przeciw do Afryki, więc ten pierwszy kontakt z misjami był już wcześniej. Kiedy i jak trafiła Pani do Tanzanii?

Do Kiabakari w Tanzanii poleciałam jesienią 2017 roku z okulistami. Dla mnie był to krótki, dwutygodniowy wyjazd rozpoznawczy z wizą turystyczną. Natomiast trzy okulistki, z którymi przyjechałam miały już umówionych pacjentów na każdy dzień. Trochę im pomagałam, poznawałam ośrodek zdrowia z zapleczem laboratoryjnym, porodówkę i sale szpitalne, a z naszym księdzem misjonarzem odwiedzałam ośrodek dla albinosów. Tam też postanowiłam za wszelką cenę pomóc jednemu z chłopców z wrodzoną wadą stóp i podudzi, który nie mógł chodzić inaczej, jak tylko na kolanach. Okazało się, że nie jest to takie proste, jak mi się wydawało. Nie tylko ze względów medycznych, bo odwiedziłam wielu specjalistów w kraju, którzy mogliby pomóc, ale też ze względu na różnice prawne i kulturowe. My chcielibyśmy zdecydowanie tam coś pozmienić, według naszego europejskiego punktu widzenia, natomiast ludzie Afryki tego nie oczekują i nie akceptują. Dla mnie chłopiec wymagał pomocy i jego niepełnosprawność była według mnie czymś, co go unieszczęśliwia, ale dla niego i otaczających go ludzi była normalnością. To był czas, który nauczył mnie inaczej patrzeć na Afrykę. Wiedziałam też na pewno, że chcę tam wrócić na dłużej i coś dobrego zrobić.



Jakie było Pani pierwsze wrażenie Afryki?

Słyszałam przed wyjazdem, że w Afryce na początku uderza widok czerwonej ziemi, ale to nie było dla mnie czymś wyjątkowym. Zachwyciła mnie natomiast tamtejsza przyroda. Wielkie drzewa, kwitnące różnymi barwami, mnóstwo nieznanych mi bujnych roślin, palmy, oplecione lianami, nieznane krzewy, owoce... Nie mogłam się napatrzeć.

Trafiła Pani do misji Kombonianów. Na czym polegała tam Pani postęga?

W Mongoumba misjonarze prowadzą szkołę, mają mały oddział rehabilitacyjny dla dzieci i przychodnię. Początkowo zajmowałam się tak naprawdę wszystkim po trochu. Pomagałam w kuchni, sprzątałam, przygotowywałam kwiaty do kościoła na niedzielę. Wraz z misjonarką z Portugalii, Kristin, odwiedzałam chore dzieci, leżące w domach z porażeniami i wadami wrodzonymi. Z nią też w szczególności jednak sposób zajmowałam się Pigmejami przychodzącymi do szkoły. Byli to w większości chłopcy, bardzo zaniedbani, głodni... Rodzice praktycznie się nimi nie zajmowali. Chodzili w brudnych, podartych i za ciasnych lub za dużych bluzach czy swetrach. Razem z Kristin przyuczałyśmy ich do czystości. Było więc cotygodniowe pranie ubrań szkolnych, naprawa rozerwanych miejsc, mycie rąk przed posiłkiem itd. Odwiedzałam też i poznawałam ludzi z wioski.

Z jakimi trudnościami spotykała się Pani w swojej codziennej pracy?

Jestem reumatologiem i nie mogłam w pełni wykorzystać swojego doświadczenia, bo nie ma tam wielu leków i ich naturalnych zamienników, które stosujemy w kraju. Niektórych rzeczy uczyłam się na nowo, do-

stosując do tamtejszych możliwości. Początkowo pracowałam z Kristin, która opatrywała rany. Trzeba było wykonywać to bardzo dokładnie, starannie oczyścić ranę i odmoczyć jej zaschnięte brzegi. Musiałam się tego nauczyć. Później sama opatrywałam dzieci i osoby poparzone. Brakowało odpowiednich leków, środków do przemywania ran. Pewną trudnością było także skonfrontowanie moich ideałów ze zwyczajami na misji. Wydawało mi się, że powinnam podzielić się własnym posiłkiem, gdy obok jest ktoś głodny i prosi o jedzenie. Tymczasem rzeczywistość okazała się brutalna. Nie jesteśmy w stanie pomóc wszystkim, to wiadomo, ale dlaczego nie mogę pomóc chociaż jednemu, tylko dlatego że zaraz zjawia się ich cała gromada? Czasem towarzyszyły mi ambiwalentne uczucia i to było naprawdę trudne.

Jakie są największe problemy, które dotyczą Republiki Środkowej Afryki i jej mieszkańców?

To kraj w pewien sposób prymitywny, ale to akurat mi odpowiadało. Wszystko było takie pierwotne i naturalne, prawdziwe i kolorowe. To prości ludzie i jak wszędzie – jedni uśmiechnięci, inni smutni czy zawistni. Może ta ich złość jest jakby większa niż nasza. Wydaje mi się, że największym problemem jest tam brak pracy, bo ludzie nie mają możliwości zarobku. Jeśli ktoś jest chory i słaby to zupełnie nie ma szans na przeżycie. Gdyby tam doprowadzić elektryczność, zbudować elektrownię na rzece, która przepływa tuż obok, nie byłoby tak zależni od natury, a po zachodzie słońca można by czytać, normalnie pracować. Kobiety mogłyby szyć ubrania, robić koraliki, wykonywać inne rękodzieła. Gdyby mieli światło, gdyby mieli prąd... Ale to tylko moje myśli.

A jak mieszkańcy reagują na pracę misjonarzy?

Wydaje mi się, że reagują raczej z zaciekawieniem niż z nowością. Jest oczywiście dystans. Są oni i są „ci misjonarze”. Ta relacja jest jednak pełna ciekawości z ich strony. Po pierwsze, co mogą dostać, a po drugie – co mogą podpatrzeć i wykorzystać w swoich domostwach. Ciekawi ich wszystko to, co ze sobą mamy: komórki, zegarki, mapy... Wszystko to ich fascynuje, choć ktoś powiedział, że „my mamy zegarki, ale oni mają czas”. My ciągle się spieszymy, mamy obowiązki, a oni się nie śpieszą, pozostają przy tym, co mają.

Dlaczego warto wybrać taką drogę?

Myślę, że dzielenie się czymś co posiadamy jest zapisane w naturze ludzkiej. Poczucie, że ktoś jest obok, ktoś mnie rozumie, ktoś się o mnie martwi i jest mną zainteresowany to bezcenna wartość, z której czerpią obdarowany i obdarowujący.

DOŚWIADCZENIA MISYJNE

BRAZYLIA

ks. Tomasz Bochnak, Lilia Czerewyk, s. Bożena Najbar

Wspólnota Maranatha w Rio de Janeiro

Jadąc godzinę od centrum Rio de Janeiro, kierujemy się do jednej z 36 wspólnot „Maranatha” dla osób uzależnionych od narkotyków. Narkomania to problem, który stawia Brazylię w centrum międzynarodowego handlu narkotykami.

Założyciel wspólnot dla wychodzących z narkomanii

Były mieszkaniec faweli, obecnie świecki ewangelizator licznych wspólnot „Maranatha” w Rio de Janeiro opowiadał o swoim nawróceniu.

Ktoś z obecnych na spotkaniu po Mszy Świętej zadał mu pytanie: „Dlaczego jest zawsze taki radosny i ma roześmiane oczy”.

Juliusz odpowiedział: „Jak ma się nie radować, skoro codziennie doznaje cudów od Pana Boga”. Za handel narkotykami był dwa razy więziony z wyrokiem śmierci. Kiedy miano dokonać egzekucji, coś zawsze stawało na przeszkodzie i w końcu został zwolniony z więzienia. Żył z kobietą 30 lat, niedawno wziął ślub i ma wspaniałą córkę. Dwa razy został uzdrowiony, raz z trądu – i tu pokazał blizny po trądzie, drugi raz – gdy powiedział księdzu, że ma zwapnioną część mózgu, on dał mu relikwię Ojca świętego Jana Pawła II i dziś nie ma śladu po zwapnieniu. Na co dzień Pan Bóg działa jego życiu i jak sam mówi: „Czuję Jego obecność”. Będąc wdzięczny Bogu postanowił pomagać ludziom, którzy chcą wyjść z nałogu i założył wraz z innymi 36 wspólnot „Maranatha”, gdzie narkomani poddają się leczeniu, modlą i się nawracają.

Wspólnota „Betlejem”

Wspólnota „Betlejem” w Rio de Janeiro, jest ośrodkiem

dla osób wychodzących z narkomanii, prowadzi je siostra zakonna, paulistka.

Dom, który zajmują remontują byli narkomani. Na jego ścianach widać mozaiki, wykonane z wyrzucanych płytek. Przedstawiają one drogę wychodzenia z nałogu (etapy: upadek, powstawanie, rozwój i życie we wspólnocie). Osoby przebywające w ośrodku, aby żyć muszą pracować. Dlatego zajmują się wyrobem – z różnych znalezionych odpadów – przedmiotów, które potem są przydatne wielu osobom, jak np.: zegary, zabawki dla dzieci, obrazy i figury itp. Dlatego na placu przed ośrodkiem znajduje się sterta różnych przedmiotów, z których będzie można coś odnowić.

Siostrze pomagają bezinteresownie różni specjaliści: lekarze, psycholodzy, a także siostry, które odbywają tutaj praktykę.

Odwiedziliśmy ich w porze obiadowej. Wszystkich zwołuje głos dzwonka. Otrzymaliśmy na powitanie specjalny napój, jakby przysłowiowy „biblijny kubek wody”, który nie pozostanie bez nagrody...

Przed wejściem do ośrodka, na chodniku, zostały rozłożone różne przedmioty, które kupując – wspierasz prowadzone dzieło i jego ludzi.

Fawela w Manaus w Brazylii

Mocnym doświadczeniem było wejście na fawelę w Manaus w Brazylii gdzie spotkaliśmy rodzinę, w której udało się misjonarzom uratować dziecko od śmierci głodowej. To ta mała dziewczynka na zdjęciu.

Zobaczyliśmy także szkołę na rzece Rio Negro, gdzie dzieci na lekcje dopytują łódkami.



PATRONAT MISYJNY

Jest to duchowa i materialna
pomoc wybranemu Misjonarzowi.

TANZANIA

ks. Konrad Caputa, ks. Marek Gizicki, ks. Wojciech Kościelniak,
ks. Piotr Pawlus, ks. Krzysztof Kasprzak, ks. Kazimierz Króźel,
ks. Maksymilian Grabowski

BRAZYLIA

ks. bp Zdzisław Błaszczyk, ks. Jan Kaleta

CHINY

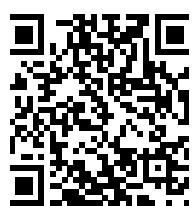
ks. Andrzej Błażkiewicz

PERU

Barbara Dominika Szkatuła

Jak podjąć Patronat Misyjny?

Wybierz Misjonarza, którego chcesz wspierać ze strony
internetowej www.misje.diecezja.pl



Prześlij swoją decyzję wspierania modlitwą i ofiarą
wybranego Misjonarza na adres: misje@diecezja.pl Podając
adres pocztowy otrzymasz Patronat w formie ulotki ze
zdjęciem Misjonarza i modlitwą.

Ofiary można przysyłać na podane konto na przekazie
zamieszczonym na ostatniej stronie Magazynu Misyjnego
z podaniem imienia i nazwiska Misjonarza.

MISYJNE KONKURSY PLASTYCZNE

SZKOŁY PODSTAWOWE

Odwołujemy się do wrażliwości dzieci na
potrzeby misji. Dzieci rysując i malując, budzą
w sobie ducha solidarności z dziećmi
i młodzieżą w najuboższych krajach świata.
Tysiące prac plastycznych, które są do nas
przesyłane ukazują wielkie zaangażowanie
dzieci w sprawę misji. Dzieci są nagradzane
dyplomami, a najlepsze prace misyjnymi
upominkami.

SZKOŁY ŚREDNIE

Konkursy wiedzy misyjnej organizowane
co roku na tematy związane z postaciami
Misjonarzy oraz krajami misyjnymi. Źródłem
wiedzy są misyjne: czasopisma, filmy, strony
internetowe. Konkursy przeprowadzane są
online oraz na żywo podczas spotkań i cieszą
się dużym zainteresowaniem.

ADOPCJA MISYJNA

Jak pomóc?

Wybierz kraj, w którym chcesz wesprzeć dzieci i młodzież w nauce. Skontaktuj się na adres tam zamieszczony i otrzymasz szczegółowe informacje i deklarację.

Adopcja misyjna to duchowa opieka nad dziećmi i młodzieżą z krajów misyjnych oraz pomoc materialna niezbędna dla ich kształcenia i codziennego życia.



TANZANIA

Miejscowość Shirati, ośrodek dla sierot i półsierot. Ośrodek zapewnia mieszkanie, wyżywienie i naukę. Koszt utrzymania dziecka wynosi 100 zł miesięcznie.

100ZŁ



INDIE

Sytuacja szkolnictwa jest w opłakanym stanie. Koszt utrzymania i kształcenia dziecka w Indiach wynosi 130 zł miesięcznie.

130ZŁ



PERU

Młodzież indiańska, którą wspieramy, mieszka w schronisku. Społeczności Indian nie mają wykształconych osób. Koszt kształcenia to około 450 zł miesięcznie.

450ZŁ



KONGRESY MISYJNE DZIECI



Kongresy Misyjne Dzieci to wspólne spotkania, które mają ukazać dzieciom różne aspekty misji, do których powołuje nas sam Pan Jezus słowami: „Idźcie na cały świat i głoście Ewangelię”.

Do Kongresów dzieci przygotowują się poprzez modlitwę i zorganizowaną pomoc misjom. Kongres jest uwieńczeniem tych działań duchowych i materialnych. Dzieci posyłane są przez Kościół do swoich środowisk, aby odważnie dzieliły się doświadczeniem spotkania z Jezusem, Zbawicielem. To moc Jego miłości uzdalnia nas do bycia misjonarzami dla ludzi na całym świecie, a Papieskie Dzieło Misyjne Dzieci daje nam w tej misji nieograniczony „zasięg”.

Kongresy zapisują się mocno w umysłach dzieci, które już w dorosłym życiu wracają wspomnieniami do tych wydarzeń, odnawiają swój zapał i zaangażowanie misyjne.



I RAZEM WOŁAMY
DO BOGA – OJCZE

📍 Wadowice, 18 IX 1999 r.
🐾 943

II Z MARYJĄ NIESIEMY JEZUSA
W TRZECIE TYSIĄCLECIE

📍 Ludźmierz, 2 VI 2001 r.

III PRZEMIENIAMY
ŚWIAT MIŁOŚCIĄ
MIŁOSIERNĄ

📍 Kraków-Łagiewnik, 7 VI 2003
🐾 2 754

IV ZAPALAMY ŚWIATŁO NADZIEI
PRZEZ SPOTKANIE Z JEZUSEM
EUCHARYSTYCZNYM

📍 Kalwaria Zebrzydowska, 7 VI 2005
🐾 750

V BÓG KOCHA
WSZYSTKIE DZIECI

📍 Kraków, par. św. Jadwigi, 9 VI 2007
🐾 556

VI OTOCZMY TROSKĄ ŻYCIE
DZIECI NA WSZYSTKICH
KONTYNENTACH

📍 Maków Podhalański, - 23 V 2009
🐾 800

VII W JEDNOŚCI Z BOGIEM
I DZIEĆMI NA WSZYSTKICH
KONTYNENTACH

📍 Płoki, 4 VI 2011
🐾 1450

VIII Z WIARĄ IDZIEMY
PRZEZ ŚWIAT

📍 Szafłary, 8 VII 2013
🐾 1270

IX IDŹCIE I GŁOŚCIE

📍 Kraków, 10 VII 2017
🐾 1500

X



MISYJNY SYNOD DZIECI
zaplanowany na 28 X 2023 r. w Krakowie,
Centrum św. Jana Pawła II
oraz w Sanktuarium Bożego Miłosierdzia

KOLEDNICY MISYJNI

Czym jest dzieło Kolędników Misyjnych?

Wywodzi się z ludowej tradycji kolędowania. Na początku lat 90. dzieci i animatorzy z ognisk misyjnych Papieskiego Dzieła Misyjnego Dzieci dodały do tej tradycji akcent misyjny.

W 1989 roku zaczęły kolędować dzieci z ognisk misyjnych w kilku diecezjach w Polsce, a od 1993 roku kolędują dzieci we wszystkich diecezjach.

Setki tysięcy dzieci wraz z rodzinami, wychowawcami, nauczycielami i animatorami poświęcają swój czas i ofiarują swoje talenty, aby przygotować stroje, dekoracje, gwiazdę i kolędować w swoich środowiskach. Nie zważając na pogodę i zmęczenie, podejmują wysiłek kolędowania w swoich szkołach, parafiach i miejscowościach.

Charakter Dzieła

Dzieło Kolędników Misyjnych ma wymiar ewangelizacyjny. Niosąc radość Ewangelii, mali kolędnicy stają się misjonarzami. Przypominają odwiedzającym mieszkańcom o narodzeniu Jezusa Chrystusa i uwrażliwiają ich na potrzeby dzieci na całym świecie.

Dzieci również uczą się zauważania drugiego człowieka, otwierają się na pomoc potrzebującym, poświęcają czas i siły, żeby pomóc innym.

Przy okazji kolędowania zbierane są ofiary przeznaczone na realizację projektów pomocy w różnych częściach świata.

W drugi dzień Świąt Bożego Narodzenia w kościele parafialnym ma miejsce uro-

czyście postanie Kolędników Misyjnych. Na mocy tego postania wyruszają do parafian, aby nieść radość Bożego Narodzenia i mówić o potrzebach dzieci w różnych częściach świata.

Do odwiedzanych rodzin Kolędnicy Misyjni przynoszą błogosławieństwo, którego zewnętrznym znakiem jest zostawiana w rodzinach pamiątka kolędowania. Nawiązuje do konkretnego projektu realizowanego w danym roku.

Projekty dotyczą różnych dziedzin życia.

Dzielimy je na: edukację, ochronę zdrowia, domy dziecka i internaty oraz duszpasterstwo diecezjalne i parafialne.

W Archidiecezji Krakowskiej od 25 lat w styczniu każdego roku organizowane są przez Wydział Misyjny Spotkania Kolędników Misyjnych, które gromadzą blisko 2 tysiące uczestników. Dzieło to cieszy się dużym powodzeniem. Dzięki temu działaniu ofiarność na misje wzrosła czterdziestokrotnie.

Słowa wdzięczności kierujemy do animatorów, katechetów i opiekunów grup, którzy nieustrudzenie przygotowują i przeprowadzają to dzieło w parafiach i szkołach.



ANIMACJA MISYJNA W SZKOŁACH I PARAFIACH



Animacja Misyjna w szkołach i parafiach – ma na celu pogłębianie świadomości misyjnej dzieci i młodzieży, oraz tych, którzy żyją wśród. Staramy się uwrażliwić ludzi na problemy i potrzeby misjonarzy oraz chrześcijan na całym świecie.

Jesteśmy otwarci na zaproszenia księży, różnych wspólnot i grup, szkół do dzielenia się misyjnym doświadczeniem, charyzmatem oraz postannictwem.

REKOLEKCJE MISYJNE

Celem rekolekcji jest doprowadzenie dzieci i młodzieży do osobistego spotkania z Jezusem Zbawicielem, by potem zaniesienie Dobrej Nowiny o Zbawieniu swoim najbliższym w domu, a później w przyszłości tym żyjącym w krajach misyjnych.

Treści rekolekcji są oparte na świadectwach misjonarzy, ubogacone pieśniami w obcym języku, filmami o różnych kulturach, religiach, problemach krajów misyjnych.

Różnorodność tematów, możliwość gry na egzotycznych instrumentach, dotknięcie ciekawych przedmiotów ze świata, barwne opowieści, to wszystko ubogaca rekolekcyjne spotkania.



WOŁONTARIAT MISYJNY

Działalność misyjna Kościoła stawia wiele możliwości dla ludzi w różnym wieku. Pragniemy wyjść naprzeciw ich oczekiwaniom. W programie wolontariatu jest: misyjna formacja, poznawanie świata misji, realizowanie projektów misyjnych, organizowanie rekolekcji, spotkań misyjnych dla dzieci, młodzieży i dorosłych. W działalność wolontariatu wpisane są również wyjazdy na doświadczenia misyjne do różnych krajów misyjnych.

W ostatnich latach były to kraje: Peru, Kazachstan, Indie, Tanzania, Brazylia, Argentyna i Ukraina.



ZOSTAŃ

(na jeden dzień)

Wolontariuszem Misji





**PROJEKTY
ZREALIZOWANE**

PROJEKTY ZREALIZOWANE

WYBRANE PROJEKTY MISYJNE ZREALIZOWANE PRZEZ
WYDZIAŁ DUSZPASTERSTWA MISYJNEGO KURII
METROPOLITALNEJ W KRAKOWIE

POMOC DLA RODZINY

Rodzina jest w bardzo trudnej sytuacji, ojciec jest w więzieniu, matka sama wychowuje trójkę dzieci (3-9-11 lat), borykając się z problemami zdrowotnymi. Potrzebna była pomoc finansowa.

PROJEKT
ZAKOŃCZONY

DOM DZIECKA

Dom dziecka Caritas Felices, w którym mieszka około 25 dziewczynek poddanych w dzieciństwie przemocy, głównie seksualnej... Dom jest bardzo, bardzo biedny. Potrzebne było dostawnie wszystko. Domy dziecka nie mają żadnej pomocy/wsparcia ze strony państwa!

PROJEKT
ZAKOŃCZONY

DZIĘKUJĘ

Anna Katarzyna Jawor,

Peru

DOFINANSOWANIE ORGANIZACJI SPORTOWYCH

W Gminie Kukirango, w dystrykcie Butiama, w Regionie Mara w Tanzanii funkcjonuje dziesięć szkół podstawowych. Oprócz naszej misyjnej szkoły podstawowej im. bł. Edmunda Bojanowskiego. W gminnych szkołach sytuacja zdrowotna uczniów jest zła. Brak sprzętu sportowego, brak dobrze zaplanowanej aktywności sportowej, niezdrowe odżywianie, brak ruchu, kultura tabletów i smartfonów, które coraz bardziej upośledzają fizycznie nasze dzieci wymaga stanowczej reakcji i konkretnych przeciwdziałań.

Zorganizowaliśmy wielki festyn artystyczny dla uczniów szkół w gminie z posiłkiem dla wszystkich. W dniu festynu podarowaliśmy szkołom zestaw strojów sportowych do piłki nożnej i do netballu.



DZIĘKUJĘ

Ks. Wojciech Kościelniak, Tanzania, Kiabakari

PROJEKT
ZAKOŃCZONY

PROJEKTY ZREALIZOWANE

WYPOSAŻENIE PLACU ZABAW PRZEDSZKOLA W KAMERUNIE

Siostry św. Wincentego a'Paulo w Kamerunie, w Jaunde przy nowo powstającej szkole budują przedszkole dla dzieci z tamtej dzielnicy. Duża liczba dzieci jest pozostawiana w domach bez opieki i pozbawiona dostępu do edukacji. Ta sytuacja zmusiła nas do pospieszenia z pomocą dzieciom. Szukamy pomocy w realizacji naszych zamierzeń. Zakupiony w Polsce sprzęt na plac zabaw wysyłamy poprzez kontenery. Zależało nam na zakupieniu tego wyposażenia w Polsce, ponieważ jest trwalszy i dobrej jakości.

**PROJEKT
ZAKOŃCZONY**



DZIĘKUJĘ

Aleksandra Dworak, szarytka

CENTRUM SAMARYTAŃSKIE

Nasz Projekt dotyczy żyjących w Tanzanii dzieci, które nie mają żadnej pomocy od swoich rodziców lub rodzin. Priorytetem było zapewnienie przyszłości dla dzieci poprzez edukację oraz otoczenie ich opieką. W całej Tanzanii jak również w naszym rejonie Mara jest bardzo dużo dzieci, które potrzebują pomocy innych, dlatego też powstała myśl, aby zbudować dla nich Centrum, które zapewni się im przyszłość. W Centrum Samarytańskim, zwracamy szczególną uwagę na edukację, ale również na rozwój kultury, sportu, na naukę języka angielskiego, który jest niezbędny w budowie przyszłości, gdyż wszystkie egzaminy na terenie Tanzanii odbywają się właśnie w tym języku.

Pomoc medyczna

W Centrum jest Ośrodek Zdrowia, dzieci jak również mieszkańcy wioski Bukanga korzystają z pomocy medycznej. Przeprowadzamy seminaria na tematy medyczne.

**PROJEKT
ZAKOŃCZONY**

Nie mają nikogo

Centrum powstało w Bukanga. Jest to wioska leżąca ok. 10 km od Musomy, licząca 1900 mieszkańców, którzy w większości są rybakami albo rolnikami. Jest to bardzo biedna społeczność. Na terenie tej wioski jest 33 dzieci, które nie mają nikogo. Ośrodek może mieszkać 72 dzieci.



DZIĘKUJĘ

s. Rut Ciesielska,

samarytanka z Tanzanii

BUDOWA KOŚCIOŁA W SHIRATI, TANZANIA



PROJEKT
ZAKOŃCZONY

KSIĄŻKA „BAŚNIE Z POŁUDNIOWEGO SUDANU”

Wydział Duszpasterstwa Misyjnego Kurii Metropolitalnej w Krakowie wydał książkę w j. angielskim „Fairy Tales from South Sudan”.

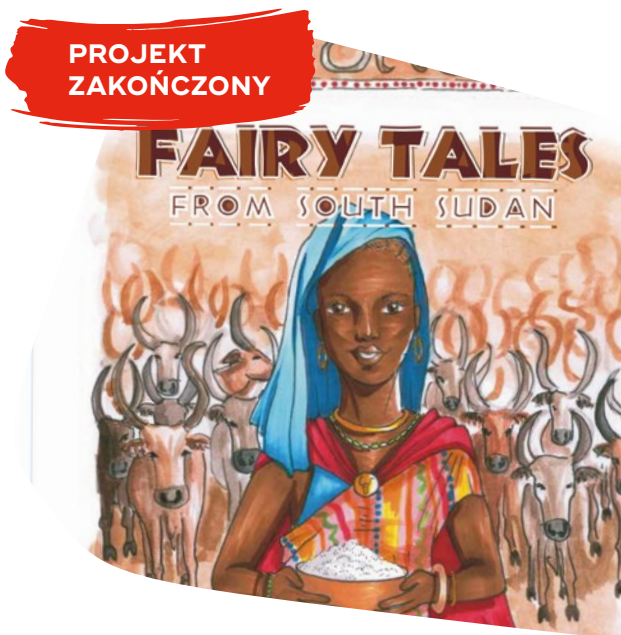
Chciałbym podziękować różnym osobom za ich wkład w powstanie tej książki. Na początku chciałem wyrazić moje wielkie uznanie dla Oliwki Strzopy i Marii Sabat za ich rysunki. Spędziły one dużo czasu, próbując zrozumieć kulturę Dinka. Studiowały zdjęcia i zadawały pytania. Zobaczysz, jak niesamowita jest ich wyobraźnia! Mam nadzieję, że opowieści, a także rysunki przyniosą wiele wyobraźni i stworzą nową przestrzeń do myślenia i uśmiechu na twarzach wielu dzieci z Południowego Sudanu, a także innych zakątków świata.

(Książki zostały wystane do: Sudanu Południowego, Kenii, Ugandy, Tanzanii, Egiptu, Zambii, USA, Australii, Irlandii, Włoch. Ponadto jest rozprowadzana w Polsce).

DZIĘKUJĘ

ks. Tomasz Nogaj, SJ

PROJEKT
ZAKOŃCZONY



ZAKUP PELECIARKI

Katedra we Lwowie, plebania i salki katechetyczne są ogrzewane pelletem, który kupujemy na terenie Ukrainy. Trudno nam znaleźć finanse na zakup tego opału. Dlatego potrzebowaliśmy własną pelecjarinę. Mamy zagwarantowane miejsce do produkcji i stałe dostawy z tartaku. Dzięki niej znacząco zmniejszamy koszty ogrzewania pomieszczeń.

Pamiętamy o naszych dobroczyńcach przedstawiając ich prośby przed obrazem Matki Bożej Łaskawej – Pani Lwowskiej.

PROJEKT
ZAKOŃCZONY

DZIĘKUJĘ

ks. Jan Nikiel



PROJEKTY
REALIZOWANE

PROJEKTY REALIZOWANE

PROJEKTY REALIZOWANE PRZEZ
WYDZIAŁ DUSZPASTERSTWA MISYJNEGO KURII
METROPOLITALNEJ W KRAKOWIE

ADOPCJA MISYJNA W INDIACH

Od 2013 roku pomagamy w kształceniu chłopców i dziewcząt w Indiach w diecezji Indore. Adopcją objętych jest 160 dzieci uczących się i mieszkających w internacie w Tillore Buzurg i Dhani. Sytuacja szkolnictwa jest w opłakanym stanie. Kościół pragnie pomóc w kształceniu dzieci, by podnieść poziom szkolnictwa. Dzieci gromadzi w internatach, gdzie w jednym pomieszczeniu mieszka np. 100 dzieci. Koszt utrzymania i nauki dziecka wynosi 130 zł miesięcznie.



PROJEKT
TRWA

130Zł

ADOPCJA MISYJNA W PERU

Od 2010 roku wspieramy dzieci i młodzież indiańską z amazońskiej dżungli w Peru. Społeczności Indian nie mają wykształconych osób, aby mogły bronić praw np. do ziemi i lasów. Dzieło adopcji prowadzi świecka misjonarka Barbara Dominika Szkatuła, która od 40 lat pracuje z Indianami w Peru.



450Zł

PROJEKT
TRWA

ADOPCJA MISYJNA W TANZANII, SHIRATI

Od około 40 lat pomagamy dzieciom w miejscowości Shirati, gdzie jest ośrodek dla sierot i półsierot oraz szkoła dla około 310 dzieci. Dzieciom zapewniamy kształcenie, mieszkanie i wyżywienie. Miesięczne utrzymanie dziecka wynosi 100 zł. Dzieło to prowadzi ks. Konrad Caputa.



PROJEKT
TRWA

100Zł

PROJEKTY REALIZOWANE

SILNIK YAMAHA DO ŁÓDKI "YAYALLAKIWAN"

W Angoteros, jednej z 15 stacji misyjnych w dorzeczu Amazonki w Peru, dokładnie nad rzeką Napo. Łódka służy misjonarce - Barbarze Dominice Szkatule - odpowiedzialnej za tę misję i współpracującym z nią misjonarkom i misjonarzom w różnych odstępach czasu (tzw. misjonarze wędrujący) na wizytacje 35 wiosek indiańskich kiwcha. Nazwa łodzi: "Yayallakiwan" z języka kichwa tłumaczy się jako „Kochający Bóg”. Łódka z dobrym silnikiem jest niezbędna do pracy w Amazonii, bowiem jedyną drogą komunikacyjną jest rzeka. Do wiosek nie można inaczej dotrzeć. Motor do łodzi kosztuje około 7 000 soli = 7 100 zł (sol wyższy, lepszy o około 10 gr od polskiej złotówki). Mniejszy motor, można kupić za 5 000 soli = 5 100 zł.



PROJEKT
TRWA

PIEKARNIA DLA MIESZKAŃCÓW ANGOTEROS

Od kilku lat prowadzę grupkę kobiet, z którymi pieczemy ciasta na święta i zaczęliśmy myśleć o małej piekarni dla Angoteros, bo kupują chleb w mieście i przywożą go. Więc lepiej byłoby coś takiego mieć na miejscu. Potrzeba: zbudować piec, sklepik do sprzedaży ciepłych bułeczek i wykształcić piekarki. Mam już 2 000 dolarów, potrzebowalibyśmy jeszcze około 2 000 dolarów.



PROJEKT
TRWA

FORMACJA INDIAN

Animatory indiańscy są częścią długiej formacji, którą otrzymują dwa razy w roku w Centrum naszej misji, czyli Angoteros. Oprócz tego, Ci bardziej zobowiązani spośród nich otrzymują dodatkowo jeden miesiąc wyższego stopnia formacji w pobliskim Ekwadorze, którą prowadzą we współpracy z nami księża Kapucyni. Angoteros położone jest blisko granicy z Ekwadorem. Aby tam dotrzeć, spędzić miesiąc z pełnym wyżywieniem i otrzymać potrzebne materiały, potrzeba środków w wysokości około 2. 200 \$ rocznie.

PROJEKT
TRWA



DOBRO CZYŃCY
MISJI

DZIĘKUJEMY!

To dzięki WAM – Dobroczyńcom Misji – możemy realizować wiele projektów misyjnych. Bardzo Wam dziękujemy za każdy dar serca, za każde wsparcie i pomoc Misjonarzom w ich projektach oraz objęcie adopcją dzieci w Peru, Indiach i Tanzanii.

DLA WAS

MODLITWA

Modlimy się za Was przez odprawianie w Waszych intencjach Mszy Świętych i codziennie dołączanie Was do naszych wspólnotowych i osobistych modlitw.

SPOTKANIA OPŁATKOWE

Organizujemy spotkania opłatkowe dla Was oraz rodziców Misjonarzy i ich bliskich z rodzin, dla rodzin adopcyjnych, którzy objęli adopcję dzieci na odległość w krajach misyjnych. Ważnym wydarzeniem są spotkania online z dziećmi zaadoptowanymi, podczas których dzieci mogą zobaczyć swoich rodziców adopcyjnych, a rodzice adopcyjni swoje zaadoptowane dzieci.

KONTAKT

Pośredniczymy w korespondencji między Dobroczyńcami, a Dziećmi zaadoptowanymi. Dzięki temu możemy budować prawdziwe relacje.

OFIARY

Ofiary składane przez Was Dobroczyńców to środki, które pozwalają na finansowanie: wsparcia pilnych prośb misjonarzy oraz dzieło Adopcji Dzieci na odległość. Niektóre z nich zamieściliśmy w tym Magazynie Misyjnym jako Projekty zrealizowane - zakończone oraz Projekty realizowane.

PRZEKAZ POCZTOWY

"Zgodnie z art. 8 u. 1 Dekretu KEP oraz art. 13 u. 1 i 2 RODO, pragniemy poinformować, że administratorem Pani/Pana danych osobowych jest Archidiecezja Krakowska (Kuria Metropolitalna) z siedzibą przy ul. Franciszkańskiej 3, 31-004 Kraków (Wydział Duszpasterstwa Misyjnego). Pani/Pana dane osobowe przetwarzane będą w celach księgowych w związku ze składaną darowizną oraz realizacją zadań właściwych działalności podejmowanej przez Wydział Duszpasterstwa Misyjnego Kurii Metropolitalnej w Krakowie (podstawy prawne: art. 6 ust. 1 lit. b RODO (ew. art. 7 ust.1 pkt 2 Dekretu KEP) tzn. przetwarzanie jest niezbędne do wykonania umowy (darowizny), art. 6 ust. 1 lit. c RODO (ew. art. 7 ust.1 pkt 3 Dekretu KEP) tzn. wywiązanie się z obowiązków prawnych, w tym rachunkowych i podatkowych, art. 6 ust. 1 lit. f RODO (ew. art. 7 ust.1 pkt 6 Dekretu KEP), tzn. przetwarzanie jest niezbędne do celów wynikających z prawnie uzasadnionych interesów realizowanych przez administratora. W tym przypadku chodzi o przesłanie podziękowania za okazane wsparcie). Kontakt z Inspektorem Ochrony Danych w Archidiecezji Krakowskiej w sprawach dotyczących przetwarzania i ochrony Pana/Pani danych jest możliwy poprzez adres e-mail: diod@diecezja.krakow.pl. Odbiorcą Pani/Pana danych osobowych będą podmioty upoważnione do przetwarzania na podstawie umowy powierzenia danych oraz stosowne osoby, podmioty, urzędy, organy rządowe i samorządowe, określone przepisami ustaw związanych z dokonywanymi czynnościami. Pani/Pana dane osobowe będą przechowywane przez okres niezbędny do realizacji danego zadania oraz obowiązków wynikających z przepisów prawa; nie będą przekazywane do państwa trzeciego (poza przypadkami realizacji działalności misyjnej Kościoła bądź zadań zleconych przez Stolicę Apostolską). Przysługuje Pani/Panu prawo dostępu do swoich danych osobowych, prawo do żądania poprawienia, usunięcia lub ograniczenia przetwarzania tych danych – przy uwzględnieniu ograniczeń wynikających z RODO, w szczególności z art. 17 ust. 3 RODO; Ma Pan/Pani prawo wniesienia skargi do organu nadzoru, gdy uzna Pani/Pan, iż przetwarzanie danych osobowych Pani/Pana dotyczących narusza przepisy. W przypadku danych osobowych związanych z działalnością kanoniczną Kościoła Katolickiego, właściwym organem nadzoru jest Kościelny Inspektor Ochrony Danych, Skwer kard. Stefana Wyszyńskiego 6, 01-015 Warszawa, kiod@episkopat.pl, natomiast w przypadku danych związanych z pozostałą działalnością: Prezes Urzędu Ochrony Danych Osobowych (adres: ul. Stawki 2, 00-193 Warszawa). Pani/Pana dane nie będą przetwarzane w sposób zautomatyzowany, w tym również w formie profilowania."

| | |
|--|--|
| 88 1240 2294 1111 0000 3722 9887 | |
| KURIA METROPOLITALNA UL. FRANCISZKAŃSKA 3 31-004 KRAKÓW | |
| Dowód / pokwitowanie | |
| kwota | zleciennodawca |
| tytułem | PATRONAT DLA... ADOPCJA DLA... MISJE |
| STEMPEL | |
| opłata | |
| Polecenie przelewu / wpłata gotówkowa | |
| nazwa odbiorcy / nazwa odbiorcy /d | KURIA METROPOLITALNA |
| nr rachunku odbiorcy | UL. FRANCISZKAŃSKA 3, 31-004 KRAKÓW |
| 88 1240 2294 1111 0000 3722 9887 | W/P PLN |
| nr rachunku zleciennodawcy / przelewu / kwota słownie (wpłata) | tytułem |
| tytułem | PATRONAT DLA... ADOPCJA DLA... MISJE |
| Opłata | 06 |
| odcinek dla zleciennodawcy | |

Misjonarze Fidei Donum i Misjonarze świeccy

TANZANIA

Ks. kard. Karol Wojtyła zainicjował misje w Tanzanii. Pierwsza grupa księży wyjechała do diecezji Iringa. Obecnie w diecezji Musoma nad Jeziorem Wiktoria pracuje pięciu misjonarzy: ks. Konrad Caputa (od 1985 r.), ks. Piotr Pawlus (od 1988 r.), ks. Wojciech Kościelniak (od 1990 r.), ks. Marek Gizicki (od 2001 r.) i ks. Kazimierz Króźel (od 2003 r.), ks. Krzysztof Kasprzak od 2015 r. Powrócili z Tanzanii do diecezji następujący kapłani: ks. Ryszard Gotuch (1974-1991), ks. Tadeusz Dziedzic (1982-1996), ks. Jan Kabziński (1984-1991), ks. Krzysztof Chromy (1986-1993). Ks. Janusz Zajda pracował w Tanzanii od 1990 r. Najpierw w diecezji Musoma i następnie w diecezji Dar-es-Salaam. Od 2003 podjął pracę w Tunezji. Od 2010 r. do 2021 r. pracował w Sudanie Południowym. W czerwcu 2003 r. zorganizowano obchody 25. lecia pracy krakowskich misjonarzy w diecezji Musoma. Najdłużej pracującym w Tanzanii misjonarzem był śp. Ks. Karol Szlachta. Przeżyty wypadek samochodowy i intensywna praca pozostawiły trwałe ślady, mocno nadszarpując jego zdrowie. Zmarł nagle w listopadzie 2002 r. Jego doczesne szczątki spoczęły przed kościołem św. Stanisława BM w parafii Nyamuswa. W Tanzanii do 1979 pracował także Eugeniusz Diurczak.

ZAIR

Ks. kard. Franciszek Macharski rozpoczął współpracę z diecezją Kananga w Republice Demokratycznej Konga (dawny Zair). Wojna domowa zmusiła misjonarzy do wycofania się. Na misji w Zairze pracowali: ks. Edward Antolak (1983-1988), ks. Jan Koster (1987-1992), ks. Jacek Radoń (1987-1992). Na kontynencie Afrykańskim pracowali także (Ks. Jan Wołek od 1976 (święcenia 1966) Senegal, zmarł w Kazachstanie XI 1991, ks. Stanisław Kupczak pracował w Algierii (1984-1987).

BRAZYLIA

Ksiądz Metropolita zapoczątkował także współpracę z Archidiecezją Rio de Janeiro w Brazylii. Do tej diecezji w 1984 r. wyjechał ks. Jan Kaleta a w 1989 r. ks. Andrzej Błażkiewicz, który od 1996 podjął pracę w Archidiecezji San Salvador de Bahia, ks. Bogusław Batkiewicz (od 1992 r.), ks. Marcin Strachanowski (od 1997 r., i ks. Zdzisław Błaszczyk (od 2000 r.). Z brazylijskiej misji powrócili ks. Jerzy Rażny (1988 - 1993), ks. Krzysztof Smoter (1988 - 1995), ks. Ryszard Pędzimaż (1995- 1998) i ks. Krzysztof Kocot.

UKRAINA

Praca kapłanów krakowskich w Archidiecezji Lwowskiej – jak napisał ks. kard. Franciszek Macharski stanowi „spltacenie długu wdzięczności”. W pierwszej połowie XX wieku na stolicy św. Stanisława zasiadali biskupi pochodzący z diecezji lwowskiej: kard. Jan Puzyna, kard. Stefan Sapieha i arcybiskup Eugeniusz Baziak. Po II wojnie światowej wielu kapłanów lwowskich pracowało w Archidiecezji Krakowskiej. Obecnie na terenie Ukrainy pracuje siedmiu kapłanów. W Archidiecezji lwowskiej: ks. Marek Cichórz (od 2000 r.), ks. Mieczysław Frytek (od 2000 r.), ks. Jan Nikiel (od 1991 r.) i ks. Grzegorz Odrzywołek (od 2003 r.). W diecezji ks. Witold Kowalów (od 1992 r.) i ks. Andrzej Ścisłowicz (od 1994 r.) i ks. Waldemar Szlachta (od 2002 r.). Ks. Tomasz Trzebunia pracował od 1993 r. w Archidiecezji Lwowskiej, a od 2000 r. pracuje w diecezji św. Klemensa z siedzibą w Saratowie. Powrócili do kraju ks. Dariusz Firszt (1994-2003), ks. Kazimierz Buba, ks. Grzegorz Odrzywołek, ks. Paweł Antolak, ks. Mieczysław Frytek i ks. Jan Zając. Ks. Stanisław Koller pracował na Syberii.

MISJONARZE ŚWIECCY

Pierwszą i najdłużej pracującą misjonarką świecką z diecezji krakowskiej jest pani Barbara Dominika Szkatuła, która wyjechała do Peru w 1982 roku. Od 1999 r. pomagała jej pani Dorota Kozieł. Pracę w Peru podjęła także Anna Katarzyna Jawor. Pani Katarzyna Malarz wyjechała w 2001 r. do diecezji Wawak w Papua Nowa Gwinea, po kilku latach powróciła do Polski. Z Kamerunu powróciła pani Józefa Kudłacik, która pracowała na misji w latach 1991-1996.

UWAGA KONKURS

Jako że, nasza publikacja powstała w tępie śmigającego pendolino z Krakowa do Warszawy, chcemy ogłosić konkurs na znalezienie błędów w publikacji. Znaleźć należy: błędy językowe, stylistyczne, interpunkcyjne, logiczne, nielogiczne – KAŻDE!

Nagroda będzie proporcjonalna do ilości znalezionych błędów! Nagrodę ofiaruje i chętnie z błędów pośmieje się s. Bożena Najbar z WYDZIAŁU DUSZPASTERSTWA MISYJNEGO KURII METROPOLITALNEJ W KRAKOWIE .

Kontakt w stopce na str. 4



WPADNIJ NA KAWKĘ,
Z MISJĄ, POŚMIEMY SIĘ
HA HA HA





KAWA ZIARNISTA

KAWA Z MISJĄ

WYDZIAŁ DUSZPASTERSTWA MISYJNEGO

**ARABICA × ROBUSTA
BRAZYLIA × WIETNAM**



250g

Dochód z ofiar „Kawa z Misją”
przeznaczony jest na projekty misyjne.

www.misje.diecezja.pl